L. W.

- Fałszywy ksiądz i naiwni chłopi — str. 7
- Sztuczne nerki leżą w magazynie — str. 6
- Okolice kolorowych jarmarków — str. 1 i 5
- Krzyżacy nie chcieli rozbioru Polski — str. 4
- Powieść Leonarda pt. „Upiór" — str. 14

Nr indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 18 (1518) ROK XXX 2 MAJA 1987 ROKU CENA 25 ZŁ

JULIAN TUWIM (fragment)

Pierwszy Maja

Mokrą czerwienią, wzburzoną, wydętą,
W oknie otwartym chorągiew furkoce,
W czerwone święto, w czerwone święto
Dzień się roztopił w słonecznej patoce.

W ciepło niebieskie okna wycięto,
W pokojach snopy, złote pociski,
Luster i błysków śliskie umizgi,
Bucha z błękitu niebieskie święto!

Światłem spienione oddycha piętro
Oślepiające jarzą się dachy
I milion światła w gorące święto
W oknach zwierciadłem przewraca gmachy!

Foto: Grzegorz Gałasiński

NASZ BEŁCHATOW: Było tu kiedyś miasto powiatowe i wszystko powstawało na miarę powiatu. Dziś jest już tu pięćdziesięciotysięczne miasto, a kultura pozostała w dawnych wymiarach. Czy są szanse na zmianę?

Okolice kolorowych jarmarków

ROMAN KUBIAK
PAWEŁ TOMASZEWSKI

1.

Nie wierzyliśmy własnym oczom, ale plakat był całkiem nowy. Wielkimi literami zapraszał na koncert artysty Janusza Laskowskiego. Tytuł — jakżeby inaczej — „Kolorowe jarmarki". Termin — 9 września 1986 roku. Miejsce — sala widowiskowa Bełchatowskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego.

Przez chwilę wydało się nam, iż cofnęliśmy się w czasie o jakieś piętnaście lat, a może jeszcze bardziej, czyli do tego okresu, kiedy jak Polska długa i szeroka na balach, zabawach i prywatkach królowały przeboje Laskowskiego, którego nazywano wówczas królem pocztówek dźwiękowych. Dopiero potem był jego pamiętny występ w Opolu. Tam po raz pierwszy zobaczyły go miliony — król pokazał się na ekranach telewizorów, zabłysł niczym spadająca gwiazda na czerwonym niebie i... zgasł. Lecz oto teraz znów czekało nas z nim spotkanie — tym razem w Bełchatowie. Pełne zaskoczenie, że jeszcze występuje. A jednak!

Popołudnie mieliśmy wolne — żadnych konkretnych planów, bo i, prawdę powiedziawszy, żadnych możliwości ciekawego spędzenia czasu w ponad 50-tysięcznym mieście górników i energetyków, stolicy najmłodszego w kraju okręgu przemysłowego. W kinie grano akurat polskie „Medium" i radziecką „I jeszcze jedną noc Szeherezady".

Do teatru, opery, operetki, cyrku, muzeum, ogrodu zoologicznego, czy na jakąś wystawę pójść nie mogliśmy, gdyż niczego takiego w Bełchatowie nie ma. Z restauracji od progu „wypychał odór „czystej" i bełkotliwe głosy biesiadników. Krótko mówiąc, artysta Janusz Laskowski był tego dnia jedyną naszą nadzieją, jedyną szansą, że nie będziemy musieli do późnego wieczora włóczyć się bez celu ulicami, jak czyni to spora część mniej lub bardziej dorosłej młodzieży. Czy można się więc dziwić, iż bez dłuższego namysłu zdecydowaliśmy się z tej szansy skorzystać?

2.

Piętnaście — dwadzieścia lat temu, gdy w Bełchatowie wsłuchiwano się w „Beatę", „Żółty jesienny liść" i inne przeboje Laskowskiego, miasteczko liczyło niespełna 10 tysięcy mieszkańców i jak rzadko które pachniało na odległość głęboką prowincją. Słabo rozwijał się tu przemysł i budownictwo, młodzież nagminnie uciekała na Śląsk lub do Łodzi w poszukiwaniu pracy i lepszego życia. Powiatowy Bełchatów był cichy, spokojny, zapomniany, jakby zagubiony wśród otaczających go biednych wiosek i lasów. Ale mimo to, a może właśnie dzięki temu ludzie lepiej się tu wzajemnie znali i rozumieli, mając te same mniej więcej problemy, oczekiwania i możliwości.

Kiedy odkryto węgiel brunatny, a później powzięto decyzję o jego eksploatacji, spokój i stabilność życia poczęły ulegać coraz większym zakłóceniom. Wraz z budowniczymi zagłębia i ich ciężkimi maszynami do sennego Bełchatowa przyszło nowe. Nowe nie bardzo chciało pogodzić się ze starym, gdyż nikt tego spotkania dobrze nie przygotował. Nie było dość czasu(?), nie było środków, nie było pieniędzy. Dlatego to, co dawniej jakoś wystarczało bełchatowianom, nagle wystarczać przestało. Nie byli to już zresztą ci sami bełchatowianie, jako że ich liczba zwiększała się z roku na rok w oszałamiającym tempie. Miasto zaczęło rosnąć jak na drożdżach, tyle że dziwnie jednostronnie, można by nawet rzec — kulawo, tracąc dawną równowagę. W coraz większą siłę rosło przede wszystkim górnictwo i energetyka, a ich pracownikom żyło się dostatniej aniżeli innych gałęzi gospodarki narodowej. Gorzej było już bowiem z takim budownictwem mieszkaniowym, czy przemysłem lekkim, źle — z handlem, usługami, oświatą, a wprost tragicznie na przykład z kulturą, której w wyścigu po tony i megawaty nie dano na rozwój prawie żadnych szans. Pozostała więc prowincjonalna, biedna, a przy tym pełna różnorakich kompleksów. Zapomniano o niej, jakby nikomu nie była tu właściwie potrzebna, jakby bez kultury — tej najszerzej rozumianej — można było normalnie pracować i żyć.

W 10-tysięcznym powiatowym Bełchatowie istniało jedno kino, jeden dom kultury, jedna biblioteka i jedna księgarnia. To jeśli chodzi o placówki ogólnodostępne, publiczne. Oprócz nich działało jeszcze kilka przyzakładowych klubów i świetlic, ale z działalnością ich było bardzo różnie.

W ponad 50-tysięcznym przemysłowym Bełchatowie też istnieje jedno kino, jeden dom kultury (przemianowany na Miejski Ośrodek Kultury), jedna biblioteka publiczna z dwiema filiami, jedna księgarnia i — od niedawna — jeden osiedlowy klub — „Piwnica", będący de facto agendą MOK. Przybyło oczywiście świetlic i klubów przyzakładowych, w BZPB, czyli „bawełniance" oddano do użytku salę widowiskową na 400 miejsc, a Kopalnia Węgla Brunatnego zbudowała halę sportowo-widowiskową — największą w całym województwie. Nie są to jednak obiekty dostępne dla wszystkich i w każdej chwili, choć udostępniane miastu chętnie na przykład przy okazji większych imprez. Tak więc na co dzień aż tak wiele się tu nie zmieniło, by z czystym sumieniem można było mówić o radykalnej poprawie, co nie znaczy jednak, iż dziś jest tak samo, jak w czasach największej popularności Janusza Laskowskiego. Dziś jest nieporównanie gorzej niż było wtedy. Nawet życie towarzyskie podupadło, zubożało — mówią starsi bełchatowianie. Ale to chyba nie tylko u nas, to chyba w całej Polsce — pocieszają się. Kryzys, po prostu kryzys.

3.

Pokaż mi twoje książki, a powiem ci, kim jesteś.

Najpierw zaglądamy więc do księgarni. Jest to niewielki pawilonik w samym centrum miasta, kiedyś — być może — nowoczesny i odpowiadający potrzebom jego mieszkańców, teraz jednak wzbudzający już samym swym wyglądem poczucie wstydu i zażenowania. Czyżby bełchatowianie aż tak bardzo stronili od książek, że nie zasłużyli sobie na nic lepszego? Wchodzimy do środka, przeglądamy tytuły wyłożone na ladzie. Nic godnego uwagi. I tak jest od dawna. Co bardziej wartościowe pozycje, czy poszukiwane nowości nie oglądają tu nigdy światła dziennego. Te kilkanaście czy kilkadziesiąt egzemplarzy, jakie dostaje Bełchatów i okolice, często nie wystarcza nawet dla bibliotek i wszystkich znajomych. Przypadkowy miłośnik literatury nie ma tu zatem raczej czego szukać, a pieniądze... Pieniądze może zostawić, jeśli koniecznie już chce je wydać, w pobliskim sklepie, gdzie — w przeciwieństwie do księgarni — już od 13.00 towar czeka na klienta na półkach i to na ogół w dosyć dużym wyborze.

Kawałek dalej jest biblioteka. To też bardzo ciekawe i godne obejrzenia miejsce. Bibliotekarze pokazują je nam z niemal masochistycznym zadowoleniem. Przeciskamy się gęsiego między zapchanymi regałami, by wreszcie dojść do pomieszczenia, gdzie powinny być urządzenia sanitarne, a gdzie również stoją na regałach książki. Dowiadujemy się, że kojarzenie ich zawartości z właściwym przeznaczeniem po-

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Bohdan Gadomski, Jacek Głębski, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakoniecznv, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryiski, Maciej Świerkocki, Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW Prasa — Książka — Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli, osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 1232. H-2

Przegląd prasy

W polskich więzieniach przebywa około 100 tysięcy osób. Rocznie przewija się przez nie prawie dwa razy tyle. Zakłady karne są przeludnione. Nie dla wszystkich skazanych starcza nawet łóżek. Na tej podstawie można by sądzić, że jesteśmy społeczeństwem bardzo zdemoralizowanym. A tymczasem nie jesteśmy gorsi od innych. Pod względem przestępstw skierowanych przeciw zdrowiu i życiu człowieka Polska należy do najbezpieczniejszych krajów.

Skąd więc ten tłok w więzieniach? Otóż mamy dość surowy i mało elastyczny system karny. Takie wyjaśnienie daje w miesięczniku „ODRA" (nr 4) sędzia penitencjarny Sądu Wojewódzkiego we Wrocławiu, Władysław Kupiec, z którym rozmawiał Mariusz Urbanek.

„W krajach zachodnich średnia kara izolacyjna w zasadzie wynosi 4—6 miesięcy, u nas to około 23 miesiące. W naszej praktyce karnej około 35 procent to kary izolacyjne, w krajach zachodnich ponad 80 procent kar to grzywny. Oto prawdziwa przyczyna przeludnienia polskich zakładów karnych. Cóż jednak może począć sąd, nawet przekonany o braku potrzeby izolowania podsądnego, skoro obowiązuje go ustawa z 10 maja 1985 o szczególnej regulacji karnej, która zakazuje warunkowego zawieszenia wykonania kary pozbawienia wolności w przypadku niektórych sprawców, jak też zakazuje warunkowego zwolnienia skazanego z reszty kary, mimo pozytywnej prognozy społeczno-penitencjarnej".

ZAKŁADY KARNE

nie są najlepszymi środkami resocjalizacji. Występuje w nich bowiem drugie życie — działa tzw. grypsera. Ludzie ci mają własne obyczaje, język liczący ok. 1000 słów i specyficzną filozofię życiową. Na czele ich stoją więźniowie najbardziej zdemoralizowani i bezwzględni, mający najdłuższy staż kryminalny. W niektórych zakładach grypsera obejmuje aż połowę skazanych.

Grypserzy prześladują i wykorzystują pozostałych więźniów. Po wyjściu na wolność nie zrywają z przestępczymi zasadami. Mają tak znakomity system informacji, że potrafią zdobyć wiadomości o nowym więźniu nawet z przeciwległych krańców Polski. Sterroryzowany przez nich osobnik boi się przyznać i zameldować strażnikom. Wie zresztą, że grypsujący dosięgną go także poza murami.

Co zatem robić? Władysław Kupiec mówi: *„Wyjście może być tylko jedno: zwiększenie działalności profilaktycznej i zmniejszenie represyjności. W niewielu krajach prawo jest tak rygorystyczne, jak nasze. A jednocześnie dominuje w społeczeństwie przekonanie, niestety podtrzymywane przez prasę, że zakłady karne to niemal sanatoria. Niewielu uświadamia sobie, że jest to pozbawienie człowieka najważniejszej ze swobód — wolności. Że człowiek zamknięty jest w celi, że nie wolno mu poruszać się tam, gdzie chce, że praca jego obwarowana jest wielu rygorami, że ograniczony jest jego kontakt z najbliższymi. Mieliśmy niedawno we Wrocławiu przedstawiciela więziennictwa zachodnioniemieckiego, w którym każdy skazany ma osobną celę, a w niej telewizor, radio, dywan i, dzięki częstym przepustkom, pełny kontakt ze światem zewnętrznym. Podobne warunki — pisała o tym polska prasa — panują w szwedzkich zakładach karnych. Mimo takich luksusów nikt tam do więzienia się nie garnie, bo nie luksus jest ważny, ale fakt pozbawienia wolności".*

Sędzia wrocławski uważa, że warunki więzienne powinny być współmierne do poziomu życia danego społeczeństwa. A u nas istnieją jeszcze zakłady pozbawione kanalizacji. W 1981 roku w więzieniu we Wrocławiu wybuchł groźny bunt. Niektóre żądania były realne i zostały później spełnione.

Od zagrożeń kryminalnych przechodzę do ekologicznych. Trudno uwierzyć, że w Polsce działa około 100 różnych organizacji zajmujących się ochroną środowiska. Jedną z nich jest Polski Klub Ekologiczny. Z jego prezesem, prof. Stanisławem Juchnowiczem rozmawia w „TYGODNIKU POLSKIM" (nr 16) Andrzej Lisowski.

Podczas II Zjazdu Krajowego PKE wysunięto hasło — „Ku cywilizacji ekorozwoju". Klub pragnie uświadomić społeczeństwu granice wytrzymałości środowiska naturalnego. W tym celu konieczna jest powszechna

EDUKACJA EKOLOGICZNA.

Trzeba nauczyć ludzi szerszego spojrzenia na rzeczywistość. *„Chodzi nie tylko o ratowanie zanieczyszczonego powietrza, wód, ziemi, ale i eliminację marnotrawstwa, poprawę komunikacji, bardziej skuteczne planowanie przestrzenne, zaniechanie wszelkich form przemocy, uzdrowienie energetyki..."* Takie kompleksowe podejście zadecyduje w przyszłości o urzeczywistnieniu idei ekorozwoju.

Polski Klub Ekologiczny stanowczo występuje przeciwko energetyce jądrowej. Dlaczego? Stanisław Juchnowicz odpowiada: *„Bo wbrew zapewnieniom fachowców i polityków, elektrownie jądrowe nie są bezpieczne. W wielu krajach ograniczono ich budowę, a Szwedzi postanowili nawet stopniowo zamykać już istniejące (a mają ich dwanaście!) Nadal nie rozwiązano na świecie problemu odpadów radioaktywnych. Szwedzcy geologowie stwierdzili, że zakopywanie ich na głębokości 0,5 km, nawet w skale granitowej nie wystarcza... Mało kto u nas wie, że budowa takiej elektrowni wymaga zainwestowania setek miliardów złotych, a okres eksploatacji obiektu jest bardzo krótki — 30-letni. Potem staje się on bezużyteczny i niebezpieczny. (...) Wszyscy muszą wiedzieć, że są u nas szaleńcy, którzy nawet postulują składowanie w naszym kraju cudzych odpadów radioaktywnych. Za dolary! Tymczasem ekspertyzy PAN wskazują na brak systemowego i kompleksowego podejścia do zagadnień lokalizacji i budowy elektrowni jądrowych".*

Co zamiast energii atomowej proponuje prof. Juchnowicz? Przede wszystkim wzywa do walki z marnotrawstwem. Nasza gospodarka jest zdecydowanie bardziej energochłonna niż we Francji (trzy razy), we Włoszech (dwa razy). Poza tym powinniśmy w większym stopniu wykorzystywać naturalne źródła energii: wodę, wiatr, biogaz, słońce.

Istnieje pogląd, że o losie ekologicznym Ziemi rozstrzygną kraje Trzeciego Świata, gdzie w zastraszającym tempie postępuje degradacja środowiska naturalnego. Stanisław Juchnowicz obserwował to w Nigerii. Mówi on: *„Wielkie chaotyczne skupiska miejskie (w ogóle brak średnich miast), brak kanalizacji, tylko 10 procent ludności korzysta z dobrej wody... W Lagos roczny przyrost mieszkańców wynosi 9 proc.! Do innych miast także trafiają masowo ludzie z małych wiosek. Niemal cała energetyka korzysta tradycyjnie z... drzewa opałowego. Ale najbardziej niebezpieczna jest niska świadomość ekologiczna, nawet wykształconych ludzi. Kiedy mówiłem tam, na jednym z uniwersyteckich kongresów, o konieczności ratowania nie tylko środowiska, ale i miejscowej tradycyjnej kultury, usłyszałem: — Chcecie nas trzymać w ciemnocie i zacofaniu, a my chcemy przemysłu i domów takich jak w Europie..."*

Wygląda na to, że industrializacja i urbanizacja jest przeznaczeniem ludzkości, że wszyscy mogą być mądrzy dopiero po szkodzie. Wszędzie na świecie wielkomiejski sposób życia wypiera społeczności tradycyjne. W szybkim tempie

ZMIENIA SIĘ WIEŚ

Na temat teraźniejszości i przyszłości wsi polskiej wypowiada się w tygodniku „CHŁOPSKA DROGA" (nr 17) socjolog, profesor Jan Szczepański. *„Sądzę, że na naszych oczach dokonuje się bardzo istotny proces: rozchodzą się grupy zjawisk, które dotychczas stanowiły jedność. Inna staje się wieś, którą coraz liczniej zamieszkuje ludność nierolnicza i niechłopska. Rozwój rolnictwa coraz bardziej odrywa się od wsi i w znacznej mierze odbywa się w instytutach badawczych, w coraz większym stopniu zależy od zaplecza przemysłowego, słowem od tego, co się dzieje poza rolnictwem. Trzecie zjawisko to w pewnym sensie rozwój klasy chłopskiej niezależnie od wsi i rolnictwa. To znaczy, że wiele spraw chłopskich, zwłaszcza o charakterze politycznym, wiąże się z instytucjami miejskimi. (...) Twierdzę też z całym przekonaniem, że słabość rolnictwa polskiego wynika przede wszystkim nie ze słabości gospodarstw rolnych, ale ze słabości przemysłu, który miał to rolnictwo wspierać i obsługiwać. Słabość ta jest także wynikiem braku jakiejś rzeczywistej chłopskiej reprezentacji politycznej, z którą by się w Polsce liczono w pełnym tego słowa znaczeniu".*

O przyszłości naszej wsi zadecyduje — zdaniem uczonego — młode pokolenie. Stworzy ono nowoczesne gospodarstwa rolne i nową kulturę ludową. Będzie to kultura ludzi wykształconych, tworzona dla wsi, a nie dla anonimowego rynku miejskiego.

Jan Szczepański był jednym z mówców na drugim posiedzeniu Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa. Stenogram dyskusji zawiera wydanie specjalne „RADY NARODOWEJ" (2). Profesor powiedział między innymi:

„Otrzymaliśmy bardzo sugestywny i dość niepokojący, czasami nawet przerażający obraz stanu naszego społeczeństwa, naszego państwa, naszej gospodarki w postaci bardzo skomplikowanego i bardzo złożonego syndromu i powstaje pytanie: co dalej? (...) Sądzę jednak, że powinniśmy następne posiedzenie poświęcić odpowiedzi na pytanie: co zrobić, żeby społeczeństwo polskie wyprowadzić z tego stanu, w którym ono obecnie się znajduje? Jeżeli nasza Rada ma się czymś zaznaczyć, to właśnie tym, że znajdzie odpowiedź, przynajmniej jakieś elementy odpowiedzi na to pytanie. Gdyż tych opisów, raportów, informacji o tym, jak źle w Polsce, jest już bardzo dużo. Mój Boże, ja sam ileż tego napisałem, ile już artykułów i ileż opisów alarmujących, i w ilu raportach, w ilu komisjach, radach i konferencjach brałem udział, gdzie cały sens tych zebrań sprowadzał się do, nie powiem biadolenia, tylko do rysowania czarnego obrazu i magicznego zawołania: niechże ktoś coś z tym zrobi! (...) Ale nigdy nie wiadomo do kogo ta mowa? Kto to ma zrobić?".

Wydawać by się mogło, że w trudnej sytuacji kraju najlepiej sobie radzi Kościół rzymskokatolicki. Powstaje dużo nowych obiektów sakralnych. Kościoły są pełne wiernych. Jednakże

BISKUP IGNACY TOKARCZUK

nie jest zadowolony. W wywiadzie udzielonym Annie Bernat i Iwonie Sarjusz-Wolskiej, który drukuje „PRZEGLĄD KATOLICKI" (nr 16—17), ordynariusz przemyski sugeruje, że trzeba wznieść jeszcze 700 kościołów, zwiększyć liczbę diecezji do 40 (obecnie mamy 24 pełne i 3 niepełne) oraz zmniejszyć rozmiary parafii do najwyżej 10 tys. wiernych.

Biskup Tokarczuk mówi, że Kościół rezygnuje z chrześcijańskich partii i związków zawodowych. Jego zdaniem — *„wszelka teokracja prędzej czy później Pana Boga kompromituje".* W sprawie konkordatu uważa, że w nadchodzących czasach *„najlepsze będzie rozwiązanie polegające na życzliwym rozdziale Kościoła od państwa".* Chodzi tylko o to, żeby obie instytucje były wolne. Duchowni nie powinni zajmować się polityką; ale prawem i obowiązkiem ich jest troska o sprawy społeczne. Opozycja moralna nie jest polityką.

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Trudne rozgrzeszenie

Być może nie jest to tylko polska maniera — wypowiadanie uogólniających opinii o własnym społeczeństwie, ale dość znamienne wydaje mi się, że są one przeważnie niepochlebne, jeśli chodzi o nasze cnoty obywatelskie (zmysł organizacyjny, dyscyplina społeczna, wytrwałość w działaniu), bardzo natomiast pochwalne w odniesieniu do patriotyzmu (rozumianego jako powszechna gotowość do najwyższej ofiary), wtedy zresztą zamiast o społeczeństwie mówimy o narodzie.

Taka generalizacja zawiera w sobie oczywiście duże ryzyko błędu, nieraz bowiem jakaś niewielka część społeczeństwa (czy narodu) rzucająca się w oczy przez swoją aktualną lub wręcz hałaśliwą postawę wytwarza opinię o całej społeczności, której większość bywa zazwyczaj bierna i np. — jak w czasie niewątpliwie heroicznego powstania warszawskiego — stara się przede wszystkim cało unieść głowę.

Ponadto opinie uogólniające nie uwzględniają też wielu istotnych różnic w obrębie pozornie jednolitej całości, np. różnic środowiskowych czy dzielnicowych, (wielkopolski chłop lub inteligent z „kongresówki"), których sposób reagowania na wiele zjawisk jest mocno odmienny, zarówno intelektualnie, jak i emocjonalnie. Owa więc wypadkowa cech i postaw wcale nie musi być dominująca... A wreszcie któż bada te sprawy naukowo, kto przeprowadza badania porównawcze w skali międzynarodowej? Pomimo tego, a jakże, dyskutujemy przy każdej okazji.

Nie chcę już dalej brnąć w temat, żeby się nie narazić zwolennikom mitologizacji cech narodowych, i to raczej tym, co odnoszą się do nich bałwochwalczo, niż tym, którzy rozdzierają szaty nad rozlicznymi, ich zdaniem, nieprawościami polskiej natury. Jedni i drudzy zresztą bywają skłonni dopatrywać się w postawach narodów roli czynnika dziedzicznego, niektórzy nawet rasowego, choć brak po temu naukowych dowodów.

Żeby jednak zejść ze sfery pojęć odczuwanych raczej jako teoretyczne (co nie znaczy, że należy w praktyce lekceważyć tzw. imponderabilia), zwróćmy przede wszystkim uwagę na fakt, że przeciwstawianie sobie zalet lub wad obywatelskich i patriotycznych jest zabiegiem myślowym dość sztucznym, bo przecież dodatnie czy ujemne cechy obywatelskie i patriotyczne mogą doskonale iść w parze, a nawet one się, w moim przekonaniu, wzajemnie warunkują, choć pewnie nie zawsze tak było.

Ta antynomia obywatela i patrioty zrodziła się, a w każdym razie rozpowszechniła bodaj w czasie zaborów, najmniej zresztą w zaborze pruskim. Nawet niefrasobliwy lekkoduch, hulaka i utracjusz (jak mawiano dawniej: birbant i letkiewicz), skłonny do szulerki i innych świństewek, miał zawsze przed sobą potencjalną szansę moralnej rehabilitacji, gdy w określony sposób — zbrojnie lub konspiracyjnie — dał świadectwo patriotycznemu zaangażowaniu. Wszystkie grzechy i winy obywatelskie były mu wtedy odpuszczone.

Co prawda i wtedy wśród zwolenników pracy organicznej było to zagadnienie dyskusyjne (wśród warszawskich pozytywistów, czy wokół poznańskiego „bazaru"), którzy w podnoszeniu poziomu gospodarowania, oświaty, zdrowotności — przez rzetelną i kwalifikowaną pracę, upatrywali najpewniejszą rękojmię przetrwania narodu, co nie przeszkodziło poznaniakom w stosownej chwili urządzić powstania wielkopolskiego, jedynego polskiego powstania zakończonego osiągnięciem politycznych celów. (Ale nadal potrafimy czcić tylko pamięć ofiar daremnych!).

W Polsce porozbiorowej, niepodległej, zaczęły jednak nabierać znaczenia cnoty obywatelskie i nawet „romantyk" Piłsudski rzucił hasło — dosłownie! — „wyścigu pracy", choć wobec masowego bezrobocia musiał to być wyścig na jałowych obrotach.

Nie ulega też wątpliwości, że zwłaszcza obecnie, kiedy staramy się, z lepszym czy gorszym rezultatem, zreformować zarówno gospodarkę, jak i nasze o niej myślenie, otworzyć szerokie możliwości sprawiedliwego wynagradzania pracy, czyli w proporcji do jej intensywności i jakości oraz użyteczności społecznej (oby wreszcie nauczyciel, lekarz, inżynier przestał zaliczać się do pośledniejszej kategorii zarobkowej!), powinniśmy koniecznie zrozumieć, że zła praca lub uchylanie się od pracy, a więc życie na koszt ogółu (czyli postawa nieobywatelska) jest wszelkiego patriotyzmu zaprzeczeniem i nie da się już w żaden sposób wykoncypować uczciwej motywacji, która by pasożyta społecznego mogła moralnie zrehabilitować.

Po prostu nie ma już realnie takiego, patriotycznego celu, który mógłby dziś rozgrzeszyć z postawy antyobywatelskiej.

PS. We wspomnieniu o Mieczysławie Jagoszewskim miało być, iż zwano go „familiarnie" (tj. poufale) Jagoszem, było natomiast iż „familijnie" (tj. rodzinnie).

JERZY KWIECIŃSKI

Masz kłopoty? Szukasz pomocy? Zadzwoń do „Odgłosów"

36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

ROMAN KUBIAK — poniedziałek i wtorek 10—12

ANDRZEJ KAROLCZAK — środa i czwartek 10—12

Wyrazy serdecznego współczucia

REDAKTOROWI

TOMASZOWI SASOWI

z powodu śmierci

BRATA

składa zespół „Odgłosów"

Moje warszawskie...

WŁADYSŁAW WOLSKI

Na długo przed majem nie można było spać w domu. Trzeba było szukać neutralnych mieszkań, aby uniknąć pochwycenia jeszcze przed świętem.

Niewątpliwie najpotężniejszą demonstracją była dla mnie chyba demonstracja w dniu 1 maja 1919 roku w Warszawie. Przedstawić zaś, dlaczego i czym była potężna, bardzo trudno. Trzeba by chyba pisać o stanie uczuć zgromadzonej tam wielotysięcznej masy.

Był to maj pierwszy po wojnie światowej, którą poprzedziły długie lata ucisku carskiego. Bezpośrednio po ciężkiej okupacji wojsk niemieckich. Demonstrowali wszyscy robotnicy razem, w jednolitym froncie. Pod sztandarami swoich partii politycznych, ale zjednoczonych wspólnym sztandarem Warszawskiej Rady Delegatów Robotniczych. Na balkonie Teatru Wielkiego stał Adolf Warski, przywódca polskich komunistów, a obok niego można było zobaczyć przywódców PPS.

Nigdzie, ani na placu, ani też po drodze pochodów zdążających z dzielnic w zorganizowanych szeregach, nie było policji. Nie widać było wojska, choć niedawno przecież oficerowie kazali żołnierzom strzelać do pochodów robotniczych. Miasto objęli w swe posiadanie robotnicy. Czerwone sztandary były wszędzie, rozbrzmiewały pieśni rewolucyjne.

Plac Teatralny i wszystkie boczne ulice zapełnione były całkowicie. Komuniści śpiewali Międzynarodówkę, a PPS-owcy Czerwony Sztandar. Kiedy jednak orkiestry zagrały Marsyliankę, śpiewali wszyscy. Razem. Okazało się, że hymn narodowy imperialistycznej Francji na wschodzie Europy ciągle jeszcze był pieśnią rewolucyjną. Starzy warszawscy robociarze, weterani rewolucji 1905 roku, śpiewali płacząc.

Czym więc ostatecznie była ta demonstracja tak potężna? Chyba przejawieniem woli walki, zademonstrowaniem swej olbrzymiej siły i wiarą w bliskość rewolucyjnych rozwiązań.

W 1920 roku na demonstracji nie byłem. W styczniu powołany zostałem do wojska. Wprawdzie na zebraniu nielegalnie działającej Rady Delegatów Żołnierskich garnizonu warszawskiego uchwaliliśmy wziąć masowy udział w demonstracji, ale w mojej jednostce nikogo z koszar nie wypuszczono. Zajęć żadnych jednak nie było, nie wyprowadzono nas na żadne ćwiczenia. Gdy zbliżała się godzina demonstracji, śpiewaliśmy pieśni rewolucyjne. Oficerowie nie pokazywali się, nikt nie interweniował. Później dowiedziałem się, że nie we wszystkich pułkach udało się tak szczelnie zamknąć wyjścia. Rozrzucone w wielu jednostkach ulotki komunistyczne także odegrały swoją rolę. Wspólnie z robotnikami demonstrowało wielu żołnierzy w mundurach.

W 1921 roku byłem z powrotem w cywilu, ale pozostałem w wojskowej organizacji. Na demonstracji 1 Maja odpowiadałem za ochronę mówcy, sztandarów, a w szczególności za sztandar Komitetu Centralnego KPRP, który niesiono na czele pochodu. Po wiecu na pl. Teatralnym pochód wyszedł ku Miodowej i później przez całe miasto aż do rozwiązania się koło Dworca przy Marszałkowskiej.

Policja nie zdecydowała się na bezpośredni napad na olbrzymi pochód spokojnie demonstrujących robotników. Pretekst mieli dać prowokatorzy, którzy próbowali wywołać zamieszanie i bójki wewnątrz szeregów. Już na Senatorskiej pierwszego uderzenia spróbowali dokonać SS, w gwarze robotniczej bardziej znani jako „usia-siusia". (Była to organizacja specjalnie powołana do walki z ruchem robotniczym: pracowali jako łamistrajki, rozbijali zgromadzenia robotnicze, a nazywali się Samopomocą Społeczną. Wyskoczyli z bramy wężem, jeden za drugim, z podniesionymi laskami i bijąc nimi próbowali się wwiercić w środek pochodu. Wpadli akurat na szeregi ochrony sztandaru. Byli tam robociarze z dużych zakładów, przeważnie byli wojskowi, zdyscyplinowani i silni. Na komendę: „Stać!" zatrzymali się, wpuścili korporantów między dwa szeregi nie puszczając w głąb. Wąż się nie udał. A robociarze mieli ciężkie laski i twarde ręce, toteż lanie było bezlitosne. Wszystko trwało bardzo krótko, więc po chwili pochód ruszył dalej. Na Miodowej spróbowała druga grupa z takim samym rezultatem. Wszystko odbyło się cicho i tak szybko, że policja nie zdołała dostrzec żadnego incydentu.

Sztandar Komitetu Centralnego został zwinięty dopiero przy rozwiązaniu się pochodu i po zdjęciu z drzewca szczęśliwie uniesiony przez jakąś towarzyszkę. Szpicle wyśledzić jej nie zdołali.

1922 rok już był trudniejszy, choć chwilami zapominało się nawet, że partia komunistyczna jest nielegalna i działa z ukrycia. W przededniu 1 maja, idąc od placu Unii od razu na ścianie pierwszego domu przy ul. Puławskiej zauważyłem naklejoną odezwę. Podszedłem bliżej i stwierdziłem, że odezwa została naklejona chyba przed chwilą, świeżutka, mokra od obficie rozmazanego mącznego kleju. Chociaż był to jeszcze biały dzień.

Poszedłem szybko tak bardzo wyraźnym śladem, widząc taką samą odezwę w coraz to innym miejscu. W końcu dopadłem sprawcę zjawiska w momencie, gdy naklejał kolejny egzemplarz.

Interesowało mnie, kto to robi o takiej porze, więc nie podszedłem do rozklejającego po jego odejściu od muru, lecz zwolniłem kroku i obserwowałem, co będzie dalej. Oczywiście dokonywała tego cała grupa ludzi i według wszelkich prawideł sztuki tego rodzaju. Ale nikogo nie znałem, więc nadal intrygowało mnie, kto to tak pięknie zorganizował w niewłaściwej, bo niebezpiecznej porze.

Tymczasem cała grupa kroczyła naprzód. Na czele szedł zwiad, bacznie śledząc sytuację na ulicy, obserwując i oceniając przechodzących ludzi. Za nimi wolno posuwał się człowiek w zachlapanym ubraniu robotnika budowlanego z kociołkiem wypełnionym klejem. Jeszcze inny uczestnik ekipy z niedbale trzymanym w ręku pędzlem, który zawsze mógł szybko odrzucić, po dokonaniu wyboru odpowiedniego miejsca podchodził do swego towarzysza z kociołkiem, zanurzał głęboko pędzel, następnie oddalał się, żeby posmarować ścianę klejem. I szybko odchodził.

Inny, który z daleka obserwował smarującego ścianę, zbliżał się dopiero po jego odejściu, przyklejał odezwę, przez chwilę udawał, że ją czyta, i powoli odchodził. Zakłóceń nie było, więc zbliżał się łącznik i wręczał mu znów jeden egzemplarz odezwy. Zorientowałem się, że człowiek, który widocznie niósł cały plik odezw, szedł daleko z tyłu i mógł w każdej chwili niepostrzeżenie zniknąć.

Postanowiłem jednak działać. Po naklejeniu kolejnej odezwy zwróciłem się do winowajcy wydarzenia:

— Kończcie tę zabawę. Nie ma żadnego sensu urządzać taką paradę w biały dzień.

Zagadnięty zatrzymał się i nawet nie zdążył nic mi odpowiedzieć, kiedy zostałem otoczony przez kilku ludzi, nacierających agresywnie i żądających, abym szedł swoją drogą. Niewiele brakowało, abym oberwał. Okazało się, że była i ochrona. Na szczęście podbiegł kierownik całego przedsięwzięcia, jak się okazało, sekretarz — w dzisiejszym rozumieniu pełnionej funkcji — a po prostu przedstawiciel organizacji partyjnej robotników budowlanych w dzielnicowej instancji, która wówczas nazywała się zwyczajnie dzielnicą. Z nim znaliśmy się, więc natychmiast wszystko się wyjaśniło i w zgodzie zaczęliśmy rozważać wszelkie za i przeciw metodzie rozklejania odezw w porze, kiedy wszystko widać i łatwo zidentyfikować uczestników akcji. Jako dowód przedstawiłem, że nie znając nikogo, wiem, jaką funkcję kto wypełniał. Tylko ochrony nie spostrzegłem, ale gdybym obserwował trochę dłużej, to i ich bym zauważył. O-

prócz tego same odezwy łatwo jest usunąć, bo nie zdążą one przyschnąć, kiedy policja zacznie je zdzierać. Klejąc w nocy, mamy je rankiem tak przyschnięte, że trzeba je skrobać, a to już trwa dłużej i więcej osób zdoła je przeczytać. Ale przede wszystkim nie wolno tak beztrosko narażać aktywu partyjnego na niechybne aresztowanie.

Ale odezwy rozplakatowywała organizacja murarzy, która zdecydowała, że w swej dzielnicy może to robić w dzień. Tłumaczyli mi, że żaden szpicel nikogo z nich zatrzymać nie zdoła i nie będzie nawet próbował. Poradzić sobie z nimi może tylko większy oddział policji, a zbliżanie się nawet pojedynczego policjanta w dzień jest widoczne.

Inne grupy dokonywały tego jednak w nocy. Sam też kiedyś rozklejałem odezwy, ale na ogół późnym wieczorem. Było bezpieczniej. Bo za to siedziało się w więzieniu. Kniewski i Rutkowski odsiedzieli dwa lata więzienia za rozklejanie odezw.

Demonstracja odbyła się na placu Bankowym. Ogólna sytuacja nic dobrego nie zapowiadała. We wszystkich bramach, na podwórkach była zgromadzona policja. Pochody z dzielnic były po drodze rozpraszane. Wprawdzie tworzyły się znowu, ale przychodziły poszarpane, a wielu ludzi przybywało grupkami lub nawet pojedynczo. Należałem do trójki odpowiedzialnej za demonstrację, a było jasne, że policja czeka na zgromadzenie, aby je rozbić. Z góry było wiadomo, że będzie dużo aresztowanych.

Trzeba więc było szybko zaczynać, a tymczasem zgubiliśmy w tłumie wyznaczonego mówcę. W końcu zaczął przemawiać ktoś zupełnie inny, kto akurat ukazał się obok nas. Przemawiał niedługo — wkroczyła policja i zaczęło się szamotanie.

Demonstracja została rozbita, było wielu aresztowanych. Rozproszone tłumy skierowaliśmy z powrotem do dzielnic robotniczych, gdzie tworzyły się małe pochody — rozbijane w jednym miejscu, odradzały się w innym.

Następne moje demonstracje były już w więzieniach. Było tych więzień kilka i w każdym demonstracja miała inny charakter. Na wolności czerwony goździk czy kokardka na klapie miały znaczenie symboliczne. W więzieniu same przez się były demonstracją. Oczywiście było i maszerowanie ze śpiewem na podwórku więziennym, czasem tylko cichy marsz, niekiedy krótki wiec z przemówieniem, szczytem osiągnięcia był sztandar zza kraty, ale najistotniejsze były czerwone kokardki. Na długo przed majem straż więzienna poszukiwała płótna koloru czerwonego. Kiedyś przeszukali wszystko bardzo dokładnie, nie zwrócili jednak uwagi na jedwabne nici, choć były czerwone. Okazało się, że po związaniu z nich kokardki i postrzępieniu końców igłą można się obejść całkowicie bez materiału — były okazalsze aniżeli ze wstążeczek. Więźniowie polityczni we wszystkich więzieniach demonstrowali solidarnie, bez względu na panujący w nich reżim.

W 1926 roku wyszedłem na wolność przed samym majem. Nie pozwolono mi wziąć udziału w demonstracji. Partia wysłała mnie do Otwocka i nie pozwoliła w ogóle przyjechać do Warszawy. Po śniadaniu wyszedłem przed dom zrezygnowany i smętny. Naraz usłyszałem śpiew — rzeczywiście, gdzieś daleko śpiewali Międzynarodówkę. Pobiegłem. Chwilami nie mogłem zorientować się w kierunku — dookoła las. Kiedy śpiew milkł, zatrzymywałem się. Czekałem. Znów śpiew i wciąż bliżej i bliżej, aż w końcu dopadłem. Zobaczyłem czerwone sztandary demonstrujących ludzi. Dla warszawiaka, przyzwyczajonego do olbrzymich demonstracji, ten pochód był mały, zaledwie kilka sztandarów, ale bezpośrednio po kilku latach więzienia fakt, że robotnicy demonstrują swoją wolę walki nawet w najmniejszej miejscowości, jak i sam pochód pełen namiętności wywarły wrażenie nie do opisania.

W 1928 roku musiałem przed majem wyjechać do Berlina. Wróciłem do Warszawy 2 maja rano, pociągiem z Gdańska. Na dworcu kupiłem gazety i zobaczyłem, że relacje z demonstracji zajmują całe kolumny. A więc lista zabitych, lista rannych i długi wykaz aresztowanych. Gazety podawały, że wielu rannych, po udzieleniu im doraźnej pomocy, udało się do domów.

Zamiast jednak iść do domu poszedłem do najbliższej kawiarni. Nie wiedziałem przecież, jaka jest sytuacja w domu. Moja żona niewątpliwie była na demonstracji. Przejrzałem dokładnie gazety, ale dopiero telefonicznie dowiedziałem się, że mogę iść do domu. Żona z demonstracji wróciła cało. Tylko że bez pantofli. Zostały na placu Teatralnym.

Okazało się, że na placu Teatralnym, w momencie największego skupienia ludzi, spod ratusza strzelała wprost w tłum bojówka Jaworowskiego i Tasiemki. (Było to jeszcze przed dokonanym przez nich później rozłamem w PPS). Nie było ucieczki, bo z tyłu stała zwarta masa ludzi. Nikt nie mógł się czegoś podobnego spodziewać, bo bojówka przybyła z opaskami PPS na ręku i z czerwonymi sztandarami. Powstał popłoch — kto nie zdołał utrzymać się na nogach, był przez tłum stratowany. Ludzie byli przecież bezbronni. W taki to sposób policja, podstawiając prowokatorów, rozprawiła się z demonstracją robotniczą, nie używając broni własnej.

Mimo tego wszystkiego nigdy nie udało się policji zdusić woli demonstrowania. Na odwrót, okres kampanii majowej rozszerzył się w czasie. Rozklejanie odezw, a szczególnie wywieszanie sztandarów już nie ograniczało się do tego jednego dnia.

Nie było to wcale takie łatwe, mimo że organizacje młodzieżowe przejawiały w tych akcjach olbrzymią aktywność. Wszystko wymagało wielkiego wysiłku partii. Policja i szpicle ciągle musieli zdzierać naklejone odezwy, ścierać napisy i zdejmować z drutów zawieszone sztandary.

Sam wieszałem sztandar bardzo dawno — gdzieś w 1917 lub 1918 roku, w czasie okupacji niemieckiej. Później chyba to udoskonalono. W każdym razie cała sprawa polegała na tym, aby mieć dobrą tzw. żabkę. Coś takiego, do czego był przymocowany sztandar, a miało to jednocześnie sprężynę, żeby zamknęła się na drucie, i z drugiej strony, w miejscu przywiązania sznurka, ostrze, aby po zatrzaśnięciu się sprężyny na drucie przecięty sznurek mógł odpaść.

Mieliśmy doskonałą żabkę i upatrzony drut, bardzo wysoko zawieszony tuż przy ul. Puławskiej. Jednak tak wysoko, że wszystkie próby przerzucenia kamienia nie udawały się. Próbowaliśmy oczywiście na kilka dni wcześniej. Ale obok stał wysoki dom, sądziliśmy więc, że z dachu tego domu przerzucimy kamień łatwo, więc już nie próbowaliśmy. Natomiast wzięliśmy ze sobą pewnego piekarza, który był znany z doskonałych, dalekich rzutów. Dostać się na dach nawet obcego domu nie było zbyt dużym problemem. Okazało się jednak, że drut był zbyt wysoko — nie można było przerzucić kamienia. Wyciąganie zaś z powrotem kamienia, uwiązanego na sznurku, po blaszanym dachu wywoływało taki szum, że wzbudziło to zainteresowanie lokatorów. Trzeba było uciekać.

W ciągu długiego czasu powieszenie sztandaru nie udawało się nam. W końcu przy kolejnej próbie przerwaliśmy jakąś główną linię oświetleniową i cały Mokotów został pogrążony w ciemnościach. Znów trzeba było zmykać. Zdecydowaliśmy się szukać schronienia w lokalu Wiedzy Robotniczej. (Rodzaj ówczesnego Uniwersytetu Ludowego, ale od czasu do czasu były tam i zabawy z tańcami). Wybraliśmy drogę najprostszą — przez parkan. Przesadzając parkan, któryś z nas jednak zaczepił nogą za dzwonek, który przeraźliwie się rozdzwonił. Siedzieliśmy w ciemnościach i rozmyślaliśmy, co robić dalej. Wkrótce już będzie świt, a sztandar ciągle nosimy przy sobie. Było źle i jednocześnie śmiesznie.

Po pewnym czasie, kiedy pojawienie się na ulicy nie mogło dać podstaw, aby nas można było posądzić o zerwanie linii — wyszliśmy. Oczywiście nie przez bramę, która była zamknięta, ale znów przez parkan, uważając na ów złośliwy dzwonek.

I nagle, na rogu Puławskiej i Rakowieckiej, zdecydowaliśmy się zawiesić sztandar właśnie tu. Wszystko poszło łatwo, ale dopiero gdy sznurek oderwał się od żabki, a drut się rozhuśtał, spostrzegliśmy, że drut lekko się obniża ku koszarom. Sztandar wolno zjeżdżał ku Niemcom. Rano na ulicy stał tłum, szeroko komentując niezwykłe wydarzenie. „Patrzcie, jacy ci esdecy (SDKPiL-owcy, inaczej socjaldemokraci, czyli esdecy), są silni organizacyjnie — nawet wśród żołnierzy niemieckich mają swoją organizację". Mimo takiego sukcesu muszę stwierdzić, że łatwe to jednak nie było.

Najgorsze były profilaktyczne aresztowania. Na długo przed majem nie można było spać w domu. Trzeba było szukać neutralnych mieszkań, aby uniknąć pochwycenia jeszcze przed Pierwszym Maja.

Długo mi się jakoś udawało, ale gdzieś na początku lat trzydziestych coś przegapiłem i smętny kroczyłem między policjantami do aresztu śledczego. Smętek jednak szybko przeszedł, gdy znalazłem się w celi. Przede wszystkim spotkałem towarzyszy, których dawno nie spotkałem. Więc radość ze spotkania. Że w areszcie? Właśnie — w sytuacji normalnej dla rewolucjonisty. W celach była śmietanka proletariatu warszawskiego. Ludzie śmiali, traktujący swoją sytuację z humorem. Nastrój był świetny. Jeśli ktoś tam zachowywał się cicho i skromnie, to byli to policjanci. Chodzili wokół nas na palcach.

Nikt zresztą nie zwracał na nich uwagi. Do tego stopnia, że jak znudziło nam się stukanie w ścianę dla zorientowania się, kto siedzi w innych celach, a jakiś murarz zrobił uwagę, że po cóż to męczyć się z tym wystukiwaniem pojedynczych liter, kiedy bardzo łatwo jest wyjąć kilka cegieł, a wtedy można mówić po ludzku — cegły były wyjęte. Za narzędzie służyła łyżka. Policjanci udawali, że nic nie widzą — z proletariatem warszawskim nawet w areszcie woleli nie zaczynać.

(Z książki „Kartki kontrowersyjne")

W 1392 ROKU NARODZIŁ SIĘ PROJEKT ROZBIORU POLSKI

Latem 1392 roku przemykał się przez Polskę w stronę północną pewien kupiec. Wędrujący po Polsce kupcy nie byli wówczas niczym dziwnym. Jedni te same trasy przemierzali wielekroć i byli znani kupcom polskim, którzy z nimi handlowali. Inni szli przez Polskę po raz pierwszy i nie byli znani. Ten nie był znany nikomu i wędrował z Węgier do Prus.

Zawędrował pod zamek w Malborku i zażądał widzenia się z Wielkim Mistrzem Konradem Wallenrodem. Okazało się wtedy, że nie jest to żaden kupiec, a sam *„najjaśniejszy książę opolski, wieluński, dobrzyński i kujawski"*, zwany też *„ruskim"* lub *„Naderspanem"* — Władysław Opolski. Przybył on do Malborka, aby sprzedać Krzyżakom... Ziemię Dobrzańską, którą był otrzymał w darze za

Nasza wiedza o przeszłości. Zachodni sąsiedzi Polski łakomie na nią patrzyli. Książę przebrany za kupca przemykał się przez Polskę do Malborka. Konrad Wallenrod nie wierzył tajemnemu wysłannikowi. Czy Władysław Opolski pragnął korony polskiej. „Atleta boży" i przewrotny dyplomata. Dlaczego oczy polskich polityków skierowały się na Litwę?

Zamysł pierwszego rozbioru Polski powstał w 1392 roku

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Nasza wiedza o przeszłości składa się na ogół z legend, mitów, stereotypów oraz niewielkich fragmentów istotnych wiadomości. Na ogół wiemy jeszcze, co się zdarzyło, gorzej jest natomiast z wiedzą o tym, dlaczego zdarzyło się tak a nie inaczej? Co o tym zdecydowało? Jaki był wówczas układ sił politycznych i klasowych? Kto i czyje interesy reprezentował? Ze zdumieniem przyjmujemy na ogół fakt, że na przykład w XIV wieku ten czy ów książę nagle zmieniał orientację i znajdował się w obozie dotychczasowego przeciwnika jako.. jego sojusznik.

W politycznym działaniu — a politykiem lepszym lub gorszym musiał być każdy władca — kierowano się przede wszystkim najprościej rozumianym interesem, materialnymi korzyściami, możliwością zdobycia i utrzymania ziemi, zamków, pieniędzy, klejnotów i innych bogactw. W odwet za takie czy inne posunięcia polityczne przedsiębrano wyprawy zbrojne i najeżdżano ziemie partnera politycznej gry, grabiąc i paląc wszystko, co napotkano po drodze. Często jednak najazdy takie prowadziły do nowej ugody, porozumienia, zawartego już na innych zasadach.

Czasy, jakie zapanowały w Polsce po śmierci Kazimierza Wielkiego, w okresie panowania Ludwika Andegaweńskiego, a także w okresie targów o następstwo tronu po śmierci tego ostatniego, szczególnie sprzyjały wojnom domowym, najazdom i rozbojom. W Polsce nie było wówczas silnej władzy centralnej, a dynastia Andegawenów w trosce o utrzymanie tronu polskiego czyniła polskiej szlachcie liczne ustępstwa w zamian za zgodę na utrzymanie praw do tronu polskiego przez jedną z córek Ludwika Andegaweńskiego, zwanego też u nas Węgierskim. Początkowo myślano o starszej Marii, a dopiero później — gdy Węgrzy powołali ją na tron węgierski — pomyślano o młodszej Jadwidze.

Rośnie więc w Polsce drugiej połowy XIV wieku rozprzężenie, dochodzą do głosu różne ugrupowania sił i interesów, nie zawsze liczące się z interesem państwa jako całości. *„Magnaci i szlachta* — pisze ówczesny kronikarz — *gnębią się wzajemną grabieżą i pożogą i jest nawet takich niemało w królestwie polskim, którzy do tego dążą, aby nie mieć żadnego króla, lecz sobie samym przywłaszczyć dobra koronne i obrócić wszystko według upodobania na swój własny pożytek. Stąd uciemiężenie ubogich, upadek sprawiedliwości, dowolne powodowanie się nie tak słusznością i rozumem, jak raczej popędami chwilowego zachcenia"*.

Byli więc w Polsce po śmierci Kazimierza Wielkiego pretendenci do tronu polskiego, jak choćby Kaźko, książę słupski, byli pretendenci do ręki królewny Jadwigi, jak choćby Ziemowit IV, ale i byli tacy, którzy liczyli być może, że w chaosie tym wygrają własną partię i przypadnie im w udziale rządzenie Polską, jak choćby Władysław, książę opolski. Ale byli też zachodni sąsiedzi, którzy

ŁAKOMYM OKIEM PATRZYLI NA POLSKĘ

Zygmunt Luksemburski miał Polskę przyrzeczoną niejako w posagu, jako mąż Marii, której w udziale miał przypaść tron polski. Używał nawet tytułu: *„pan królestwa polskiego"*. Przyjechał do Polski zjednać sobie zwolenników, ale zyskał przeciwników, gdy odmówił prośbom szlachty wielkopolskiej odwołania znienawidzonego starosty Domarata z Pierzchna. Zyskał też powszechną niechęć, gdy udał się nad granicę terytoriów należących do Zakonu Krzyżackiego, aby tajnie pertraktować z Wielkim Mistrzem.

Paweł Jasienica w „Polsce Jagiellonów" ujmuje to krótko: *„Germanizacja szła w trop za władzą Luksemburgów"*. Karol Szajnocha w „Jadwidze i Jagielle" rzecz traktuje szerzej:

„On, książę Rzeszy Niemieckiej, urzędnik świętego państwa rzymskiego, syn cesarski, a rodzony brat panującego teraz króla niemieckiego Wacława, uchylał teutonizmowi ostatnią przeszkodę zalania Polski. Chcąc nie chcąc, wchodziła Polska pod swoim władcą teutońskim w powinowactwo z Rzeszą Niemiecką, a przy swojej szczupłej podówczas objętości, przy niewielkiej sile odporu, przy odosobnieniu na zewnątrz, a rozdwojeniu wewnętrznym prawdopodobnie niebawem i w polityczny skład państw niemieckich. Steutońszczenie zaś Polski pociągało za sobą rozrost niemieckiego państwa Krzyżaków bez żadnej już zawady w ogromną potęgę niemiecką, obejmującą całe wybrzeże wschodniobałtyckie i Litwę aż po Dźwinę i Dniepr. Cały wschód Europy, na kształt nadelbiańskiej dziedziny Słowian, stawał się ziemią teutońską...".

Czy ówcześni Polacy zdawali sobie z tego sprawę? Należy sądzić, że tak. Mieli już bowiem przykład Śląska, który nie tak dawno wypadł spod wpływów Polski i dostał się pod wpływy Luksemburgów i szybko się germanizował.

Jeszcze za życia Kazimierza Wielkiego rada królewska rozpatrywała — z braku męskiego potomka króla — możliwość objęcia tronu przez któregoś z książąt piastowskich. Kandydatem był prawnuk Władysława Łokietka — Władysław Opolski. Jak pisze Zygmunt Boras w książce pt. „Książęta piastowscy Śląska" rada królewska *„odrzuciła ten projekt, twierdząc, że książęta śląscy, którzy dobrowolnie pogardzili własnym królem i poddali się pod władzę króla czeskiego, stali się niegodni takiego zaszczytu"*. Uznano, że są to *„odstępcy swego rodu, zaprzańcy swej mowy i ojczyzny"*.

Widać z tego, że istniała wówczas świadomość germańskiego zagrożenia, świadomość utraty tożsamości narodowej. Nie wolno jednak do tego stosować miar dzisiejszych. Nie może natomiast ulegać wątpliwości, że zachodni sąsiedzi Polski łakomie patrzyli na nią jako teren swojej ekspansji, jako teren ewentualnego podboju. Im w Polsce panowało większe zamieszanie, tym stawała się ona dla nich łatwiejszym łupem. I być może właśnie dlatego

różne zasługi od Ludwika Andegaweńskiego, Ludwik Węgierski przyznał mu ziemie i zamki Dobrzyń, Bydgoszcz, Gniewków, Inowłodz, Złotorję i Szarlej, ale też zobowiązał go do *„hołdu i przysięgi wierności królom polskim i Królestwu Polskiemu z ziem przyrzeczonych"*. Władysław Opolski szeroko opowiadał o tym nadaniu, lecz pergaminu które to nadanie dokumentowało i uprawomacniało nikomu nigdy nie pokazywał.

Krzyżacy, owszem, Ziemię Dobrzyńską chętnie by zagarnęli, ale kupić jej nie mieli zamiaru, gdyż nie bardzo ufali swemu kontrahentowi. W końcu wzięli ją pod zastaw za 50 tysięcy złotych węgierskich, co było wielką sumą jak na ówczesne warunki. Gdy Władysławowi Jagielle przyszło Ziemię Dobrzyńską wykupić od Krzyżaków musiał zwrócić się do szlachty o zgodę na specjalny podatek przeznaczony na ten cel.

Po właściwej transakcji doszło do rozmowy między Władysławem Opolskim a Konradem Wallenrodem. Była ona poufna, ale Krzyżacy nie tylko mieli dobry wywiad, ale też prowadzili solidną i rzetelną dokumentację spraw tajnych i poufnych. Tak więc również poufna rozmowa Władysława Opolskiego z Konradem Wallenrodem została zarejestrowana i opublikował ją niemiecki dziejopis Jahannes Voigt.

— *Mój pan* — oświadczył Władysław Opolski — *król węgierski, margrabia Moraw i książę Johann Gorlicki, książe rakuski i my uradziliśmy i zgodzili się na to, aby najechać króla polskiego, a ku temu chce nam dopomóc nasz pan, król czeski. Owóż chcą powyżej wymienieni panowie, abyście i wy z tej strony dopomogli do tego.*

Takie oświadczenie wywołało zaskoczenie. Konrad Wallenrod odpowiedział zatem wymijająco, chcąc zyskać na czasie.

— *Panie, nie wiemy, co wam na to odpowiedzieć należy.*

Władysław Opolski poczuł się tym zachęcony do ujawnienia dalszych szczegółów.

— *Panie* — rzekł — *nie wiecie jeszcze, jak owi panowie ułożyli to między sobą. Owóż tak sobie ułożyli, iż nie chcą mieć więcej żadnego króla w Polsce i ułożyli prócz tego, aby co po tej stronie Kalisza leży, aby to wszystko wraz z Mazowszem należało do Prus; a co po tamtej stronie Kalisza, jako też Kraków, Sędomierz, Łęczyca, Ruś z krajem przyległym, aby należało do Węgier. Co zaś leży nad Wartą wraz z krajem po tej stronie leżącym, to miałoby należeć do Marchii i do pana naszego króla rzymskiego.*

Konrad Wallenrod postanowił nadal być ostrożnym mogła być to przecież prowokacja, podstęp. Plan był zachęcający, ale budził wątpliwości. Powiedział więc:

— *Panie, o tym nie wiedzieliśmy wprzódy ani słyszeli i nie wiemy, co na to odpowiedzieć, ponieważ mamy dokumenty Polaków, a oni wzajemnie mają nasze, aby wieczysty pokój panował między krajami polskimi a naszymi. Ale pokój ten bywał często zgwałcony na nas; przeto gdyby tak stać się mogło, aby nasz Ojciec święty, papież, ogłosił na nich krzyż, a pan nasz, król rzymski, miecz, i gdybyśmy do tego prawnie zawezwani zostali, natenczas co byśmy z obowiązku naszego uczynić mieli, to byśmy uczynili według naszej możności.*

Władysław Opolski zrozumiał, że Krzyżacy nie byli od tego, aby wziąć udział w takiej wyprawie przeciw Polsce, chcieliby wszakże, aby miała ona błogosławieństwo papieskie w imieniu Boga i cesarskie w imieniu najwyższej władzy ziemskiej. Władysław Opolski zrozumiał, że się od samej idei nie odwracają, ale są ostrożni. Zaproponował więc wysłanie posłów do króla Węgier Zygmunta Luksemburskiego i aby ci posłowie mieli odpowiednie pisemne pełnomocnictwa. Propozycja ta przeraziła lekko Konrada Wallenroda. Co innego przecież umawiać się poufnie, a co innego wysyłać posłów z pisemnymi pełnomocnictwami. Rozsądny konspirator tego nie robi.

— *Panie* — rzekł więc — *tego się nam czynić nie godzi. Więcej takich pomiędzy nami, którzy radziby nie mieszać się w takie rzeczy. Nadto gdybyśmy wyprawili kogo w imieniu naszym z mocą zupełną, musiałoby to być pod pieczęcią naszą, a w takim razie mógłby przejąć kto naszych posłów i znaleźć pieczęci przy nich. Albo mógłby kto przywieść siłą do tego, iżby wydać musiano listy na siebie albo na Zakon. Wtedy łatwo by przyszło dać zapis, ale trudno by go było dotrzymać.*

Wacław Opolski zrozumiał, że więcej już nie osiągnie.

— *Dobrze* — rzekł — *więc opowiemy to królowi panu naszemu.*

Konrad Wallenrod obawiał się tego, gdyż tajemny wysłannik łatwo mógł powiedzieć to, co byłoby jemu i Zakonowi nie na rękę. Rzekł tedy:

— *Panie, możecie to uczynić, ale w naszym imieniu nie powinniście mu tego powiadać pod żadnym względem.*

A widząc, że Władysław Opolski ciągle nie chce zrezygnować i próbuje wymóc jakieś konkretne zapewnienie, na koniec zaproponował:

— *Kochany panie, jeśli rozmawiać chcecie z nami o tych sprawach, tedy byłoby zdaniem naszym i radą naszą, abyście waszą myśl i zdanie wasze dali nam pisemnie na papierze, abyśmy je należycie wyrozumieli. A wtedy pomyślelibyśmy wzajemnie, abyśmy także naszą myśl i zdanie nasze dali pisemnie na papierze. Takim sposobem moglibyście wyrozumieć zdanie nasze, a my podobnież wasze i moglibyśmy się stosować obopólnie do tego.*

Myśl była chytra, ale i łatwa do przejrzenia. Władysław Opolski miał pierwszy spisać swoje myśli i dać je Krzyżakom. Tego nie wolno mu było uczynić. Odmówił zdecydowanie mimo różnych prób nakłonienia go. Krzyżacy zrozumieli, że być może posłanie jego było próbą sondażu, albo wręcz myśl taka przyszła mu bez konkretnych uprawnień nadanych przez Zygmunta Luksemburskiego. Relacjonujący to spotkanie napisał więc:

„Skąd też zrozumieliśmy dobrze, iż mowy jego żadnej mocy nie miały".

Władysław Opolski znów przebrał się za kupca i chyłkiem potajemnie przemykał przez Polskę, gdyż już wieść o oddaniu pod zastaw Krzyżakom Ziemi Dobrzyńskiej była się rozeszła i mało by mu kto takie draństwo darował.

KIM BYŁ KSIĄŻĘ WŁADYSŁAW OPOLSKI ?

Politykiem był zręcznym. Ludwik Andegaweński tytułował go: *„nasz rzeczywisty i prawny prokurator, aktor, faktor, negocjator, poseł i umyślnie wysadzony ku temu syndyk"*. Był niewątpliwie wykształcony. Karol Szajnocha wszakże uważa, że był umysłową miernotą i nic mu się nie udawało. Opinia to trochę zbyt surowa, gdyż jego umiejętności mediatorskie wysoko cenił Ludwik Andegaweński, a papież swoim wysłannikom na Węgry polecał najpierw rozmowy i układy z księciem opolskim Władysławem. Inna rzecz, że był chciwy, ambitny i więcej wydawał niż posiadał, dlatego też ciągle był w długach i na starość, gdy wyczerpały się już wszelkie możliwości matactwa, wszelkie możliwości intrygowania i grania, pozostał na łasce krewnych, którzy mu łaski tej skąpili. Karol Szajnocha napisał o nim, że miał *„wszędzie wrogów bez liku"*. Stało się mianowicie tak dlatego, że *„wiodła go bowiem pokusa w nader częste staranie o jakieś zyski wątpliwe, nabytki podejrzane, które w końcu ściągały nań rój adwersarzy"*.

28 marca 1383 roku odbył się w Sieradzu drugi zjazd szlachty, na który przybył również Władysław Opolski. Opierając się na jego wizerunkach wybitych na pieczęciach Karol Szajnocha tak go maluje:

....na miejscu czesnym zwracał oczy na siebie poważny książę Opolczyk, mający w tej chwili zapewne ową spokojną mieszczańską minę, (...) skromnie ku ziemi spuszczone oczy, zwisające trzema gładkimi kosmykami wąsy i broda, i wcale wygodny ubiór mieszczański o niezmiernej, w górę wykładanej czapce pilśniowej".

Urodził się około 1330 roku. Jego ojcem był Bolko II, a matką Elżbieta księżna świdnicka. Elżbieta była córką Bernarda Świdnickiego i Kunegundy Łokietkówny. Elżbieta była więc wnuczką Władysława Łokietka i siostrzenicą Kazimierza Wielkiego. Władysław — najstarszy syn Bolka II i Elżbiety świdnickiej — był więc prawnukiem Władysława Łokietka. Był zatem blisko spokrewniony z Kazimierzem Wielkim i mógł — ze względów pokrewieństwa — kandydować do korony polskiej. Jan Długosz nawet utrzymuje, że kandydował do ręki Jadwigi, ale niektórzy skłonni są uważać, że Jan Długosz się mylił.

Śląsk Opolski był krainą biedną, lesistą, nie dawał gwarancji dostatniego życia. Bolko II podzielił na dodatek swoje księstwo pomiędzy dwóch synów: Władysława i Bolka III. Władysławowi dostało się Opole. Ale obaj książęta szybko zrozumieli, że władanie tą ubogą ziemią na nic się zda i biorąc przykład z postępowania ojca ruszyli w świat służyć innym.

W Pradze u Karola IV przeważali książęta niemieccy, wśród których obaj opolanie czuli się niepewnie i obco. Ruszyli więc do Budy, na dwór Ludwika Andegaweńskiego, na Węgrzech zwanego Wielkim. Stało się to w 1359 roku. Władysław Opolski rychło zdobył sobie uznanie Ludwika Andegaweńskiego i uważany był za jego prawą rękę. Okazało się, że posiadał talent zręcznego dyplomaty. Sprytnie rozegrał *„wojnę o cześć kobiecą"*, jaka groziła Ludwikowi Andegaweńskiemu. Karol IV bowiem pozwolił sobie na publiczną zniewagę Elżbiety Łokietkówny, matki Ludwika. Władysław Opolski miał nawet stanąć na czele wojsk węgierskich w tej wojnie, ale — ku zadowoleniu obu stron — udało się jej uniknąć. Pośredniczył też w układach przedmałżeńskich między Wacławem a bratanicą Ludwika — Elżbietą. Te sukcesy dyplomatyczne dały mu tytuł wojewody królestwa węgierskiego i żupana bratysławskiego. Otrzymał też liczne i rozległe dobra na Węgrzech.

Był świadkiem przy spisywaniu testamentu Kazimierza Wielkiego, ale po jego śmierci działał na niekorzyść Kaźka słupskiego, doradzając Ludwikowi Andegaweńskiemu jak ma pozbawić go darowizny. Zresztą poza pasem ziem polskich graniczących z księstwem opolskim, jakie dostał w uznaniu zasług dla dynastii Andegaweńskiej, otrzymał też — niejako w spadku po Kaźku słupskim, zwanym też pomorskim — niektóre ziemie pierwotnie mu nadane przez Kazimierza Wielkiego, jak i te które mu z łaski Ludwika Węgierskiego pozostawiono.

Brał udział w zjeździe monarchów w Krakowie — i słynnej uczcie u Wierzynka — był świadkiem koronacji Ludwika Andegaweńskiego, został kuratorem małżeństw Marii z Zygmuntem Luksemburskim i Jadwigi z Wilhelmem Habsburgiem. Towarzyszył Wilhelmowi w jego podróży do Krakowa w celu dopełnienia zaślubin dokonanych przed laty w Haimburgu. Ale gdy tylko zorientował się, że trwanie przy przegranym Wilhelmie grozić może odebraniem nadanych mu ziem — i odrywanych od Polski — natychmiast stał się zwolennikiem Jagiełły i jego starań o rękę Jadwigi.

W 1372 roku został wielkorządcą Rusi Czerwonej. Uczynił Lwów jej stolicą; założył arcybiskupstwa i trzy biskupstwa. Przyczynił się do rozwoju handlu i miast na Rusi Czerwonej, ale choć za zasługi dla krzewienia katolicyzmu na Rusi otrzymał tytuł *„atlety bożego i chorążego królestwa niebieskiego"*, to nadano mu też przydomek *„Ruski"*, co nie było wyrazem sympatii. Bali się go i nie lubili mieszczanie, szlachta i duchowni. Jedynie Żydzi odnosili się do niego przychylniej, gdyż stale pożyczał u nich pieniądze. Niechęć budziły też jego starania o pozyskanie sympatii Zakonu Krzyżackiego, co w Polsce ówczesnej było niemile widziane i źle oceniane.

Warto tu może przypomnieć, że w 1382 roku sprowadził i uposażył paulinów w Częstochowie. Tam też — choć zamierzał najpierw zawieźć go do Opola — umieścił cudowny obraz Najświętszej Matki Boskiej — później nazwanej Jasnogórską.

Czy myślał wówczas nadal o koronie polskiej? Czy jego przeróżne zabiegi, intrygi i gry polityczne to miały na celu, czy tylko kierował się interesem własnym i chęcią utrzymania nadanych mu przez Ludwika Andegaweńskiego dóbr rozlicznych? Trudno na to pytanie odpowiedzieć. Ale faktem jest, że w 1389 roku — dokładnie 16 maja — dokonał zbrojnego zamachu na zamek królewski w Krakowie, podczas nieobecności tam Władysława Jagiełły, który udał się do klasztoru w Mogile. Zamach się nie udał dzięki czujności Sędziwoja z Szubina, a Władysław Jagiełło wielkodusznie wybaczył mu ten czyn haniebny. Po co to Władysław Opolski zrobił? Jaka myśl mu w tym przyświecała? Przecież Władysław Jagiełło był prawowitym królem Polski. Ale nie zapominajmy, że w 1392 roku przedsięwziął tajemną wyprawę do Malborka — w przebraniu kupieckim — aby nie tylko zastawić tam Ziemię Dobrzyńską, ale i zapoznać Konrada Wallenroda z planem rozbioru Polski.

W końcu odmówił złożenia hołdu Polsce, zwrotu zagarniętych ziem i doszło do wojny opolskiej, którą przegrał i po której opuszczony i zdany na łaskę krewnych dokonał żywota 8 maja 1401 roku.

Cała działalność Władysława Opolskiego jasno ukazywała współczesnym Polakom, skąd idzie dla Polski zagrożenie, jak również i to, że męża dla Jadwigi szukać należy nie pośród książąt zachodnich dworów, a zupełnie gdzie indziej. Gdzie zatem? Oczy wielu ówczesnych polityków skierowały się na wschód, gdzie swoje ogromne posiadłości rozciągała Litwa.

ze str. 1

mieszczenia nie jest jednak niczym uzasadnione. To dział historyczny. Ze zrozumieniem kiwamy głowami — podobnie jak na wieść, że na jednego czytelnika przypada tu 0,2 książki, a na jednego statystycznego mieszkańca miasta — jeden tom i kilka rozdziałów z następnego. Dobrze, że niemowlęta nie potrafią czytać!

Mimo wszystko dyrektor Jan Jasiak nie traci nadziei, że doczeka jeszcze lepszych czasów. Powstała 30 lat temu Miejska Biblioteka Publiczna w Bełchatowie ma się bowiem przenieść do pałacyku Olszewskich, który może wydawać się rajem po obecnych 144 metrach kwadratowych dawnego lokalu gastronomicznego z wyszynkiem.

— A kiedy przeprowadzka?

— *Niedługo, za jakieś pięć, sześć lat jak dobrze pójdzie. Najpierw trzeba wykwaterować jedenastu mieszkających w pałacyku lokatorów wraz z rodzinami, a potem wyremontować go, zachowując zabytkowy charakter. Oprócz biblioteki znajdzie się tam muzeum i salon wystawowy. Dokumentacja jest już przygotowywana w Łodzi.*

Wykonanie samej tylko ekspertyzy pałacyku Olszewskich trwało rok. Gdyby elektrownię w Rogowcu miano budować w takim tempie, w jakim zamierza się przenieść bełchatowską książnicę do nowej, ale jak by nie było istniejącej już siedziby, pierwszy prąd popłynąłby z Rogowca najwcześniej w połowie przyszłego tysiąclecia. No, może trochę przesadzamy, ale w tym tysiącleciu na pewno jeszcze nie.

4.

„Pierwsze lata po zakończeniu II wojny światowej to okres spontanicznego tworzenia życia kulturalnego w Bełchatowie, koncentrującego się głównie przy szkołach. W latach 1946—1950 bogatą działalność artystyczną przy Szkole Podstawowej nr 2 im. A. Mickiewicza prowadziła pełna twórczej pasji nauczycielka — Celestyna Miller. Utrzymywano wówczas kilka zespołów dziecięcych, z których na wyróżnienie zasługiwały: chór, zespół wokalny oraz zespół teatralny w dwóch grupach wiekowych. Młodszy w 1949 r. wystawił sztukę pt. „Laleczka z saskiej porcelany", starszy natomiast: „Grube ryby" Bałuckiego, „Pana Jowialskiego" oraz „Jasełkę". (...)

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności dla Bełchatowa było przybycie w roku szkolnym 1953/54 do miasta nauczyciela muzyki, Eugeniusza Dziusia, człowieka niezwykle oddanego rozwijaniu kultury muzycznej wśród młodzieży (...) Wkrótce też profesor Dziuś tworzy liczny zespół akordeonowy, a następnie skrzypcowo-akordeonowy...

Utworzenie w styczniu 1956 roku powiatu bełchatowskiego powstałego z peryferyjnych obszarów powiatów: piotrkowskiego i łaskiego, stało się dla miasta silnym bodźcem rytmicznego rozwoju zarówno w dziedzinie gospodarczej jak i kulturalnej. (...) W Bełchatowie utrzymywano kilka zespołów, a wśród nich chór mieszany, orkiestrę dętą, zespół instrumentalno-wokalny, tercet żeński oraz kwartet męski.

Powołanie Domu Kultury w Bełchatowie miało niebagatelny wpływ na rozwój życia kulturalnego w mieście. Poza funkcją instruktażową i koordynacyjną podejmował on będzie odtąd działalność artystyczną i oświatową dla szerokiego kręgu bełchatowskiej społeczności. W ciągu pierwszych trzech lat istnienia, tj. od 1972 roku do roku 1974 zorganizowano tutaj 315 imprez z liczbą 109 tys. osób uczestniczących, a w dwa lata później tj. w 1976 roku aż 853 imprezy dla 172 tys. osób (w tym 603 seanse filmowe dla 70 tys. widzów".

Są to fragmenty nie opublikowanej dotąd monografii Bełchatowa Jana Jasiaka.

A dzisiaj?

Dyrektor Miejskiego Ośrodka Kultury, Henryk Owczarek nie tai, że placówka, którą kieruje za 24 tysiące złotych miesięcznie, mogła zaspokajać w miarę potrzeby kulturalne 10-tysięcznego miasteczka, ale w żaden sposób nie jest w stanie — pięć razy większego miasta. Kiedy do Bełchatowa wszedł wielki przemysł, mówiono, że kultura będzie tu traktowana na równi z innymi dziedzinami życia. Obiecanki-cacanki! I dlatego jest tak, jak jest, czyli relatywnie gorzej niż przed laty. Niewiele zmieniła się baza kulturalna, niewiele zmieniły też metody pracy i sposób patrzenia na kulturę, choć pewne formy dawno się już przeżyły i ludzie oczekują czegoś innego, nowego.

Przy MOK działa amatorska kapela podwórkowa „No i jeszcze coś", zespół wokalno-instrumentalny „Kamerton", dwa zespoły młodzieżowe, dziecięcy zespół tańca ludowego i nowoczesnego, dziecięcy zespół teatralny, a także amatorski teatr „BAT".

„BAT" istnieje od pięciu lat i ma już na swym koncie trzy premiery: „Piotrusia" W. Szypulskiego, „Striptiz męski, czyli rzecz o miłości" W. Dychawicznego oraz „Kłopoty i radości króla jegomości" według Andersena. Dawniej Bełchatów odwiedzany był przez Teatr Ziemi Łódzkiej, ale ten już nie istnieje i lukę po nim stara się wypełnić po części chociaż „BAT". Gra, gdzie się da: w wiejskich ośrodkach kultury, w szkołach, uświetnia imprezy choinkowe. Aktorzy bawią się dobrze, rozwijają swe zainteresowania, zaspokajają ambicje. Publiczność... Najwdzięczniejsze są dzieci i to wiejskie, bo dla nich teatr, jakikolwiek teatr, to coś niezwykłego, to bardzo ważne wydarzenie. Bełchatowskie latorośle są już mniej spontaniczne, nie tak otwarte i szczere. Z dorosłymi bywa różnie. W Dłutowie na przykład na spektakl przyszło aż... 5 osób mimo, że w tytule sztuki zapowiadano striptiz. Trudno powiedzieć, dlaczego. Ludzie woleli siedzieć w domu przed telewizorem.

W MOK, w którego skład wchodzi również kino, pracują w sumie 24 osoby, a dwa etaty są wolne, gdyż pracownicy uciekają stąd ze względu na trudne warunki, a przede wszystkim — niskie płace. Dyrektorowi Owczarkowi kopalnia też proponowała miejsce u siebie i od razu 30 tysięcy na miesiąc. To już są jakieś pieniądze, choć i tak mniej od przeciętnej płacy górnika. Ale dyrektor Owczarek nie przyjął propozycji. Chce w swym fotelu doczekać emerytury.

5.

W Wydziale Kultury, Kultury Fizycznej i Turystyki Urzędu Miasta w Bełchatowie trafiliśmy na porządkowanie numerów startowych po odbytym poprzedniego dnia ogólnopolskim biegu ulicznym. Okazało się, że nie miał kto tego zrobić, musieli więc w końcu sami urzędnicy. Ale impreza udała się. Napisano o niej nawet w gazetach.

Wydział stara się jak może, a że mało może, to już nie jego wina. Skromniutka baza, śmiesznie małe fundusze — nowy kierownik, Jan Wionczyk szuka w naszych oczach zrozumienia.

— *Oferta kulturalna ze strony miasta jest niewątpliwie za mała* — mówi — *i wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę. Gdybyśmy dysponowali takimi funduszami i możliwościami, jakie ma na przykład kopalnia... Zresztą muszę powiedzieć, że kopalnia robi dla kultury w mieście bardzo dużo. Chętnie z nią współpracujemy. Kopalnia pomogła nam w organizacji eliminacji konkursu piosenki radzieckiej, kopalnia drukuje nam plakaty, zaproszenia, kopalnia ma najlepszy w Bełchatowie sprzęt nagłaśniający, no i to kopalnia przecież wybudowała halę sportowo-widowiskową, z której tak często korzystamy.*

(Wcześniej już dowiedzieliśmy się, że również w kopalnianym klubie „Gwarek" prowadzone są kursy języków obcych, a w kopalnianej „posiadłości" w Domiechowicach — czynny latem basen, kawiarnia i korty tenisowe).

— *Natomiast jeśli chodzi o inne przedsiębiorstwa, to dobrze działa klub przy „bawełniance", klub przy Bełchatowskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, w klubie „Energetyk" organizowane są nawet ogólnopolskie turnieje brydżowe. Co jeszcze? No, mamy w mieście szkołę muzyczną I stopnia, utworzoną na bazie działającego dawniej ogniska muzycznego. Mamy kopalnianą orkiestrę...*

Kopalnia jest bogata jak naftowy szejk, a miasto biedne jak mysz kościelna. Miasto dostaje rocznie prawie 25 milionów złotych z funduszu rozwoju kultury i na więcej nie może raczej liczyć, a suma ta wraz z dochodami własnymi (na przykład za projekcje filmowe) musi wystarczyć na zakupy książek do biblioteki, działalność MOK, dwóch wiejskich domów kultury, klubu „Piwnica" i na wydatki Wydziału Kultury. Kopalnia wydaje rocznie 50 milionów złotych tylko na utrzymanie swojej hali sportowo-widowiskowej. To porównanie wyjaśnia wiele, choć na pewno nie wszystko.

6.

Bełchatów z pierwszych stron gazet — nowoczesny, dynamiczny, pracowity, kolejny już rok ratuje bilans energetyczny kraju. Bełchatowscy górnicy wykonali roczny plan wydobycia przed terminem... Oddano do użytku kolejny blok energetyczny o mocy... Słowa uznania, gratulacje, zaszczyty...

Ten Bełchatów znajduje się w Rogowcu. Jest jeszcze drugi Bełchatów — niegdyś biedne, powiatowe miasteczko, a dziś ponad 50-tysięczna sypialnia i na razie niewiele więcej. Tego Bełchatowa dziennik telewizyjny nam nie pokazuje, a łamy prasy goszczą bardzo rzadko, gdyż wyraźnie odstaje on od utrwalonego już stereotypu tego pierwszego, jest jakby jego cieniem i — do pewnego stopnia — balastem. Czy jednak znaczy to, że nie ma co pokazywać i o czym pisać? Wprost przeciwnie.

W Bełchatowie brakuje 800 miejsc w przedszkolach.

W 1986 roku nie przyjęto do przedszkoli 300 dzieci.

W szkołach podstawowych na jedną izbę lekcyjną przypada średnio 55 uczniów.

Szkołę Podstawową nr 4 zaprojektowano dla 450 uczniów, a uczy się w niej ponad 1000!

Lekcje trwają nieprzerwanie od 8 do 18.

Potrzeba dwa razy więcej izb lekcyjnych niż jest.

Na ponad 20-tysięcznym osiedlu Dolnośląska nie ma do tej pory ani jednej pełnej szkoły podstawowej.

Wydział Oświaty i Wychowania Urzędu Miasta w Bełchatowie dysponuje sumą zaledwie 1 miliona złotych rocznie na remonty bieżące podlegających mu placówek oświatowych.

Dzisiejsi uczniowie bełchatowskich szkół jutro zajmą miejsca pracy swych ojców i matek, kontynuować będą zaczęte przez nich dzieło. Z jakim rezultatem — zależy od tego, czego ich nauczymy i jak wychowamy.

Literatura, film, plastyka, muzyka, teatr odgrywają w procesie wychowania olbrzymią rolę — kształtują wrażliwość, poczucie piękna i harmonii, są nośnikami najszerzej rozumianego humanizmu. Dlatego kultura jest tak samo potrzebna w Bełchatowie jak megawaty i to nie dopiero w jakiejś bliżej nie określonej przyszłości, ale od zaraz i przez cały czas.

Życie miasta jest jak wielki układ naczyń połączonych: obniża się poziom w jednym naczyniu, obniża i w pozostałych. Zależność między książką czekającą na czytelnika w księgarni lub bibliotece, biletem na dobry koncert, czy choćby możliwością pójścia na dancing w restauracji (nie mylić z dzież. z zaniedbanej młodzieży... Mechanizm jest doskonale znany.

Zaklęty krąg niemożności: miasto nie ma pieniędzy, ogląda się więc na przemysł, który ma, ale nie wszystko przecież może. I tak już dużo dla miasta robi. Rodzice oglądają się na szkołę, szkoła — na rodziców. Nauczyciele często czują się bezradni. W takich warunkach... — mówią. Rodzice często prawie wcale nie widują swoich dzieci, bo pracują od rana, a dzieci chodzą do szkoły po południu.

7.

Było popołudnie, zwykły roboczy dzień. W Bełchatowie kulturalne imprezy organizuje się zazwyczaj w środku tygodnia, gdyż na sobotę i niedzielę mieszkańcy wyjeżdżają w swe rodzinne strony.

Chcieliśmy kupić bilety. W Miejskim Ośrodku Kultury nie było, ale zapewniono nas, że będą sprzedawane przed koncertem. Na pewno. Za kwadrans siedemnasta przed salą widowiskową „bawełnianki" zebrała się garstka chętnych. Mieli karty wstępu rozprowadzane przez zakład pracy. Za półdarmo, więc wzięli. Organizatorów ani śladu. Po dłuższych oczekiwaniach odnaleźliśmy ich w biurze na zapleczu. Zajęci byli bardzo ważnymi sprawami.

— *Bilety? Bilety są, tylko nie ma tej pani, która je sprzedaje. Powinna zaraz przyjść.*

Nie przyszła.

O siedemnastej „bramkarze" wepchnęli wszystkich do środka — tych z biletami i tych bez. Bo teraz pieniądze nie są już ważne. Ważne, żeby zrobić frekwencję. Frekwencja zajmuje tylko pierwsze rzędy.

Janusz Laskowski wyglądał na zadowolonego: kokieteryjnie uśmiechnął się do publiczności, zapewniał, że kocha Bełchatów, siedem dziewcząt z Albatrosa, żółty jesienny liść, ale najbardziej lubi blaszane zegarki, pierzaste koguciki, balonliki na druciku i cukrową watę. A poza tym grał na gitarze i śpiewał. Kiedy się zmęczył, „znany aktor scen łódzkich", którego nazwisko jakoś uleciało nam z głów, wyrecytował parę krotochwilnych wierszyków z pamięci.

Wyszliśmy po półgodzinie wraz z grupą miejscowej młodzieży. Ci którzy zostali, bawili się jak za dawnych dobrych lat. Wszystko się zmieniło, zmieniliśmy się my, tylko Janusz Laskowski pozostał ten sam.

ROMAN KUBIAK
PAWEŁ TOMASZEWSKI

Okolice kolorowych jarmarków

Ankieta

DRODZY CZYTELNICY

Prosimy o uważne i staranne wypełnienie zamieszczonej ankiety oraz przysłanie jej pod adresem redakcji.

Odpowiedzi na ankietę pomogą lepiej redagować tygodnik, stosownie do Państwa życzeń i zainteresowań. Ankietę można podpisać lub nie. **Osoby, które chcą wziąć udział w losowaniu atrakcyjnych nagród książkowych prosimy o podanie adresu.**

1. Od jak dawna jest Pan(i) czytelnikiem „Odgłosów"? (proszę podkreślić) — 1 — od paru tygodni, 2 — od kilku miesięcy, 3 — od roku, 4 — od 2 lat, 5 — od 3 lat, 6 — od 4 lat, 7 — od 5 lat, 8 — od 10 lat, 9 — od 20 lat, 10 — od początku.

2. Czy czyta Pan(i) „Odgłosy"? 1. Stale, każdy numer, 2. dorywczo, od czasu do czasu.

3. Proszę wskazać powód, który decyduje o tym, że czyta Pan(i) „Odgłosy" (proszę podkreślić najwyżej dwie możliwości)
   1. Przywiązanie, przyzwyczajenie, wieloletni związek z pismem,
   2. Atrakcyjność artykułów,
   3. Lokalny charakter tygodnika — interesują mnie materiały prasowe dotyczące spraw Łodzi,
   4. Odpoczywam przy lekturze,
   5. Inny (jaki?) . . . . . .

4. Jaką ocenę postawił(a)by Pan(i) „Odgłosom" wg systemu ocen szkolnych? (proszę podkreślić): 5 — b. dobra, 4 — dobra, 3 — dostateczna, 2 — niedostateczna.

5. Jakie stałe pozycje (rubryki) czyta Pan(i) najchętniej w „Odgłosach"?
   . . . . . .
   . . . . . .

6. Jakie sprawy, tematy, problemy interesują Pana(ią) najbardziej w „Odgłosach"?
   1. Handel, zaopatrzenie rynku
   2. Ceny, zarobki, warunki życia
   3. Sytuacja gospodarcza kraju (produkcja, przemysł)
   4. Polityka
   5. Kultura (sztuka, literatura, film, teatr, wideo, muzyka młodzieżowa)
   6. Nauka (badania, odkrycia naukowe, praca uczonych)
   7. Technika, postęp techniczny, motoryzacja
   8. Sprawy młodzieży
   9. Problemy społeczne (obyczaje, opinie, poglądy, postawy, zachowania)
   10. Patologia społeczna (narkomania, alkoholizm)
   11. Sport
   12. Sensacje
   13. Listy czytelników, interwencje
   14. Powieść (fragmenty)
   15. Poezje
   16. Sądownictwo, praworządność
   17. Historia
   18. Religia, wyznania, kościoły
   19. Zdrowie, medycyna
   20. Rodzina, dom
   21. Rolnictwo — gospodarka żywnościowa

7. Proszę przedstawić swoje uwagi, propozycje, o jakich sprawach, problemach Pana(i) zdaniem pisze się w „Odgłosach" za mało?
   . . . . . .
   . . . . . .

8. O czym w „Odgłosach" pisze się za dużo?
   . . . . . .

9. Jakie są zdaniem Pana(i) największe wady „Odgłosów"?
   . . . . . .

10. A jakie zalety?
    . . . . . .

11. Czy przypomina Pan(i) sobie jakąś publikację w „Odgłosach", która utkwiła Panu(i) w pamięci w ostatnim okresie?
    . . . . . .

12. A może pamięta Pan(i) jakiś interesujący tekst sprzed kilku, kilkunastu miesięcy, roku lub jeszcze wcześniej? Proszę podać tytuł, lub czego dotyczył.
    . . . . . .

13. Proszę podać nazwiska dziennikarzy i literatów, których publikacje czyta Pan(i) najchętniej w „Odgłosach"
    . . . . . .

14. Jak Pan(i) ocenia poziom edytorski pisma? (szata graficzna — tytuły, zdjęcia i ilustracje, papier i druk)
    . . . . . .

15. Jak Pan(i) sądzi, czy „Odgłosy" powinny być pismem bardziej refleksyjnym, poważnym?
    . . . . . .

16. Co Pan(i) ceni w „Odgłosach" najbardziej? Z kim lub z czym (tematyka) Pan(i) się w pełni zgadza, akceptuje, popiera?
    . . . . . .

17. A z kim lub z czym Pan(i) zdecydowanie nie zgadza się, przeciwko komu lub czemu Pan(i) protestuje, co budzi Pana(i) sprzeciw?
    . . . . . .

18. Ile osób łącznie z Panem(ią) czyta ten sam egzemplarz „Odgłosów"?
    . . . . . .

19. Kupuje Pan(i) „Odgłosy", czy pożycza?
    1. kupuję w kiosku
    2. mam teczkę w kiosku
    3. prenumeruję
    4. pożyczam od znajomych
    5. czytam w czytelni

Uprzejmie prosimy o podanie kilku danych o sobie. Informacje te są dla nas szczególnie ważne, ponieważ chcielibyśmy wiedzieć, jak oceniają naszą gazetę osoby w różnym wieku, mieszkające w różnych środowiskach, o różnych zawodach itd. Prosimy wpisać lub podkreślić odpowiednią kategorię.

1. Płeć: 1 — mężczyzna, 2 — kobieta
2. Wiek . . . . . lat
3. Zawód . . . . . .
4. Rodzaj zajęcia: 1 — robotnik, 2 — rolnik, 3 — pracownik umysłowy, 4 — pracownik umysłowy z wyższym wykształceniem, 5 — emeryt, 6 — rencista, 7 — uczeń, 8 — student
5. Wykształcenie: 1 — podstawowe, 2 — niepełne średnie, 3 — zasadnicze zawodowe, 4 — średnie ogólne, 5 — średnie techniczne, 6 — niepełne wyższe, 7 — wyższe, 8 — wyższe techniczne
6. Miejsce zamieszkania: 1 — Łódź, 2 — inne miasto, 3 — wieś

Dziękujemy za wypełnienie ankiety! Prosimy ją przesłać pod adresem: **Redakcja „Odgłosów", skrytka pocztowa nr 358, 90-950 Łódź 1.**

Zamiast znaczka napisać na kopercie: **„Opłatę uiści redakcja"** oraz: **„Ankieta".**

CENOWY ROZBÓJ — tak tylko można nazwać to, co działo się na wolnym targu mięsnym przed świętami. Za kilogram wołowiny bez kości sprzedawcy żądali 1200 zł (zwykle 700—800) schab sprzedawano powyżej 2 tys. zł (zwykle 1000 zł). Mimo, iż obowiązują tu ceny umowne — takiej sytuacji tolerować jednak nie wolno. Wydaje się, że najlepszym wyjściem byłoby utworzenie w Łodzi jeszcze kilku punktów wolnej sprzedaży mięsa, w innym bowiem przypadku zawsze przed świętami i w czasie, gdy wzrasta zapotrzebowanie na mięso narażeni będziemy na nachalne zdzierstwo i pazerność sprzedawców.

NIE BĘDZIE LEPIEJ z watą i innymi środkami sanitarnymi. Zimą braki można było tłumaczyć trudnościami transportowymi, a obecnie? — Nie ma kłopotów produkcyjnych — mówi **przedstawiciel Pabianickich Zakładów Środków Opatrunkowych.** — Magazyny są na bieżąco opróżniane. Codziennie zakład opuszcza 20 samochodów — na każdym około 2 tony waty. Produkujemy tyle, ile w okresie, gdy w aptekach utrzymywała się ciągłość sprzedaży.

— Środki opatrunkowe dzielone są centralnie — mówi dyr. **Jankowska** z **„Cefarmu".** — Otrzymujemy przydziały pokrywające 50 proc. potrzeb, nic nie wskazuje na poprawę sytuacji.

Pozostaje nam więc „polowanie". Polecam aptekę przy ul. Pabianickiej niedaleko Rudzkiej. Tu przeważnie wata jest, często można dostać również leki, które szybko znikają z aptek w centrum.

WIOSNA JEST PORĄ REMONTÓW w wielu domach. Wszyscy, którzy zechcą w najbliższym czasie zmienić meble kuchenne nie wydając zbyt dużo pieniędzy nie powinni narzekać. W sklepie przy Placu Kościelnym utrzymywać się będzie ciągłość sprzedaży szafek stojących i wiszących we wszystkich rozmiarach oraz drobnych mebli uzupełniających. Małą blokową kuchnię można całkowicie urządzić za 25—30 tys. zł. Posiadacze większej kuchni — i większej gotówki nie wyjdą ze sklepu zadowoleni. W najbliższym czasie przewidywane są minimalne dostawy drogich, luksusowych kompletów drewnianych z Wolsztyna, Olsztyna i Goleniowa. Również z importu będzie bardzo mało mebli — tylko jeden typ kompletów czeskich „Alpina" za 73 tys. zł, który trafiać będzie do sklepu przy ul. Bojowników Getta.

WARTO ODWIEDZIĆ „UNIWERSAL" — lada dzień powinny pojawić się w sprzedaży zamrażarki z NRD oraz sporo polskiego sprzętu chłodniczego. W branży obuwniczej rozpocznie się już lato — zapowiadane spore dostawy z firm „Cobra", „Podhale". W branży konfekcyjnej — atrakcyjne towary z Finlandii: sukienki i bluzki damskie oraz odzież dziecięca.

NOWE KOSMETYKI DLA PAŃ pojawiły się w sklepach. W kosmetycznych — krem „Dermal", zawierający proteiny, stosowny dla cery dojrzałej. Na razie jest go niewiele, ale producent — łódzka „Ewa" — zapowiada znaczny wzrost produkcji, gdy tylko pokona kłopoty z brakiem opakowań. W sklepach „Herbapolu" natomiast kupić można nowy dezodorant „Kaja" — cena aerozolowego pojemnika 145 zł. Oparty wyłącznie na naturalnych surowcach ziołowych nadaje się dla osób ze skłonnością do uczuleń.

DUŻY WYBÓR PROSZKÓW DO SZOROWANIA jest obecnie, po okresie braków, we wszystkich sklepach. Nawet ekspedientki nie mogą zorientować się w ich bogactwie i doradzić kupującym. Przestrzegam przed kupnem proszków „Gar" i „Putz" — oba produkcji firm polonijnych. Pierwszy wyglądem i skutecznością przypomina trociny, drugi nadaje się wyłącznie do szorowania nowej emalii. W przypadku lekko porysowanej zostawia szare, trudne do usunięcia plamy.

NOWE I ODNOWIONE SKLEPY:

— meblowy w Zgierzu przy ul. Obrońców Stalingradu — duży, z dobrą ekspozycją i pełnym wyborem mebli krajowych.

— obuwniczy przy ul. Piotrkowskiej (między A. Struga i 22 Lipca) — sklep typu „Gallus", dobre zaopatrzenie w obuwie męskie, zwłaszcza luksusowe, krajowe i z importu.

— „Las" przy ul. Inowrocławskiej — przetwory spożywcze, wyroby z wikliny, boazerie i inne, drewniane elementy wyposażenia wnętrz

— wydzielone stoisko z włóczką w „Centralu" — obok polskiej anilany spory wybór włóczek holenderskich i jugosłowiańskich już od 3,5 tys. zł za kilogram. Także włóczki mohairowe i tweedowe — drogie.

DYPLOM UKOŃCZENIA PRZEDSZKOLA — to ciekawostka, którą za kilkadziesiąt zł nabyć można w sklepach papierniczych. Sztywna okładka i złote napisy, zupełnie jak na prawdziwym dyplomie. Czekamy na dyplom dla absolwenta żłobka, a także dla noworodka z oddziału wcześniaków.

AGATA

Ludzie niecierpliwie czekają w kolejce do sztucznej nerki. Powstają one w Łodzi. Muszą być niezawodne. Powstają obok innej, wysoce precyzyjnej aparatury medycznej. Czy przed fabryką stoi kolejka lekarzy po sztuczną nerkę? Nie. Dlaczego?

Pięćdziesiąt sztucznych nerek w magazynie

ZOFIA KĘDZIORA

W Łodzi, przy ulicy Szparagowej znajduje się Fabryka Aparatury Elektromedycznej FAMED, która zaopatruje naszą i nie tylko naszą służbę zdrowia w nowoczesny sprzęt.

Najważniejszym jej wyrobem jest aparatura dializacyjna HD 100, nazywana popularnie sztuczną nerką. Mimo, że wygląda raczej niepozornie, bo są to po prostu dwie, ustawione jedna na drugiej, skrzynki z dużą ilością gałek, pokręteł i różnych wskaźników, przeprowadza się dzięki niej bardzo skomplikowany zabieg. Dla wielu chorych cierpiących na niewydolność nerek jest to jedyny ratunek przed śmiercią. Przy jej pomocy wyprowadza się z żył zatrutą krew na zewnątrz. Poza organizmem krew zostaje pozbawiona zatruć i oczyszczona wraca tętnicami do ciała chorego.

Jest to bardzo skomplikowane urządzenie. Mierzy się w nim i kontroluje ponad 20 różnych parametrów, między innymi temperaturę krwi, jej ciśnienie, szybkość przepływu, stężenie płynu używanego do dializy, zawartość powietrza. Przed oddaniem sztucznej nerki użytkownikowi, jeszcze w fabryce, pracuje ona przez 200 godzin, aby wykryć ewentualne błędy i niedociągnięcia montażu. Dializa u pacjenta trwa około 6 godzin. Trzy czwarte wszystkich przyszłych uszkodzeń ujawniają się jeszcze podczas prób w laboratorium fabryki.

LUDZIE W POLSCE OCZEKUJĄ NA SZTUCZNE NERKI.

W województwie łódzkim są one tylko w Klinice Nefrologicznej Akademii Medycznej w Szpitalu im. N. Barlickiego, Ośrodku Dializacyjnym w II Klinice Chorób Wewnętrznych WAM, Instytucie Medycyny Pracy w Ośrodku Dokumentacji Toksykologicznej i Leczenia Zatruć, Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym w Zgierzu.

FAMED od trzech lat robi sztuczne nerki, oprócz niego jeszcze trzy inne fabryki w Polsce podjęły taką produkcję. Gdy rozpoczynały produkcję, służba zdrowia oceniła, że rocznie będzie potrzebowała 250 sztuk sztucznych nerek. Zatwierdziło to Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej i fabryka osiągnęła produkcję na takim właśnie poziomie. Służba zdrowia nie jest jednak przygotowana na tak dynamiczny rozwój tej produkcji. Brakuje wyszkolonego personelu medycznego oraz pomieszczeń spełniających odpowiednie warunki. Służba zdrowia może rocznie przyjąć około 100 sztucznych nerek. Nadwyżki sprzedawane są za granicę. W tej sytuacji tylko FAMED w Łodzi produkuje aparaturę do dializy.

Dyrektor naczelny FAMED-u Jan Janczar powiedział:

— *Nie zdarzyło się, aby jakieś zamówienie krajowe nie zostało zrealizowane. Mamy w magazynie 50 sztucznych nerek, które możemy sprzedać „od ręki". Niestety służba zdrowia nie ma pieniędzy.*

FABRYKA PRODUKUJE RÓWNIEŻ

sprzęt fizykoterapeutyczny, w którym prądy o niskiej lub wysokiej częstotliwości, fale elektromagnetyczne lub ultradźwięki wykorzystuje się do przywracania sprawności fizycznej utraconej przez chorego na przykład w wyniku jakiegoś urazu. Są pomocne w rehabilitacji, bo oddziaływują pobudzająco na mięśnie i kości, mówiąc w uproszczeniu przez rozgrzewanie chorych miejsc.

Dumą FAMED-u są lampy: operacyjne, zabiegowe, stomatologiczne i bakteriobójcze do sterylizacji pomieszczeń. Szczególnie lampy operacyjne są tak wysokiej klasy, że ustępują tylko zachodnioniemieckiej firmie Hanau.

Niektóre wyroby łódzkiej fabryki ułatwiają pracę chirurgom. Produkowane są „noże elektryczne" do cięcia z jednoczesnym urządzeniem do zaklepiania naczyń krwionośnych i krzepnięcia krwi. Lancetron GT 300 otrzymał tytuł Mister Eksportu na Targach Poznańskich w 1985 roku.

FAMED robi też urządzenia, które powodują szybszy wzrost tkanki, na przykład TERAPULS GS 200, który oddziaływuje polem magnetycznym. Doskonale nadaje się do leczenia dużych ubytków skóry, powstałych w wyniku poparzenia, przyspiesza gojenie minimum trzykrotnie, *a u niektórych pacjentów* nawet siedmiokrotnie. Oprócz tego może być używany przy leczeniu pewnych schorzeń mięśni lub ognisk zapalnych wewnątrz organizmu.

Również PIEZODENT D 40, aparat wykorzystujący ultradźwięki do bezbolesnego usuwania kamienia nazębnego, pochodzi z tej fabryki.

MUSZĄ BYĆ NIEZAWODNI.

Kontrola jakości rozpoczyna się w momencie przyjmowania do magazynu materiałów przeznaczonych do produkcji. Wszystkie detale badane są ponadto po każdej operacji technologicznej, a gdy zostaną połączone w podzespoły, znów każdy z nich podlega kontroli. Dalej jest tak samo, każdy zespół jest dokładnie sprawdzany. Wszystkie detale szklane są poddawane szokom termicznym, aby była stuprocentowa pewność, że nie pękną w czasie operacji, a elementy elektroniczne przed zamontowaniem do wyrobu pracują przez 200 godzin w specjalnej komorze klimatyzacyjnej.

Na przykładzie najprostszego wyrobu fabryki, lampy operacyjnej, widać, jak ważna jest precyzja wykonania, niezawodność wyrobu i jednocześnie, jak wielu wymaganiom musi sprostać. Przy naturalnym oświetleniu oko widzi najlepiej, zatem barwa światła dawanego przez lampę powinna być do niego zbliżona. Natężenie oświetlenia sali operacyjnej też musi być bardzo duże. Obecnie stosuje się żarówki halogenowe, które dają światło o tak dużej sile, że gdyby jego wiązka padła na białą płaszczyznę, to odbita mogłaby spowodować u operującego lekarza olśnienie, chwilową utratę zdolności widzenia. Stąd na salach operacyjnych stosuje się zielone i niebieskie barwy. Lampy operacyjne, mimo, że tak silnie oświetlają pole operacyjne nie mogą go nagrzewać. Poza tym, w wypadku awarii musi nastąpić natychmiastowa zmiana źródła zasilania i to tak, aby nie było przerw w pracy lampy. Najlżejsze zamigotanie światła podczas jakiejś bardzo precyzyjnej operacji może spowodować drgnięcie ręki lekarza.

FAMED MA KŁOPOTY Z JAKOŚCIĄ MATERIAŁÓW,

które otrzymuje do produkcji swoich wyrobów. Na przykład zdarza się, że dostaje nierdzewną stal, która jednak rdzewieje. Poza tym wyjątkowo kiepskiej jakości są też tworzywa sztuczne, mimo że według atestu powinny być odporne na temperaturę do 140 st. C., już przy 80 st. C. topią się. Źle jest również z elementami elektronicznymi, zbyt często psują się.

Tylko 2 proc. wartości całej produkcji fabryki stanowi import. To bardzo mało, ale najprawdopodobniej ta ilość zwiększy się, gdyż jakość polskich materiałów zamiast być coraz lepsza, pogarsza się. Fabryka chce, aby jej wyroby były niezawodne i wysokiej jakości, ale nie osiągnie tego, jeżeli będzie produkować z kiepskich materiałów.

Wszystkie wyroby, które są produkowane zostały opracowane w dziale konstrukcyjnym fabryki. FAMED ma aż dwa takie działy. Jeden z nich specjalizuje się w aparaturze nefrologicznej, a drugi zajmuje się pozostałymi urządzeniami. W sumie aż 60 osób pracuje nad nowymi projektami lub ich ulepszeniem. Są to inżynierowie o różnych specjalnościach, głównie elektronicy i mechanicy, poza tym współpracują z nimi matematycy i chemicy.

Fabryka utrzymuje przede wszystkim bardzo ścisły kontakt z Ministerstwem Zdrowia i Opieki Społecznej. Jej przedstawiciele uczestniczą w sympozjach naukowych w Polsce i za granicą, toteż orientują się jakie są potrzeby służby zdrowia. Jednocześnie starają się śledzić aktualne osiągnięcia techniki medycznej, jeżdżą na światowe wystawy sprzętu medycznego i studiują pisma poświęcone dziedzinie, która ich interesuje.

Jednak od pomysłu do jego zrealizowania, a potem do produkcji jest jeszcze daleka droga. Prace nad nowym projektem rozpoczynają się z inicjatywy lekarzy lub samych konstruktorów. Pierwszym etapem są studia nad wybranym zagadnieniem i opracowanie założeń konstrukcyjnych.

Założenia, które zawierają informacje o możliwościach, parametrach i przyszłym wyglądzie aparatury są konsultowane z lekarzami, czyli przyszłymi użytkownikami. Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej wytypowało kilka jednostek służby zdrowia do współpracy z konstruktorami. Na przykład w przypadku aparatury dializacyjnej FAMED konsultuje się z Instytutem Transplantologii w Warszawie oraz z kliniką Akademii Medycznej w Gdańsku. Dzięki tej współpracy założenia często wzbogacają się o funkcjonalniejsze i nowocześniejsze rozwiązania.

Pracownie konstrukcyjne, czy ich poszczególne sekcje lub zespoły pracują również nad ulepszeniem i modernizacją już produkowanych urządzeń. Wiele z takich pomysłów racjonalizatorskich zostało opatentowanych. Honoraria dla zespołu ludzi, który jest autorem patentu, zależą od efektów ekonomicznych, czyli od zysku uzyskanego przez producenta przy jego wykorzystaniu. Ponieważ produkcja fabryki nie jest masowa, nie są to jakieś oszałamiające sumy, wahają się w granicach od 50 tysięcy do pół miliona złotych.

FABRYKA ROZWIJA SIĘ BARDZO DYNAMICZNIE.

W 1986 roku produkcja wzrosła o 29 proc., a w 1987 roku przewiduje się, że wzrost jej wyniesie 21 proc.. Trzeba przy tym podkreślić, że nie otrzymuje żadnych dotacji, finansuje się sama. Obecnie 560 osób w niej zatrudnionych wypracowuje 1,5 miliarda złotych. Eksportuje aż 51 proc. swojej produkcji. Niedawno został opracowany plan rozwoju FAMED-u i jeżeli uda się go zrealizować, to za cztery lata produkcja wzrośnie do 4 miliardów złotych przy bardzo niewielkim wzroście zatrudnienia.

Mimo że w fabryce robi się sprzęt niezbędny dla ratowania życia ludzkiego, podlega ona Ministerstwu Hutnictwa i Przemysłu Maszynowego. Dla tego przemysłu produkcja tej nietypowej fabryki jest kroplą w morzu. Może zatem jest godne zastanowienia, czy taką produkcją nie powinno dysponować Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej? Zna ono dobrze swoje bolączki i niedostatki, mogłoby wykorzystać to dla lepszego zorganizowania produkcji oraz, co jest również bardzo istotne, dla większego zaspokojenia potrzeb pacjentów.

Foto: Grzegorz Gałasiński

Objawiła mu się Matka Boska i ludzie w to uwierzyli. Pojechali do kościoła w Łodzi i usłyszeli smutną prawdę.

Paluch Boży

ROMAN KUBIAK

Józef Paluch napisał, że objawiła mu się Matka Boska Gidelska, która ukazuje się jeno czcigodnym wybrańcom. Napisał tak z aresztu w liście do prokuratora, aby uczciwie zaświadczyć, że nie jest podłym oszustem i naciągaczem, lecz za sprawą Niebios, on, Józef Paluch syn Jakuba, wziął na swe barki ciężką odpowiedzialność za losy polskiego rolnictwa.

Paluchowi częściej od Matki Boskiej objawiał się prokurator rejonowy. Dokładnie dwadzieścia dwa razy ziemska sprawiedliwość pakowała go do więziennej celi na kilka miesięcy lub na parę długich lat. A przecież Paluch nikogo nie zabił, tylko przynosił ludziom wiarę i radość doczesną, za co pozwalał się karmić, poić i wspierać jałmużną, bo do swojego domu nie miał po co wracać. Właściwie żył po to, żeby utrzymać się przy życiu. Sześćdziesięcioletni żywot Józefa upłynął w połowie na pielgrzymce po kraju, w połowie zaś na pokucie w zakładach karnych. Nawiedzał je uparcie już od szczenięcych lat, znaczony piętnem drobnego złodziejaszka, cwaniaczka i awanturnika. W więzieniach Paluch zdobył piekarski fach, potrafi też gotować smakowicie i szyć kapcie, ale tylko z przymusu za kratkami, gdyż na wolności święci garnków nie lepią.

Według Palucha świętych powinna odróżniać sutanna lub choćby opasły modlitewnik, tak jak złych sędziów odróżnia toga. Po tym dopiero prości ludzie rozpoznają, przed kim klęknąć, komu okazać należny szacunek i radować się z czyjej wizyty. W naszych prędkich czasach coraz płycej zagląda się w oczy i dusze bliźnich, a częściej przemawia szata, co jednak zdobi człowieka, Józef, którego umysł z trudem sprostał wymaganiom podstawówki, wiedzę tę posiadł gruntowniej niż znajomość pacierza. Sutanny wszelako ukraść nie zdołał, więc zwędził tylko pieczątkę proboszcza parafii w Gowarczowie oraz bloczek czystych rachunków sklepowych. Z tymi przyborami, w niewinnie białym golfie, mocno znoszonej jesionce i dostojnych okularach wyruszył na szlak kolejnej swej pielgrzymki, niosąc tanią nadzieję.

Zimową porą nawiedził gminę Głowno. W województwie miejskim łódzkim, gdzie pewnie więcej jest fabrycznych kominów niż stodół, raczej nie oczekiwano przybycia ludowego dobroczyńcy. Z utęsknieniem wypatrywano go w regionach rolniczych, ponieważ sława Palucha — kolędnika sięgnęła już daleko pod strzechy. On zaś bezbłędnym instynktem tropionego zwierza pojmował, iż tutaj, w pobliżu wielkiej Łodzi i pośród śniegowych zasp odnajdzie chwilę wytchnienia. Józefa nie ścigała bowiem kompania apostołów i wyznawców, lecz list gończy sędziego z Otwocka.

Na skraju województwa leży wieś Władysławów, tam Paluch zastukał do zagrody sołtysa. Gospodyni właśnie szykowała wieczerzę, a gospodarz doglądał bydlątek w obejściu. Józef skłonił się nisko i pozdrowił po chrześcijańsku. Był zdrożony i przemarznięty, toteż zaprosili go do ciepłej izby. Za ten gest Józef pobłogosławił ich fachowo, rzucił okiem po domowych sprzętach i wyjawił cel delikatnej swej misji. Tu dobył zza pazuchy starannie złożoną kartkę papieru i z namaszczeniem odczytał jej treść. W piśmie stało, że on i tylko on, czyli okaziciel owego dokumentu, czyli wielebny ksiądz, acz bez sutanny, czyli Józek Paluch, jest pierwszym zaufanym Kościoła na ziemi polskiej i dlatego będzie dzielił dary boże oraz człowiecze. Te dary zaś, to pierwszorzędne maszyny rolnicze wielkiej wartości i fura amerykańskich dolarów od naszych sióstr i braci zza oceanu. Dostaną je ci wybrańcy, których osobiście wskaże Paluch, w imię Ojca i Syna...

Dokumentu Józef nikomu tknąć nie zezwolił, jedynie z dystansu poświęcił w chłopskie oczy kulfoniastym bazgrołem bez pieczęci, który miał całą prawdę poświadczyć. Mówił, że skreśliła go dłoń samego Kardynała Prymasa. Pod gospodarzami ugięły się kolana. Takie chwile Józef lubił najbardziej, dla nich chętnie poświęciłby resztę swego marnego żywota na padole. W takich chwilach do lotu zrywała się jego wątła dusza i gdyby nie niski sufit izby, pewnie nad Paluchową głową błysnęłaby złocista aureola.

Zasiadł do stołu i spożył uroczystą kolację. Z półmiska drażniła woń swojskiej kiełbasy, lecz Józef zmiarkował, że jako skromny kapłan i prymasowski wysłannik, musi bacznie pilnować się, by nie zaliczyć któregoś z siedmiorga grzechów głównych. Gospodarze patrzyli nań jak w obrazek święty. Jadł zatem wyłącznie chleb z masłem i postnego śledzia. Wódki także nie posmakował, choć na stole bezczelnie stało całe pół litra żytniej. Poprzestał na drugim kieliszku wychylonym za własne zdrowie. Żuł więc chleb powszedni snując kazanie o tym, że po śmierci księdza Popiełuszki, Kościół postanowił odsunąć komunistyczny rząd od spraw wsi polskiej i dlatego maszynami będą dzielić duchowni, a nie ministrowie. Oni to postanowili dać maszyny wyłącznie bezpartyjnym chłopom, gdyż „czerwoni" wyznają innego Pana. Na te słowa gospodyni pobladła nieco. Zaraz też jak na spowiedzi świętej wyznała ze skruchą, że i ona ma gdzieś w szafie partyjną legitymację, czego zatajać nie będzie, bo przy dzieleniu darów sąsiedzi na pewno wypomną życiorysy bliźnim. Zapanowała cisza piekielna. Ale dobrotliwy Józef potrafił także miłować istoty grzeszne. Błądzić jest rzeczą ludzką, szepnął, z nadzieją zerkając na gospodarza. Ten szczęśliwie do partii nie należał.

Około północy przystąpili do konkretów. Paluch zwyczajnie spytał, komu we wsi potrzeba maszyn. A potrzebowali wszyscy. Wielu chciałoby mieć swój ciągnik, kosiarkę, kultywator, albo nawet prosty pług czy siewnik. Od lat gadali o tym na zebraniach i przy wódce, wydeptali ścieżki do urzędów — bez skutku. Sołtys na przykład co noc śnił o kopaczce do ziemniaków i roztrząsaczu do siana. Daremnie. Aż tu nagle zjawił się Józef, który ponoć czyni cuda. By tego dowieść wyciągnął bloczek rachunkowy i jął spisywać treść chłopskich marzeń. Litery stawiał jakby trochę koślawe, jedna w prawo, druga w lewo, ale razem wyszło z tego upragnione słowo „traktor". Następnie Józef raz jeszcze obejrzał izbę i stwierdziwszy, że gospodarzom raczej się nie przelewa, wspaniałomyślnie przyznał im tysiąc dwieście dolarów, bezzwrotnej pożyczki, co też sumiennie wypisał na sklepowym rachunku. Kwit ów opieczętował dwukrotnie stemplem gowarczowskiego proboszcza, żeby było jak należy, czyli bardzo urzędowo.

Z tym kwitem szczęśliwcy mieli się zgłosić do kościoła w Łodzi, by tam uroczyście odebrać dary rzeczowe i forsę. Ale nie od razu, tylko za kilka dni, gdy Józef zejdzie ze szlaku swej pielgrzymki, a z dalekiej Ameryki napłyną dolary i maszyny. Hojność swą Paluch wycenił ledwie na trzydzieści tysięcy złotych gotówką w ofierze. Gospodyni żwawo przetrząsnęła półki z bielizną, dała nawet „piątaka" więcej, gdyż szczęśliwi grosza nie skąpią. Ich dobrowolną wpłatę odnotował Paluch w pokratkowanym zeszycie na trzydziestej pierwszej pozycji listy.

Noc przespał Józef w bielusieńkiej pościeli na tapczanie stokroć wygodniejszym od więziennej pryczy. Co prawda musiał przedtem markować kwadransik wieczornej modlitwy, ale jako rutynowany oszust miał tę czynność przetrenowaną niezgorzej. Rankiem kazał sobie uwarzyć zalewajki z boczkiem i poprosił o samochód z kierowcą, bo na dworze szalała zadymka. Spieszył do innych wiernych.

Jan z Waliszewa ma cztery klasy szkoły powszechnej, ręce urobione do łokci i obraz Matki Boskiej nad siennikiem. Przed „księdzem" odkrył głowę i całą biedę chałupy. Za to Paluch nagrodził go kwitem na rozrzutnik i opryskiwacz. Jan ucałował dar Boży i załatał portki, żeby w Łodzi pięknie podziękować za łaskę.

Teofil z Popowa sześćdziesiąt lat przeżył na tym świecie i chyba nie pamięta wspanialszego gościa. Ten dzień będzie Teofil wspominał aż do końca. Tego dnia starość zapukała doń wielką radością z upragnionego ciągnika. To znaczy z kwitu na traktor, który Teofil dostał od pielgrzyma. Dlatego gospodarz wysupłał ostatni grosz na ofiarę, żeby zaświadczyć o dozgonnej swej wdzięczności.

Zofia nie żałowała szczęśliwych łez i latami ciułanych złociszy. Bo oto stało się, czego kobieta w najśmielszych nawet prośbach nie wyjawiła przed ołtarzem. Odtąd, przez dni kilka, z nadzieją czekała na wiosnę.

Wszędzie, dokąd zachodził Paluch, witano go jak samego biskupa albo jeszcze lepiej. Gościł u Czesława, Zuzanny, Stanisława, Edwarda... Łatwo otwierał ludzkie serca i drzwiczki do spiżarni. Tylko Antoni przegnał fałszywca z zagrody, ponieważ Antoni czyta gazety i stąd dobrze wie, że żadnej fundacji rolnej nie ma, czyli że z próżnego nawet ksiądz nie naleje.

Stefan robił u Palucha za kierowcę i przewodnika. Własną Nysą obwoził „wielebnego" po gminie, kolędował z nim po domach, usłużnie podstawiał miękkie krzesła. Nie dla korzyści, lecz za pasterskie „Bóg zapłać". No może trochę przez wzgląd na losy bliższej i dalszej familii, do której niejako przy okazji zaglądał w towarzystwie szczodrobliwego gościa.

Dopiero przed niedzielą Józef pożegnał gospodarzy i kazał się wieźć na dworzec PKS. Atoli obiecał, że kiedyś jeszcze powróci w te strony, więc niechaj nie tracą wiary w niego i w dzieło, któremu służy. Wiara bowiem czyni cuda — albo zastępy oszukanych...

W niedzielę na mszy świętej prawdziwy ksiądz ostrzegał z ambony przed księdzem fałszywym. Mówił, że po parafii krąży oszust w białym golfie i znoszonej jesionce, który rozpowiada bajki o traktorach. Takie bajki, za które wielu płaci cenę naiwności. Oszusta proboszcz przykazał złapać i oddać w ręce milicji. Ale Józef już pielgrzymował po innej parafii.

Zaraz po mszy naiwni skrzyknęli się do chałupy i zaczęli radzić. Radzić, to znaczy dzielić wiarę między gorzką prawdę i kiepską nadzieję. Uradzili, żeby z Paluchowymi kwitami mimo wszystko jechać do kościoła w Łodzi. Pojechali rannym autobusem, w odświętnych kapotach, z czapkami w garści. Stefan zabrał nawet córkę, bo dziewczyna dobrze potrafi gadać z miastowymi. Dwoje weszło do zakrystii, reszta pokornie czekała na mrozie. Tych dwoje usłyszało najgorsze.

Nie byli pierwszymi. Paluch w identyczny sposób oszukał mieszkańców kilku wsi. Od tych spod Głowna wyłudził sto dwadzieścia tysięcy złotych. Podczas swej wędrówki po kraju Józef zdążył już „rozdzielić" sporą furę dolarów i pewnie więcej maszyn niż ma „Agroma". Ostatnio po obiecane dary przyjechali do Łodzi chłopi z Piotrkowskiego. Ci spod Tarnobrzega zgłoszą się niebawem.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Mówi: Ryszard Stanisławski

— Udziela mi pan wywiadu nie po raz pierwszy, porozmawiajmy więc tym razem o pańskich upodobaniach i o faktach z życia prywatnego. Czy zawsze marzył pan tylko o tym, żeby w przyszłości zająć się sprawami plastyki, i to nowoczesnej?

— Pierwszym poważnym zainteresowaniem okazała się... matematyka, która zresztą nie jest tak przeciwstawna sztuce, jak się o tym nieraz sądzi. Uczestniczyłem niedawno w międzynarodowej naradzie w Rzymie nt. sztuki i wiedzy, gdzie wiele o tym mówiono.

— Był pan tam jednak jako muzealnik, a nie matematyk...

— Porzuciłem studia matematyczne dla historii sztuki, żeby poszukiwać odpowiedzi, na czym polega tajemnica sztuki, którą tylu ludzi uprawia z tak wielkim oddaniem, jako coś niezmiernie ważnego dla siebie i dla innych.

— A czy pańskie małżeństwa z plastyczkami wywarły wpływ na rozwój pana zainteresowań? Alina Szapocznikow była przecież wybitną rzeźbiarką, a Urszula Czartoryska jest powszechnie cenionym historykiem sztuki.

— Z pewnością obie te osoby miały wpływ na kształtowanie się moich zainteresowań artystycznych, na mój stosunek do niejednej sprawy. Z Aliną Szapocznikow prowadziliśmy wspólne życie najpierw we Francji, gdzieśmy się poznali, potem w Polsce, gdyż zdecydowaliśmy się na powrót do kraju. Łączyło nas wspólne przeżywanie sztuki, wspólne przyjaźnie z wieloma artystami. Związek z Urszulą Czartoryską, która w szczególności interesuje się fotografią, pobudził moje zainteresowania pograniczem plastyki i fotografii, co uwidoczniło się w działalności wystawienniczej naszego muzeum. Myślę, że powinienem tu powiedzieć, że obie te, tak bardzo bliskie mi osoby, darzyły się wzajemnym uznaniem i szacunkiem.

— Rozumiem, iż użycie czasu przeszłego wynika z faktu, że Aliny Szapocznikow nie ma już wśród żyjących. Ale skoro mówimy o plastyce współczesnej, to czy nieustanne obcowanie z nią nie oddaliło pana od odczuwania sztuki dawniejszej?

— Mając od dawna, bo już od czasów paryskich, zainteresowania i kontakty z plastyką, i w ogóle sztuką nowoczesną, bywałem bardzo często, z autentycznej potrzeby, w Luwrze. Powiedziałbym, że znajomość sztuki współczesnej pozwala mi nieco innym, wrażliwszym okiem spoglądać na dzieła dawne.

— Często słyszy się wątpliwość, czy istnieją obiektywne kryteria wartościowania sztuki współczesnej, jak istniały w odniesieniu do sztuki dawnych epok, przy całym zresztą subiektywizmie wszelkich ocen artystycznych. Czy sądzi pan, że da się ustalić, co w obecnej plastyce jest „prawdziwą" sztuką, a co „podszywaniem się" pod sztukę? Chyba słyszał pan kąśliwe uwagi widzów: „Tak to i ja potrafiłbym namalować!".

— Przede wszystkim nie należy artystów współczesnych mierzyć miarą dawniejszą. Współczesny malarz nie zawsze zajmuje się, jak to dawniej bywało obowiązujące, tak wiernym odtwarzaniem rzeczywistości. Zawsze zresztą najważniejsze jest i było, czy artysta potrafi przekazać drugiemu człowiekowi, co by chciał. Ale „języka" sztuki trzeba się uczyć, trzeba obcować z jej dziełami i starać się je zrozumieć. Nie zawsze też zdajemy sobie sprawę, jak dużo odniesień ma dzisiejsza plastyka do dawnej.

— Z chlubną inwencją i sprężystością „zawiaduje" pan naszym arcyciekawym muzeum, co zapewne i „po godzinach" wymaga myślenia o sprawach plastyki. Ale ciekaw jestem, czy w wolniejszej chwili nie uprawia pan cichaczem malarstwa, a byłoby nie lada sensacją, gdyby się okazało, że lubuje się pan w kierunku... tradycjonalistycznym.

— Muszę panu sprawić zawód. Nigdy nie podejmowałem w plastyce wysiłków twórczych, nie widziałem bowiem dla siebie w tej dziedzinie możliwości. Dosłownie tylko raz mnie korciło trochę, żeby spróbować...

— Nie może pan jednak przesądzać, że jutro nie odezwie się w panu twórcza wena...

— Na razie, na rozmaitych naradach rysuję machinalnie jakieś zgeometryzowane figury i może mi pan wierzyć, że nie przedstawiają one artystycznej wartości. Ale wróćmy jeszcze do kryteriów. Moim zdaniem, nie istnieją w plastyce jakieś obiektywne kryteria artystycznej oceny dzieła, istnieje tylko pewna suma ocen subiektywnych, które składają się na tzw. fachową opinię o dziele lub twórcy. Sprawa jest trudna, bardzo złożona i dlatego, że artyści współcześni nie tkwią w jednym nurcie, nie repezentują jednego kierunku, zresztą dawno skończyła się rola szkół dominujących. Ale zawsze istnieje sztuka, jeśli oprócz twórcy jest choćby jeden odbiorca. Oczywiście nie bez znaczenia dla oceny dzieła jest odpowiedni dystans czasowy.

— A w takim razie czym się kierujecie przy zakupach? Jak unikacie ryzyka, że nie trafiają się wam obrazy, które zostaną kiedyś uznane za „knoty"?

— Ryzyko ponosimy, jak wszyscy w podobnej sytuacji, ale nie w tym rzecz. Zanim coś nabędziemy, zastanawiamy się zespołowo, co dane dzieło ma dla nas interesującego — czy np. wyróżnia się czymś od posiadanych przez nas obrazów albo przeciwnie, pod jakim względem uzupełnia to, co posiadamy. To przykłady wielu możliwości, które, oprócz przeświadczenia, że dzieło jest przejawem talentu, uwzględnia się przy zakupie.

— Dlaczego zajmuje się pan upowszechnianiem sztuki? Czy chodzi panu głównie o to, żeby ludzi, zwłaszcza młodych „odciągnąć" od czynności szkodliwych lub zajęć „zdrożnych", np. żeby chłopcy przedwcześnie nie uganiali się za panienkami?

— W moim głębokim przekonaniu obcowanie ze sztuką uczy człowieka odkrywać samego siebie, docierać do głębszych pokładów własnej osobowości, a więc także wczuwać się w innych. Czyż to nie wystarczy?

— A największy pański sukces zawodowy?

— Wystawa sztuki polskiej, głównie ze zbiorów naszego muzeum w Centrum Pompidou w Paryżu, najważniejszym w Europie miejscu, o które się każdy dobija, gdyż stanowi ono o dalszej promocji w świecie. A urządzaliśmy tę wystawę w trudnym dla Polski politycznie roku 1983! Następstwem tego była, również przez nas organizowana, (bo w obu przypadkach był w tym trud wielu tych samych ludzi) wystawa w Warszawie pt. „4 x Paryż". A czemu nie pyta pan o moją największą porażkę?

— Ależ jak najchętniej!

— Ani mojemu poprzednikowi, ani mnie przez 21 lat pracy w Łodzi, nie udało się pozyskać przestrzeni ekspozycyjnej (już nie mówię o nowym gmachu!), na której można by pokazać, jak ogromne bogactwo Łódź posiada w postaci naszych unikatowych zbiorów.

— Tego panu i Łodzi życząc, dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
JERZY KWIECIŃSKI

Stanisław Ostapowicz

Ojczyzna

córce Bognie

ten zagon
który ojciec pługiem rozorywał
i troskliwą bruzdą otaczał
ten zagon
w który dłonie matki wciskały zapłodnione
ziarno
plonujące oskomym razowcem
to kraj mój

ta ziemia
na której stanął dom ojców
otoczony wiosennym kwieciem jesiennych
owoców
którą oczom dziecka ukazywała hen za
horyzont
dłoń ojca krąg zatoczywszy
ta ziemia
brzemienna łzami matki
modlitewnym różańcem westchnień
i krwią
i solą potu
i goryczną radością
to ojczyzna

ten dom
w którym pierwsze sylaby
i dźwięk mojej mowy poznałem
ten dom
z którego wyrósł nastrój wigilijnych wieczerzy
ojcowe opowieści o królach i bitwach
śpiewki matki
i słów znaczenie nizanych w pamięć z jej warg

ten zagon
ta ziemia
ten dom
to Polska

Wizja

Cóż, że gdzieś tam w nieznanym mieście
istnieją domy ze szkła i kolorów?
Chciałbym po prostu żyć w takim świecie
gdzie nie ma fałszu i gry pozorów.

Cóż, że gdzieś tam prawdopodobnie
istnieją twórcy latających spodków?
Chciałbym po ziemi kroczyć spokojnie
w niezakłóconym świecie uroku.

Chwilę wytchnienia w galimatiasie
odnaleźć pośród kipiących tygli,
nie paradować w generalskiej krasie
z palcem zagiętym na niewinnym cyngiu.

Chwilę wytchnienia i oddechu chwilę
odnaleźć choćby na okamgnienie,
a gdy się już moja szala przechyli,
umrzeć z westchnieniem,

że kiedyś gdzieś tam w nieznanym mieście
powstaną domy ze szkła i kolorów
i mój potomek żyć będzie w świecie,
gdzie nie ma fałszu i gry pozorów;

że kiedyś zejdą prawdopodobnie
na ziemię twórcy latających spodków
i będą po niej chodzić s p o k o j n i e j
w niezakłóconym świecie uroku...

Spowiedź intymna

Władkowi

Ogród mój, co przez lata tak krzewił się
we mnie
umarł już i żadnego owocu nie zrodzi.
Daremnie go szczepić od nowa, pielęgnować
daremnie,
żaden nie pomoże mu zabieg! Żaden nie
zaszkodzi?

Łąki, którą pokryły we mnie szare kopce
krecie
zazielenić nie zdoła najdrobniejsza trawka.
Nawet wiosną nie zakwita na niej znane
smugom kwiecie,
pszczoły nie odwiedzają najmniejszego
skrawka.

Pole, które nie wydało nigdy największego
plonu,
zalega już me wnętrze zachwaszczonym
ugorem;
pług nie zachrzęści o kamień, nie usłyszę
kos tonu,
skoro moje serce żniwnym upałem nie gore.

Jużem torf, co się wreszcie pod murawą
wyżarzył;
zgasłego płomienia nawet drzazgi łuczywa
nie wzniecą,
jużem ziemia, przez którą hordą przeszli
Tatarzy,
wypalony las, gdy z niego ptaki wylękłe ulecą.

Jużem wystygły popiół wczorajszego ogniska,
jużem spowolniały koń w zaprzęgu trudzony
zbyt długo.
Małoż to źródeł po latach już w górę
nie tryska,
sączy się co najwyżej wody cienką strugą!?

Zostało tylko we mnie trochę życzliwej
zawiści
wobec tych, którym barki chylą lata
bezlitosne,
że jeszcze mają siłę pragnienia swe iścić
i odradzać się każdym sukcesem, jak trawy
na wiosnę,

Że ich nie przeżarła doświadczeń gorycz
piołunna,
że marzeń niesyci, wciąż mają nadzieję...
I trochę żal, żem drzewo, co nie uniknęło
pioruna
i step, step, który nustynnieje.

Reforma zniweczona

Pisarz, który zechce odnieść się do otaczającej go rzeczywistości ma w zasadzie do wyboru dwie możliwości: albo wpisać się w sposób bezpośredni w istniejące realia, albo też dać uniwersalną przypowieść o prawidłowościach ludzkiej egzystencji, utrzymaną w kostiumie epoki nieraz bardzo odległej. Ten drugi wybór znajdujemy w „Bohaterze Dobrej Ziemi" Karola Józefa Stryjskiego.

Stryjski — historyk i politolog z wykształcenia — ze znawstwem wykorzystał realia sumeryjskie. Sumerowie jako pierwsi stworzyli wysoką kulturę. Długa jest lista ich zdobyczy i wynalazków, które — jako spuściznę — przejął najpierw cały Starożytny Wschód, a następnie poprzez długi łańcuch pokoleń — my. Wystarczy zajrzeć choćby do „Ilustrowanej historii świata", żeby się przekonać jak zaskakująco bogata była owa pierwsza cywilizacja świata.

Powieść Karola Józefa Stryjskiego nie stanowi rekonstrukcji wydarzeń sprzed pięciu tysięcy lat. Autor po prostu zręcznie wykorzystuje do zarysowania własnej anegdoty ówczesną rywalizację licznych państw-miast sumeryjskich, walczących o hegemonię nad całym Sumerem. Przeżywanie się systemu organizacji życia społecznego, walka o wpływy, ścieranie się poglądów i interesów, antagonizm między zwolennikami centralizacji i ich przeciwnikami, utarczki między władzą a hierarchią kapłańską, przedsięwzięcia wielkie i małe ambicje, dalekosiężna strategia i taktyka małych kroków, potęga zbiorowości oraz rola jednostki wybitnej — to tylko niektóre składniki rozległej wizji literackiej Stryjskiego.

Elementem scalającym są tu dzieje wielkiego sumeryjskiego reformatora, noszącego w powieści imię Masdug i przydomek Bohatera Dobrej Ziemi, zastąpiony następnie tytułem Bohatera Kraju Sumerów. Wokół niego ogniskują się wszystkie niemal wydarzenia, zarówno sprawy wagi państwowej, jak i natury osobistej. W konsekwencji świat przedstawiony powieści pojmowany jest jako nieustanny przepływ bezpośrednich i pośrednich doznań głównego bohatera. One z kolei wiodą ku praktycznym bądź filozoficznym uogólnieniom, do jakich Masdug — niejako z upoważnienia własnego ludu — dochodzi. Zwłaszcza wtedy, gdy w roli półwygnańca pozostaje samotny, z dala od ojczyzny, pełen tęsknoty i niepokoju. Spacerując brzegiem morza pragnie przeniknąć istotę swego losu, chce zgłębić tajemnicę stworzenia i trwania życia — jednako w sensie metafizycznym, jak i historycznym. Usiłuje rozpoznać mechanizmy życia społecznego, aby je udoskonalić dla pożytku mieszkańców własnego państwa-miasta. Rozmyślania nie przynoszą jednak rewelacyjnych wyników, konkluzja nosi bowiem znamię relatywizmu: „Bogowie uczynili ze świata wielką tajemnicę i bodaj to właśnie najbardziej nas zachwyca. Nie poznanie, ale poznawanie. Nie posiadanie, a pragnienie, chęć walki i zdobywanie. Nie wieczność, lecz tęsknota za nią stanowi o sensie naszego istnienia. Bowiem wieczność jest życiem i śmiercią. Wieczność to niestrudzona wędrówka słońca i uparte wschody księżyca. To przemijanie i odradzanie się. Rozpacz i nadzieja. Tęsknota i zapomnienie. Ucieczka i powrót..."

Bohaterowi Dobrej Ziemi urządzenie świata jawi się jako zjawisko niezmienne. Ufa wszakże, iż to, co ludzkie da się ulepszyć. Dojrzewają w nim idee reformatorskie. Aby je urzeczywistnić musi z myśliciela przedzierzgnąć się w człowieka czynu, z filozofa — w wodza i organizatora. Sprawdza się jako wojownik, sława jego oręża niesie się szeroko. Początkowo toleruje wielowładzę, następnie zdobywa najważniejszą w państwie pozycję, a kiedy najwyższy kapłan zdobi mu głowę koroną, Masdug ogłasza swój program reform. Godząc w bogactwo warstw uprzywilejowanych zapewnić miały względny dostatek ubogim: „Jestem przeciwny nie tylko próżnemu zbytkowi i ubóstwu, ale także rozpasanej samowoli i bezprawiu. Niech odtąd nikt kradnąc albo pobierając nieuczciwe opłaty nie bogaci się z urzędu. Niechaj poborcy, nadzorcy, pisarze, urzędnicy wszystkich rang w pałacu, świątyniach i u możnych wystrzegają się nadużyć wobec człowieka wolnego i niewolnika. Prawo nasze niech dla nich świętością będzie". Przyjęta przez większość z entuzjazmem i nadzieją na lepsze jutro reforma Masduga nie powiodła się jednak. Napotkała na opory wewnętrzne i spowodowała akcję zewnętrzną. Bohater Dobrej Ziemi pokonany został przez spisek współobywateli oraz przez silniejszego militarnie najeźdźcę. Ledwie uszedł z życiem. Pozostała po nim jedynie dobra pamięć.

Parabola Stryjskiego pokazuje, w jaki sposób narasta potrzeba reformy, w jakich uwikłaniach rodzi się jej kształt ostateczny — długo dojrzewa słowo zanim stać się może ciałem. Tymczasem zastanawia i zdumiewa łatwość, z jaką przeciwnicy Masduga obrócili wniwecz jego zamysł. Niejednego czytelnika nawet może przytłoczyć szalona dysproporcja między długotrwałym, planowym i serdecznym wysiłkiem włożonym w dzieło reformy a fatalnym (czy raczej fatalistycznym) jej efektem. Dlaczego reforma musiała przegrać? Karol Józef Stryjski na to fundamentalne pytanie nie odpowiada wprost. Możemy się tylko domyślać, iż były okoliczności, których bohater jego powieści nie uwzględnił, albo nie docenił. Nie wszystkie zresztą znajdziemy w książce. Ale przecież nie o drobiazgową wyliczankę tu chodzi. Raczej o symboliczne przesłanie, iż na błędach i niepowodzeniach innych mogą — i powinni — uczyć się reformatorzy współcześni.

Z tym wszystkim książki Karola Józefa Stryjskiego nie należy odczytywać wyłącznie jako traktatu politycznego. Posiada ona bowiem również wcale apetyczne wątki erotyczne, wiele mówi o pradawnej cywilizacji sumeryjskiej, zawiera dywagacje filozoficzne i psychologiczne. Nadrzędnym sensem utworu pozostaje wprawdzie zniweczenie wielkiej reformy, ale jest ono ukazane w interesującej otoczce obyczajowej. Nawet z nieodzownego w przypadku paraboli uschematyzowania postaci i sytuacji wychodzi Stryjski obronną ręką. W mniejszym stopniu udała się — jak sądzę — indywidualizacja języka, jakim przemawiają poszczególne postacie; jeśli jednak weźmiemy pod uwagę, że w paraboli od znaczenia literalnego ważniejsze okazują się treści ukryte — nie będzie to sprawa najistotniejsza.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Karol Józef Stryjski: „Bohater Dobrej Ziemi". Wydawnictwo Łódzkie. Łódź 1987, s. 183, nakład 39 650 + 350 egz., cena zł 220.

Cztery róże dla Topora

Nakładem Wydawnictwa Literackiego ukazał się zbiór opowiadań Rolanda Topora pt. „Cztery róże dla Lucienne" w przekładzie Tomasza Małkowskiego. Zbiór opowiadań pękający w szwach od dziwności, makabry, horroru i... humanizmu. Ten 43-letni autor jest także, a może przede wszystkim rysownikiem. W 1975 r. ukazał się w Polsce jego album z rysunkami utrzymanymi w konwencji makabrycznego humoru. To, co prezentuje Topor -rysownik, i Topor-pisarz jest doskonałością pozagatunkową, jest genialnością mistrza, którego nie sposób ująć w ramy jakiejkolwiek konwencji. Jednak zyskał on rozgłos dopiero dzięki ekranizacji swojej powieści „Chimeryczny lokator" (wydanej również w Polsce w 1980 r., przez „Czytelnika") dokonanej przez Romana Polańskiego.

Humor Topora jest czarny jak usta diabła i optymistyczny jak rozłożone anielskie skrzydła. Już pierwsze opowiadanie wprowadza czytelnika w klimat i tematykę Toporowskiego spojrzenia na rzeczywistość. Oto trzej wspinacze zagubieni wśród gór, mrozu i głodu. Jeden z nich odmroził nogi. Jedna z nich została zjedzona, ale głód dokucza coraz dotkliwiej. Dwóch przyjaciół skrycie bada stopień wrażliwości drugiej nogi trzeciego...

Topor patrzy na nas oczami zza biesiadnego stołu głupoty, bezmyślności, zakłamania, naiwności, z szelmowskim uśmiechem. Jędze, wampiry, wiedźmy, zjawy zza grobu robią do niego perskie oko. Topor zaprasza każdego na jego własny pogrzeb marzeń i nadziei, wiary, miłości i oczekiwania dobra. Ale w każdym takim umieraniu ideału jest coś z corocznej śmierci liścia — upór życia. Rozpaczliwe, odwieczne poszukiwanie szczęścia przez każdego z ludzi, zaglądanie w najciemniejsze zakamarki życia, grzebanie w życiorysach i grzebanie życiorysów wraz z ich właścicielami. I to wszystko m.in. na dwóch stronach w świetnym opowiadaniu „Przechodnia dłoń". Fantastyczne!

Topor wie, że są rozstania i powroty, że są oczekiwania na gwizd lokomotywy, która przywiezie wielkie pudła z marzeniami i są odjazdy pociągów zabierających ze sobą wagony mające zapełnić się dopiero kalendarzami pachnących goryczą i nadzieją lat.

Ogromny ładunek emocji i takiż sam makabry niosą sobą miniopowiadania; niekiedy za pomocą kilku słów charakteryzujące temat. Imponuje perfekcyjna koncentracja słów, asceza wzruszeń i emocji, niezwykle nośna i komunikatywna zarazem treść. Perełka humoru i wnikliwej obserwacji życia jest opowiadanie „Ciupciać królową", które najdobitniej przedstawia głębokie wyrozumienie dla ludzkich słabostek, ułomności, dążeń i często przesadnych ambicji.

Wszystkie opowiadania Topora utrzymane są w charakterystycznej dla niego tonacji. Są doskonale spuentowane pełnym humoru, wnikliwej analizy i często przewrotnej logiki wypływającej z treści, morałem, w którym nie ma ani jednego słowa za dużo, ani jednego za mało.

Proponuję niestandardową wiązankę dla Topora — cztery róże. Topor, ofiarując cztery róże dla Lucienne, zdyskontował ludzkie wyobrażenia o pięknie i doskonałości. Topor — zawodowiec, który każdym słowem potwierdza, że nie może sam funkcjonować w naszej rzeczywistości, ale i z ludźmi nie jest mu lżej.

BARBARA KEMPA

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko – obyczajowa

POCHWAŁA TALENTU

Kazimierz Owsiński (1752—1799) był jednym z najwybitniejszych aktorów Teatru Narodowego w Warszawie. Wsławił się rolą tytułową w sztuce Edwarda Moore'a „Bewerlej, czyli gracz angielski", przełożonej w 1777 r. przez Franciszka Barssa i wkrótce odegranej na scenie. Współczesny Owsińskiemu Wojciech Bogusławski tak pisał w „Dziejach Teatru Narodowego": „Sławnym było wejście jego w piątym akcie tej sztuki, kiedy osadzony w więzieniu, umyśliwszy zakończyć męki swoje trucizną, wchodził, udaną spokojnością pokrywając okropny zamiar, który wszelako przerażające twarzy jego rysy wydawały (...) Przy spokojnej twarzy widać było drżącą rękę, która unosiła do ust naczynie śmierci." Potwierdzeniem kronikarskiego zapisu jest też anegdota zamieszczona w 3 tomie „Pamiętnika Warszawskiego" z 1809 r.:

Owsiński tak dalece umiał wystawić nieszczęścia najsmutniejszej pasji w roli Bewerleja, do tego stopnia grę swoją w prawdę zamienił, że w momencie, gdy aktora biorą do więzienia, jeden z widzów nieszczęściem jego przejęty, w prawdziwym zapomnieniu zawołał:

— *Dajcie mu wolność, ja za niego zapłacę, część znaczną mam przy sobie, resztę natychmiast wyliczę.*

Nie może być wymowniejsza pochwała talentu.

TRAKTAMENT

Urzędnik skarbowy ogromnie dokuczał panu Kalasantemu. Brał stałą, nawet dosyć wygórowaną „poufną" pensyjkę, mimo to w gorzelni wynajdywał coraz to nowe braki, dojąc hreczkosieja niemiłosiernie.

W końcu brakło eksploatowanemu cierpliwości, postanowił więc z natrętem rozmówić się w cztery oczy.

Przygotował w kancelarii kapitalną kozacką nahajkę, butelkę starego węgrzyna, dwa kieliszki i czekał cierpliwie nowych odwiedzin.

Nastąpiły one do dni kilku. Obaj panowie zamknęli się — jak zwykle — w pokoju i prawdopodobnie rozpoczęli wzajemne układy. Jaki był przebieg rozmowy — powiedzieć nie umiem, dość że po chwili urzędnik wysadził okno od ogrodu i wyskoczył na ganek z wrzaskiem, trzymając się rękami poniżej pleców. Za nim poczynił to samo rześki, jak ćwiek rumiany, pan Kalasanty z butelką węgrzyna w jednej, a sporym kielichem w drugiej ręce.

— *A to zwariował bestia, ja go częstuję siuletnim węgrzynem, a on wrzeszczy i w nogi. Ależ serdeńko, jeszcze kieliszeczek, no, strzemiennego.*

— Dobrzy ludzie — zwraca się do nadbiegającej *służby — pan urzędnik zwariował, czy co? Będziecie świadczyć o tym wszystkim, coście tu widzieli?*

— *A będziemy, proszę łaski pana.*

„Pan urzędnik" milczał o całym wypadku, spokorniał jednak i utemperował się w swych zapędach znacznie.

Michał Rolle, Oryginały. Lwów 1913.

PANNOM NABOŻNYM

Wiem ja, za co tak często paciorki mlewacie:
Za to, że tylko jednę rzecz potrzebną macie.
Bo co po pięknej twarzy, co po pięknym oku,
Gdybyście też nie mieli owej rzeczy w kroku?

Daniel Naborowski, w. XVII

ŚRODEK NA BEZSENNOŚĆ

Aleksander Chodkiewicz (1776—1838), uczony chemik i generał brygady Królestwa Polskiego, parał się również twórczością literacką, nie bez zadufania w swe wysokie zdolności w tej mierze. Rzeczywistość okazała się brutalna, o czym świadczy anegdota zapisana w „Obrazach z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce" (Poznań 1882):

Aleksander Chodkiewicz (...) czując całe brzemię swojego wielkiego imienia, chciał mu koniecznie osobistą sławą sprostać i gonił za tą sławą po wszystkich drogach, gdzie ją uchwycić można. Zaczął od układania tragedyj, z których jedna pod tytułem „Katon" przedstawioną była raz jeden na scenie warszawskiej i publiczność dała autorowi dowód, że wielce poważa imię Chodkiewiczów, tudzież osobę jego bardzo popularną. Nikt nie gwizdał... tylko wszyscy widzowie pozasypiali.

PORTRET BIBLIOMANA

Zuzanna Rabska, córka Aleksandra Kraushara, historyka była autorką pięknych wierszy o książce, a także interesujących wspomnień „Moje życie z książką". W szkicu literackim „O miłośnikach książek" przedstawia taką oto charakterystykę bibliomana:

Biblioman jest zbieraczem z namiętności, uprawia on, że tak powiem, miłość zmysłową do książek. Interesują go w książce tylko cechy zewnętrzne, okładka, dobry wygląd, a przede wszystkim — rzadkość okazu, zbiera on białe kruki nie po to, by karmić się ich treścią, lecz po to jedynie, by były jego własnością. Patrzy na nie miłośnie, ale nie zajmuje go — dusza książki.

Opracował: ANDRZEJ KEMPA

Najlepiej bez okazji

Rozmowa ze słowackim tłumaczem PETEREM ČAČKO

— Z pewnością pana popularność rośnie przed 1 czerwca, kiedy na siłę szuka się ekspertów — nazwijmy to nieładnie — od dzieci?

— No, właśnie. I wtedy na dzieci spływa nadmiar słodyczy, nazywa się je „malusińskimi", a potem... Potem się o nich trochę zapomina na cały rok. Zabija nas akcyjność, odfajkowywanie istotnych problemów, brak nam życia harmonijnego. Zamiast niego fundujemy sobie jakieś święta, tygodnie ochrony czegoś tam, miesiące aktywności z jakiejś tam dziedziny. Chciałoby się rzec: żyjmy bez okazji!

— Ale pana życie jest konsekwentne i właśnie bardziej harmonijne.

— Od lat staram się robić to samo. Ściślej to, co lubię. A lubię pracę. Bez niej nic nie miałoby sensu. Ale jak się jest młodym wydaje się, że odwrotnie, życie obciążone stale pracą nie ma sensu.

— Tłumaczem został więc pan pewnie na zasadzie świadomego wyboru dokonanego bardzo wcześnie, do którego pchnęła tradycja rodzinna?

— Nic podobnego. Do mnie pasuje raczej powiedzenie: najtrwalsze w świecie są prowizorki, a o karierach decyduje przypadek. Najpierw byłem nauczycielem łaciny w gimnazjum. Gdy zlikwidowano tam ten język, moje perspektywy zawodowe zmalały. Udało mi się znaleźć pracę w wydawnictwie „Mlade leta" w Bratysławie. Jest ono w Słowacji i poza nią prawdziwym kombinatem wydawniczym dla dzieci i młodzieży. A ponieważ na studiach uczyłem się solidnie języków obcych, zacząłem zajmować się eksportem naszych książek i sprowadzaniem ich do nas. Po jakimś czasie sam spróbowałem tłumaczyć, bo jeżdżąc po targach książki po całej Europie wiedziałem, co dla dzieci wydaje się najlepszego. Poza tym to skraca cały proces wydawniczy, gdy jestem w jednej osobie handlowcem i, jak to się uczenie mówi, zajmuję się translacją.

— I dużo pan przetłumaczył?

— Sporo. Bo moja praca w tej dziedzinie trwa już bardzo długo. Na Międzynarodowe Targi Książki do Warszawy jeżdżę od ich początku. To wspaniała impreza i wielce pożyteczna. A przetłumaczyłem kilkadziesiąt książek polskich pisarzy dla dzieci. M. in. Boglarowej, Makuszyńskiego, Kerna, Broszkiewicza, Pagaczewskiego, Niziurskiego, Nienackiego... No i bardzo dużo dialogów do waszych seriali, które zakupiła czechosłowacka TV i film. Nie wymieniam tu innych książek. Tłumaczę przecież poza tym na słowacki z niemieckiego, angielskiego i serbochorwackiego. A są to książki nie tylko dla dzieci, ale i dla dorosłych.

— No proszę, czyli o wszystkim zdecydował przymus życiowy, a nie jakaś pasjonująca lektura z czasów dzieciństwa.

— Och, bez tego nie byłoby o czym mówić. W młodości uwielbiałem naszą wydawniczą serię pt. „Bajki z całego świata" i „Przypowieści z Buchary" Hodży Nasreddina, które mają w sobie wiele mądrości i filozofii. Ale przymus życiowy, czyli zmiana pracy pchnęła mnie do zajęcia, które stało się mą wielką pasją. Nigdy nie wiadomo, co i jak poruszy wewnętrzne struny w człowieku. Z ochotą zanurzyłem się w świat książek dziecięcych i w ogóle dziecka, bo moje wydawnictwo oprócz książek zapewnia im imprezy, konkursy... A jest to świat wspaniały. Przecież dorośli to wyrośnięte dzieci, tyle że, niestety, tracą wiele wspaniałych cech z czasów dzieciństwa. Dzieci są z natury dobre, najwyżej niegrzeczne, może czasem źle się bawią. Brutalność, chamstwo, chciwość — to już cechy dorosłych. Dzieci przypominają nam jakie mogłoby być nasze życie na co dzień. Szczególnie teraz, gdy tyle wokół napięć, konfliktów i niebezpieczeństw.

— A skąd zainteresowanie książką polską?

— Przed laty pojawiła się jakby nowa fala w polskiej grafice. Szata graficzna polskich książek była inna, nowoczesna. Pojawili się też ciekawi ilustratorzy: Stanisław Grabiański, J. M. Szancer, Jerzy Sidkowski, Zbigniew Rychlicki, Jerzy Flisak, potem doszli młodsi: Lutczyn, Stanny, Uszacka itd., nazwisk można wymienić wiele. To wszystko plus dobre teksty spowodowały, że książka dla dzieci w Polsce zwracała powszechną uwagę. Więc i ja się nią poważnie zainteresowałem.

— Więc najpierw podczas Międzynarodowych Targów Książki lub jakiejś imprezy wybiera pan książkę i zaczyna ją tłumaczyć. To ostatnie musi być piekielnie trudne uwzględniając wszystko, co pan dotąd powiedział.

— Nie wystarczy tylko znajomość języka, z którego się tłumaczy. Trzeba znać sam język dzieci, ich mentalność. Potem to, co w tekście tłumaczonym jest niejasne trzeba dostosować do realiów tych małych czytelników, dla których jest robione tłumaczenie. Po prostu, by dziecko czuło w postaciach książkowych swych przyjaciół, aby wiedziało, że np. mały Polak czy Rosjanin ma podobne kłopoty i radości. Osobny problem to dostosowanie tłumaczenia do tekstu oryginalnego. Całymi tygodniami czasem myślę, jak przetłumaczyć zawarte w nim dowcipy czy wyrażenia. Niektóre zwroty Krystyny Boglarowej są znane wśród tłumaczy jako „boglarki" ze względu na swą literacką specyfikę. Właśnie teraz łamię sobie nad nimi głowę.

— Wprowadzenie książki z jednego obszaru językowego w drugi to ogromna satysfakcja. Ale pewnie tylko wewnętrzna, tłumaczom nie przypada w udziale sława...

— Poza wyjątkami. Ale, racja, tłumacz jest na ogół anonimowy, tekst jest przede wszystkim firmowany przez autora. Oczywiście, można się cieszyć, że znają nas znawcy, recenzenci, lecz to bardzo wąskie grono osób. Ale tłumacze muszą sprostać wielkiej odpowiedzialności. Bo oni odpowiadają za opinię na temat autora i sensu jego książek.

— A więc anonimowość i sława w wąskim gronie osób. Czy to nie za mało?

— Świat na szczęście nie jest taki niesprawiedliwy. Przede wszystkim przeżywa się ogromną radość, gdy widać, że przetłumaczone książki rozchodzą się, są czytane, a więc wchodzą w „krwiobieg" naszej kultury. A to jest najważniejsze, potwierdza sens mej pracy. Poza tym w 1978 r. otrzymałem na Kongresie Literatury Polskiej medal „Zasłużony dla Kultury Polskiej", w Słowacji medal ministra kultury SSR za propagowanie dziecięcej literatury, od I.W. „Nasza Księgarnia" z okazji 60-lecia istnienia tej instytucji medal za współpracę. Twierdzę, że jeśli ktoś jest w jakiejś dziedzinie pracowity i wytrwały, zostanie z czasem doceniony. Dotyczy to również upowszechniania kultury.

— A czy nie przykro czasem, że pracuje pan nad książkami długo i w znoju, a tymczasem czyjś przeciętny film pokazany w TV zapewnia autorowi szybko sławę i pieniądze?

— Film i TV to dziś potęga. Przekonałem się o tym tłumacząc dialogi filmowe. Nazwisko w czołówce nawet wśród innych zapewnia natychmiastową popularność. Ale nie dajmy się temu zwieść. Bez mądrości zawartej w książkach nie byłoby całej obecnej techniki, elektroniki... Nieprędko książka okaże się zbędna, a może nigdy to nie nastąpi. Jest banalne powiedzenie, że to niezawodny przyjaciel. Można stracić piękny samochód, pieniądze, ale nawyk czytania i zdobywania wiedzy pozostaje. Zapewnia on nam wewnętrzną satysfakcję, pozwala odzyskać wiarę w siebie, bo to właśnie gwarantują zdobyte informacje o świecie i ludziach. Zresztą nie chcę powtarzać rzeczy znanych. Niewiele jest w świecie karier i autentycznych osiągnięć, które dokonały się bez książek.

— Pracuje pan stale w wydawnictwie „Mlade leta", o którym słyszy się nie tylko w Słowacji same komplementy. Chwalą was za granicą za coraz więcej wydawanych tytułów, świetny poziom graficzny i doskonały papier.

— Wydawnictwo ma wprawdzie dopiero 35 lat. Jest o wiele młodsze od „Naszej Księgarni", z którą mamy przyjacielskie kontakty. Rzeczywiście rozwijamy się z każdym rokiem, i jest to świadectwem ekspansji również naszej słowackiej kultury. Wydajemy obecnie 220 tytułów rocznie w milionowych nakładach. Na czterech kontynentach ukazało się 300 słowackich książek, w których „Słowackie bajki" Ludovita Fulla wydrukowano aż w dwunastu językach. Mogę powiedzieć nie bez dumy, że mam udział w tym sukcesie. Nasza literatura dorosła nie ma jeszcze takiej siły przebicia. A dziecięca toruje nam drogę do dzieci i rodzin z egzotycznych krajów. Dostajemy listy od dzieci z Włoch, Syberii i państw dalekiej północy. Oczywiście wpływ na te osiągnięcia mają też nasi graficy, że wymienię choćby Dusana Kallaya, a przede wszystkim znakomitego Albina Brunovskiego, którego grafika i malarstwo stały się znane w świecie. Widzi pan, to co robimy w kulturze dla dzieci jest bardzo ważne i nie powinno temu towarzyszyć lekceważące przymrużenie oka. Powaga i stałe, nie okazjonalne działanie w tej dziedzinie pozwoli wychować mądrych ludzi i miłośników książki.

— Dziękuję panu za rozmowę.

Rozmawiał:
MAREK NEJMAN

Kronika kulturalna

W czasie ostatniej wizyty Wojciecha **Jaruzelskiego w Moskwie podpisana została**, o doniosłym znaczeniu, **deklaracja współpracy w dziedzinie ideologii, nauki i kultury.** Przyczyni się ona do dalszego zintensyfikowania kontaktów w tych dziedzinach między obydwoma krajami.

Podczas pobytu delegacji polskiej, **minister Kultury ZSRR Wasilij Zacharow przekazał stronie polskiej 2400 książek z księgozbioru dawnej Biblioteki Ossolińskich we Lwowie.**

Natomiast **sekretarz KC PZPR Andrzej Wasilewski wręczył radzieckim przywódcom niektóre zabytki archiwalne z XVII i XVIII** w., mające związek z historią Rosji i Ukrainy.

ROZSTRZYGNIĘTY został, zorganizowany już po raz czwarty przez **Państwową Wyższą Szkołę Sztuk Plastycznych w Łodzi — konkurs** o nagrodę patrona szkoły — **Władysława Strzemińskiego.**

Nagrodę główną, przyznawaną przez rektora PWSSP, **otrzymał** w tym roku student V roku Wydziału Grafiki — **Jarosław Górski.**

---

29 MAJA w Galerii ZPAF **w Krakowie** odbędzie się **wernisaż fotogramów** wybitnego artysty fotografika **Adama Bujaka**, przedstawiających **portrety Jana Pawła II.**

Fotografa interesuje głównie papież jako człowiek, jego bogata osobowość.

PRZEDSIĘBIORSTWO Dystrybucji Filmów w Warszawie **zamierza zakupić** w tym roku w krajach zachodnich **50 filmów** — za 100 tys. dolarów — **do rozpowszechniania w systemie wideo.**

Wśród nich znajdą się m. in. **takie szlagiery**, jak **„Nieśmiertelny"** (angielski) i **„Informer"** (amerykański).

Już wkrótce trafią one do państwowych wypożyczalni kaset wideo w całym kraju.

W Art Gallery Biura Wystaw Artystycznych w Olsztynie czynna jest **wystawa** wielce oryginalnych **rysunków Stefana Żechowskiego do „Zmór" i innych**, ongiś bulwersujących, **utworów Emila Zegadłowicza.**

W Muzeum Narodowym w Warszawie czynna jest **wystawa współczesnego malarstwa polskiego.**

Radzimy nie przeoczyć tej bardzo interesującej ekspozycji.

W poprzedniej „Kronice" anonsowaliśmy ciekawą **wystawę kostiumów do filmów „Magnat" Filipa Bajona i „Łuk Erosa" Jerzego Domaradzkiego**, czynną **w Centralnym Muzeum Włókiennictwa w Łodzi.**

Sądzimy, że warto poświęcić kilka słów ich projektodawczyni — **Elżbiecie Radke.**

Ukończyła ona szkołę plastyczną, a następnie historię sztuki. Po studiach została asystentką kostiumografa w WFF w Łodzi. **Ma w swoim dotychczasowym**, wielce oryginalnym **dorobku twórczym projekty kostiumów do 40 filmów fabularnych** (m.in. do tak znanych, jak **„Blaszany Bębenek", „Królowa Bona", „Wierna rzeka").**

Jak sama twierdzi, największą satysfakcję zawodową sprawiła jej praca nad kostiumami do filmu „Magnat", z których jest najbardziej zadowolona.

Spośród prezentowanych w Centralnym Muzeum Włókiennictwa kostiumów — koszt wykonania większości sukni wynosił ok. 60 tys. złotych, a jest również suknia za 140 tys. Zdjęcie jednej z nich poniżej reprodukujemy.

Która z pań oprze się pokusie obejrzenia wystawy?

Foto: Teresa Szymonowicz

Książki Wydawnictwa Łódzkiego w roku 1987

Kończy się boom wydawniczo-księgarski. Wyśrubowane do granic handlowej przyzwoitości ceny książek jako skutek rosnących kosztów papieru i druku przemieniły rynek producenta w rynek klienta. Ten chadza jeszcze po księgarniach, jeszcze rozgląda się po ladach, ale kupuje rzadziej i z rozmysłem. Książki się odkładają, rosną zapasy Składnicy Księgarskiej, zaczynają dusić się magazyny „Domu Książki". A wydawnictwa uwarunkowane planami budżetowymi, samofinansowaniem i koniecznością zarabiania cierpią na schizofreniczne rozdwojenie jaźni, bo trudno pogodzić cele instytucji kulturotwórczej i przedsiębiorstwa handlowego o twardych reżymach ekonomicznych. I żżymają się redaktorzy naczelni, gdy muszą odpowiadać na pytania dziennikarzy (ci zdają się często podróżować na Księżyc, aby potem zeń spadać i dziwić się) dlaczego wydają Rodziewiczównę i Dołęgę-Mostowicza, Karola Maya i „Wyznania chińskiej kurtyzany". Ano dlatego, żeby zarobiwszy na literaturze popularnej móc wypełniać swoje założenia kulturotwórcze, dydaktyczne i społeczne.

Nie inaczej postępuje Wydawnictwo Łódzkie, które w roku ubiegłym opublikowało kilka popularnych bestsellerów, parę książek prawdziwie wartościowych i cennych (z zakresu literatury pięknej, popularnonaukowej i stricte naukowej) oraz jakąś liczbę tytułów wciąż jeszcze oczekujących po księgarniach na swoich czytelników (niektóre z nich — bezskutecznie!). W sumie oficyna zamknęła miniony rok wcale pokaźnym saldem dodatnim (tu ciekawostka: tylko około 6 proc. z egzemplarzy sprzedanych w całym kraju zakupili czytelnicy łódzcy), i z racjonalnie umotywowaną nadzieją wkroczyła w rok 1987.

Jedna rzecz tylko z planów ubiegłorocznych nie sfinalizowała się pełnym sukcesem, a mianowicie edycja „Ilustrowanej historii świata" Robertsa. To co subskrybenci otrzymali do rąk (tymczasem tom I) przez drukarniane niedoróbki (a może należałoby je nazwać zwyczajnym partactwem?) nie mogło satysfakcjonować. A może zbyt nisko skalkulowano cenę książki, stąd fatalna jakość tektury i papieru, z których zrobiono okładki? W bieżącym roku ma się ukazać tom II.

A co poza Robertsem? Rozpocznę ten przegląd od literatury pięknej i od nowości powieściowych. Te zawsze są pewną niewiadomą. Wprawdzie pozytywnie ocenione przez recenzentów wewnętrznych i akceptowane przez redaktorów jednak dopiero w bezpośrednim kontakcie z czytelnikiem będą weryfikować swoje wartości literackie i ideowe. Takiej próbie podda się w bieżącym roku Ryszard Bińkowski ze swoją kolejną powieścią pt. „Wiatrak" (temat współczesny, obyczajowy z wątkiem sensacyjnym — historia rozgrywa się w realiach podłódzkiego Rzgowa), także Jacek Krakowski z „Zarazą" (jego głośną „Sodomę" drukują właśnie „Odgłosy"), którą można uznać za polski przykład „realizmu magicznego". Nowe powieści wydadzą także Włodzimierz Krzemiński („Trzynaście spotkań") i Marian Zdrojewski („Valse a la polacca, czyli którędy do nieba") — obie o problematyce współczesnej, o powojennym losie Polaków. Z planów tegorocznych ukazały się już i są w księgarniach (ale trzeba szukać!) kolejne powieści Karola Józefa Stryjskiego („Bohater Dobrej Ziemi" — opowieść historyczna rozgrywająca się w Mezopotamii 3 tys. lat p.n.e.), Andrzeja Makowieckiego („Nie ma pociągów do Barcelony" — współczesna fabuła na poły łotrzykowska umiejscowiona w Hiszpanii) i Bogdana Loebla („Letni dom wampirów" — prawie horror, a naprawdę to obyczajowa groteska). Do najnowszej historii wydarzeń sierpniowych sięga Jan Łyskanowski w „Zadaniu na jedną noc", a lata siedemdziesiąte są tłem, na którym rozgrywa się opowieść o młodym indywidualiście w książce Zbigniewa Leoniaka pt. „Samiec".

W dziale prozy czytelnicy WŁ znajdą także kilka wznowień pisarzy łódzkich (tu Wandy Karczewskiej „Fuga z tematem miłosnym", Bernarda Sztajnerta „Przygody Brunona Bundera" — obie książki już w księgarniach), pozałódzkich (Danuta Bieńkowska, „Trwaj chwilo"; Jadwiga Dackiewicz „Synowie Napoleona") oraz klasyków, czyli Władysława St. Reymonta „Ziemia obiecana" (inauguracja serii „Biblioteka Łódzka") i Emila Zegadłowicza „Motory" (tym razem ze słynnymi ilustracjami Stefana Żechowskiego).

Z powieściowej prozy obcej Wydawnictwo zapowiada trzy tytuły w „Bibliotece Jugosłowiańskiej" — D. Burgacicia „Gość" (psychologiczny portret gastarbeiterów), M. Lalicia „Wojenne szczęście" (epopeja z dziejów Czarnogóry) i M. Kovacia „Drzwi żywota" (jakby kronika z życia mieszkańców Hercegowiny). Także dwie głośne książki D. A. F. de Sade'a „Filozofia w buduarze" i „Justyna" (WŁ zaczyna się specjalizować w edycjach Sade'ystycznych?). Z przekładów z literatury narodów Związku Radzieckiego tom utworów pisarza abchaskiego G. Gulii zatytułowany „Śmierć nieznanego Abchaza (w tłumaczeniu R. Gorzelskiego) oraz Białorusina A. Kudrawca „Żaduszki" (tłumaczyła B. Monkiewicz). Rolę handlowej „lokomotywy" będzie tu pełnić nieśmiertelna „Dama kameliowa" Aleksandra Dumasa.

W dziale poezji (dyrektor WŁ Jacek Zaorski twierdzi, iż jego oficyna przoduje w edycjach poetyckich i chyba ma rację) oprócz tomów m. in. Bogdana Chorążuka, Doroty Chróścielewskiej, Mariana Piechala, Andrzeja Strąka, Tadeusza Chróścielewskiego i Jerzego Wilmańskiego chciałbym polecić miłośnikom tego rodzaju literackiego następne tomy ze świetnie się zapowiadającej serii „Wiersze polskie", a mianowicie zbiory Mirona Białoszewskiego, Marii Konopnickiej i Cypriana Kamila Norwida, opatrzone dobrymi wprowadzeniami i komentarzami.

Pominę już w tym — z konieczności skrótowym — przeglądzie wcale bogaty dział literatury dla dzieci i młodzieży (choć i tu przyszły czytelnik znajdzie kilka tytułów godnych uwagi) zatrzymując się przy książkach, które na pewno warte są polecenia. I tak z serii „Człowiek i jego cywilizacje" (dobrze pomyślanej i kontynuowanej „bez pudła") oprócz „Kozła ofiarnego" R. Girarda i „Między charyzmą i rutyną" A. Kupera (obie już wydane) Wydawnictwo zapowiada F. Schlette'a „Celtów", M. Granta „Gladiatorów" oraz W. Owena Cole'a i P. Singh Sambhiego „Sikhów". Także w innych seriach dwutomową antologię współczesnego dramatu jugosłowiańskiego i bibliofilską antologię poezji rosyjskiej do roku 1917. Z książek krytycznoliterackich tomy studiów i esejów Tadeusza Błażejewskiego, Jana Mikosława Kasjana, Stefana Lichańskiego, Stefana Melkowskiego, Jan Tomkowskiego i Leszka Żulińskiego.

Dla zainteresowanych historią i piśmiennictwem popularnonaukowym WŁ przewidziało w bieżącym roku książki Haliny Evert-Kappesowej (o dziejach i kulturze cesarstwa bizantyjskiego), Henryka Michalaka (monografia o Józefie Szujskim), Waldemara Michowicza (z dziejów dyplomacji polskiej), Janusza Skodlarskiego (o układzie Sikorski — Benes), Witolda Tylocha (prezentacja systemów religijnych współczesnego świata) i Wiesława Śladkowskiego (biografia Clemenceau). A zainteresowani sztuką współczesną może ostatecznie w tym roku doczekają się wreszcie albumowej książki Andrzeja Płauszewskiego o grupie „a.r." („Mit urzeczywistniony").

Dobry dla Wydawnictwa Łódzkiego rok ubiegły, jeśli chodzi o realizację zamierzonych planów, pozwala mieć nadzieję, że i w roku 1987 czytelnicy znajdą w księgarniach wszystko to, o czym nie bez wyraźnej aprobaty napisałem wyżej. Także ulepszoną przez drukarnię „Ilustrowaną historię świata".

GRZG.

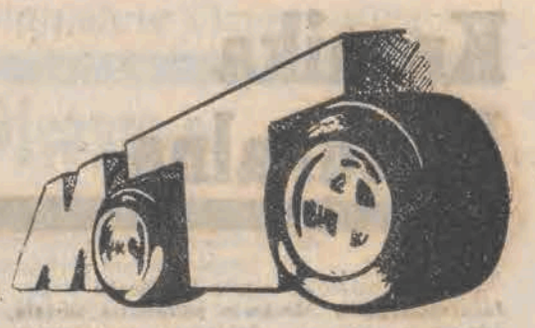

Na luzie

— nowa rubryka, która od dziś pojawiać się będzie już cyklicznie na łamach „Odgłosów". Prezentować będziemy w niej poglądy (nie zawsze obiektywne...), opinie, zwierzenia i zdarzenia ze świata motoryzacji: krajowej i zagranicznej. Strategicznie ważnej i prozaicznie przyziemnej. Choć zawsze bez niepotrzebnego zadęcia, a raczej z przymrużeniem oka, „na luzie". Znajdzie się także miejsce na symboliczną korespondencję (jeśli zajdzie taka potrzeba...) i na anegdotę.

DRUGA już długodystansowa jazda oszczędnościowa znów wywołała żywiołową dyskusję na temat ekonomicznych możliwości naszych aut. Arcymistrz w tej dziedzinie, **Zdzisław Kałuża z Kielc** udowodnił, że w specyficznych warunkach „rajdu o kropelce" ciężki polonez może spalić zaledwie... 3,81 litra benzyny na 100 kilometrów. A i na co dzień, w czasie normalnej eksploatacji auto kieleckiego rzemieślnika nigdy nie zużywa więcej jak 7 litrów etyliny. Wnioski z wielu relacji, dyskusji i motoryzacyjnych sporów, jakie ów „rajd" wywołuje nie są zbyt optymistyczne i można by je w skrócie tak przedstawić: **sam się musisz nauczyć oszczędnego stylu prowadzenia auta i sam dbać o podstawowe dla zużycia paliwa regulacje**, gaźnika, zaworów, kąta wyprzedzenia zapłonu, a także przeprowadzać prozaiczne kontrole jak choćby ciśnienia w oponach. Można „użyć" do pomocy zaprzyjaźnionego mechanika, ale nie poleca się stacji „Polmozbytu"...

SZYBKI, ładny, oszczędny — tym tytułem specjalistyczny tygodnik opatrzył spory materiał o kolejnym małym samochodziku firmy Daihatsu — model Cuore. Rzeczywiście rewelacja i wzór dla innych konstruktorów: 320 centymetrów długości, prędkość blisko 140 kilometrów na godzinę, w miarę wygodna podróż dla czterech osób i przeciętne zużycie paliwa w granicach sześciu litrów na sto kilometrów. Rzecz charakterystyczna: wiele czasopism, nie tylko specjalistycznych, z przyjemnością rozpisuje się o tej japońskiej firmie, publikując między innymi zdjęcia nowej wersji znanego i u nas modelu Charade. Być może, być może? Nadal wszak nie wiadomo, kto i jakim samochodem zastąpi wysłużonego 125p. Wkrótce minie rocznica podjęcia rozmów z partnerami zagranicznymi, z których na placu boju pozostali już tylko Japończycy i Włosi. Oficjalnie — brak rozstrzygnięcia. Sądząc po prasowych denuncjacjach — wygrają reprezentanci Kraju Wschodzącego Słońca. Pożyjemy...

PRZECIEKI reglamentowanego paliwa istnieją bodaj od... chwili wprowadzenia reglamentacji i nie okłamujmy się, że akcje, kontrole, wysokie kary generalnie poprawią sytuację. Poprawić ją może wyłącznie dostatek etyliny i likwidacja nieszczęsnych kartek. Okazuje się, że trzeba już — dla lepszej kontroli — barwić olej napędowy. Takie „usprawnienie" wprowadziły pegeery województwa koszalińskiego, barwiąc — nie nie tylko z okazji świąt — olej będący ich własnością na kolor czerwony. Ponoć radykalnie zmniejszyły się przecieki do prywatnych odbiorców. Do czego to już dochodzi!? Oby tylko nie trzeba w każdym województwie używać innej barwy...

MIMO, iż obowiązuje nakaz jazdy z zabiętymi pasami bezpieczeństwa poza terenem zabudowanym — wciąż wielu zmotoryzowanych ignoruje ten przepis. Na świecie zaś od wielu lat szuka się skuteczniejszego niż pas rozwiązania. Ostatnio firma Audi wprowadziła (oczywiście za dopłatą) w swych droższych modelach urządzenie zapobiegające urazom klatki piersiowej kierowcy, jakie mogą w czasie wypadku powstać w wyniku uderzenia o kierownicę. W momencie zderzenia cofający się silnik pojazdu powoduje teleskopowe złożenie się kolumny kierownicy.

O CENACH, również rosnących, paliw, olejów, smarów nie ma co wspominać, znają je wszyscy zainteresowani doskonale i przyznać trzeba: jest pewien dreszcz emocji gdy po dłuższej przerwie kupuje się jakiś drobiazg, płyn hamulcowy czy kawałek kabelka. Osobiście, dość długo nie kupowałem tak zwanych „wentylków" do kół, pamiętam jednak, że nie tak znów dawno kosztowały chyba 7 złotych sztuka. Ostatnio, z konieczności nabyłem kilka po... 44 złote. Brali wszyscy, ponoć rarytas...

O GIEŁDZIE samochodowej, prezentowanych tam okazach, a także proponowanych cenach — możemy oczywiście też porozmawiać. Jeśli tylko Szanowni Czytelnicy wyraża taką chęć, możemy podawać co ciekawsze notowania giełdowe, jak również nowości spod znaku Przedsiębiorstwa Eksportu Wewnętrznego „Polmot".

DARIUSZ STARTER

Zdrowa żywność

Po latach bezkrytycznej fascynacji techniką i jej możliwościami także i my zaczęliśmy wreszcie zwracać baczniejszą uwagę na warunki, jakie stworzyliśmy sobie do życia: Wzorem innych społeczeństw zainteresowaliśmy się więc stanem środowiska przyrodniczego, wpływem działalności przemysłu na nasze zdrowie, jak również między innymi — znaczeniem właściwego odżywiania się. W tej sytuacji coraz większego znaczenia nabiera tak zwana zdrowa żywność, która ma już w naszym kraju wielu zagorzałych zwolenników.

Kiedy pada hasło zdrowa żywność" wymienia się najczęściej dwa nazwiska: profesora Juliana Aleksandrowicza z Krakowa, który jest niekwestionowanym autorytetem w tej dziedzinie oraz doktora Jacka Roika z Tarnowa, który bodaj jako pierwszy w Polsce, lecząc, kładł główny nacisk na odpowiedni sposób odżywiania się pacjentów, jako integralny składnik procesu leczenia, a już bez wątpienia — przyczynił się do rozpropagowania zdrowej żywności — i to nie tylko w swoim rodzinnym mieście, ale w całym kraju. Mówiąc o tym, nie sposób pominąć też roli, jaką odegrała redakcja tygodnika „Tarnowskie Azoty" — główny organizator I i II Krajowych Targów Zdrowej Żywności. Obie te imprezy odbyły się oczywiście w Tarnowie i zaowocowały nie tyle może podpisaniem jakichś milionowych kontraktów czy umów, co przede wszystkim — pokazaniem, iż w Polsce lat osiemdziesiątych nie brak ani producentów pragnących wzbogacać rynek o zdrową żywność, ani handlowców, którzy chcieliby zapełnić nią sklepy.

W ubiegłorocznej targowej ofercie znalazło się wiele atrakcyjnych i poszukiwanych artykułów spożywczych czy parafarmaceutycznych, takich jak: kiełki pszenicy, otręby pszenne, młody, preparaty miodopochodne, zdrowotne przyprawy warzywno-ziołowe, sól i ciasta z mikroelementami, tabletki dolomitowe, wody mineralne, produkty bezglutenowe. Jak na początek — wcale niemało, chociaż była to oferta trochę przypadkowa i zaledwie w drobnej części dająca pojęcie o tym, czym jest, czym może i czym powinna być zdrowa żywność w najszerszym tego słowa znaczeniu.

Jako przykład weźmy chociażby otręby pszenne firmy „Unicom" — od kilku już lat doskonale znane na rynku i cieszące się zasłużonym powodzeniem wśród klientów. Z pewnością spożywane regularnie wpływają one korzystnie na funkcjonowanie organizmu człowieka, a zwłaszcza — przewodu pokarmowego. Czy jednak zaliczenie ich do zdrowej żywności nie jest pewnym nieporozumieniem? W jakimś stopniu zapewne tak, ponieważ ich zdrowotne właściwości, to jedna, zaś jakość i czystość, to druga, całkiem odrębna sprawa. Mało bowiem prawdopodobne, aby pszenicę, z której te otręby pochodzą, uprawiano bez nawozów sztucznych, czy chemicznych środków owadobójczych. Te zaś prawie zawsze nie pozostają bez wpływu na jakość upraw i powstałej z nich potem żywności. Można zatem śmiało powiedzieć, że jakkolwiek sprzedawane w naszych sklepach otręby mają zdrowotne właściwości, to nie są jednak wolne od zanieczyszczeń powstałych w wyniku stosowania rożnych środków chemicznych przez rolników.

Podobnie jest z innymi artykułami, które w pełni moglibyśmy nazwać zdrowymi dopiero wtedy, gdyby ich produkcja od początku do końca nie była związana z chemią. A to, jak na razie, zdarza się w Polsce jeszcze bardzo rzadko, choć próby takie są już czynione.

Nie chciałbym, rzecz jasna, dyskredytować tym stwierdzeniem wspomnianych wyżej otrąb firmy „Unicom", ani też jakiegokolwiek innego produktu wystawionego na targach i obniżać w ten sposób rangi tej skądinąd bardzo pożytecznej i nowatorskiej na naszym gruncie imprezy handlowo-propagandowej. Przeciwnie. Sądzę, że jej organizatorom i uczestnikom należą się słowa uznania i pochwały. Chodzi jednak o to, że problem zdrowej żywności nie jest wcale ani tak prosty, ani łatwy, jak z pozoru mogłoby się wydawać. Zabraliśmy się do jego rozwiązywania od końca, pomijając na razie wszystkie wcześniejsze etapy. I nic w tym złego, gdyż od czegoś przecież trzeba było zacząć. Powinniśmy jednak przez cały czas mieć świadomość, że aby można produkować rzeczywiście zdrową żywność, najpierw trzeba uzdrowić nasze rolnictwo i przemysł spożywczy, to znaczy wyeliminować z obu tych ogniw, na ile to tylko możliwe, wszelkie preparaty chemiczne ułatwiające może pracę i zwiększające zyski, ale prawie w każdym wypadku zatruwające mniej lub więcej pożywienie, a co za tym idzie — również i nasze organizmy. Bez spełnienia tego podstawowego warunku zadowalać się będziemy musieli nadal jedynie półśrodkami.

W niektórych krajach zamiast „zdrowa" używa się określenia „naturalna żywność", rozumiejąc przez nie wszystko to, co wyrosło lub zostało wyhodowane w sposób naturalny, czyli bez chemicznej ingerencji człowieka w procesy zachodzące w przyrodzie. Produkty otrzymane w ten sposób (między innymi: warzywa, owoce, zboża, mięso, mleko, masło, sery) sprzedawane są w specjalnych sklepach lub bezpośrednio przez producentów po trochę wyższych zwykle cenach, co jednak wcale nie odstrasza klientów, gdyż popyt na takie artykuły wciąż rośnie. I nie jest to tylko kwestią panującej obecnie mody, a głównie — wynikiem coraz powszechniejszej świadomości, że jeśli sami jesteśmy częścią natury (a jesteśmy, o czym nie wszyscy chcą na co dzień pamiętać!) to nie możemy działać przeciwko niej, ponieważ działamy tym samym przeciwko sobie.

Oczywiście określenia „zdrowa żywność" i „naturalna żywność" nie dla każdego muszą znaczyć dokładnie to samo. Domyślam się bowiem, że tę pierwszą niektórzy traktują jako coś w rodzaju lekarstwa, które nie tylko zapobiega chorobom, zwłaszcza tak zwanym cywilizacyjnym, ale też przywraca utracone już zdrowie. I na pewno tak jest, choć nie należy popadać w przesadę, dopatrując się w zdrowej żywności jakichś cudownych właściwości.

TOMASZ P.

Przede wszystkim czysta!

Nasz czas różnie już zwano: epoką atomu, elektroniki, ale nikomu nie wpadło jakoś do głowy, aby nazwać wiek XX wiekiem chemii. Jej rozwój jest przecież niekwestionowany. Chemia nas ubiera, chemia ułatwia nam życie, z produktów chemii korzystamy w łazience, kuchni, biurze, fabryce, w tramwaju, pociągu, samochodzie, chemia wreszcie nas żywi. I to właśnie budzi u niektórych ludzi niepokój. Ostrzegają, że żywność, która trafia na nasze stoły nie jest zdrowa, że dla jej produkcji używa się różnych środków chemicznych, które przyśpieszają jej powstawanie. Nie ma powodów wątpić, że tak jest. Ale...

Dawno temu w nieocenionym „Przekroju" ukazał się artykuł, który wówczas wywołał sporo zamieszania. Autor, którego nazwiska już nie pamiętam, przekonywał czytelników, że pomidory są... szkodliwe dla zdrowia, gdyż powodują raka. Skąd wziął tę bulwersującą teorię, nie wiem. Ale wiem, że w owym czasie uprawiano pomidory raczej na naturalnym nawozie. I ta bulwersująca teoria jakoś nie znalazła naukowego potwierdzenia do dziś.

Przypominam tę dawną historię tylko dlatego, aby pokazać, że straszono nas już dawniej i to w różny sposób. Nic nowego pod Słońcem! Proszę jednak tego nie rozumieć tak, że lekceważę ostrzeżenia o niezdrowej, skażonej chemią żywności. Nic podobnego. Ale mam pewne wątpliwości.

Po pierwsze — są one natury generalnej. Przed ludzkością stoi problem wyżywienia się. Polska założyła sobie ambitny plan wyżywienia nas przez nasze rolnictwo, bez konieczności importu żywności. Czy realizacja takiego programu jest możliwa bez pomocy chemii i techniki? Czy naturalne rolnictwo, bez ingerencji nauki, a więc i bez pomocy chemii, bez maszyn i tak dalej, jest w stanie sprostać ogromnym potrzebom? Byłbym szczęśliwy, gdyby ktoś w sposób konkretny zechciał odpowiedzieć na to pytanie. Nie przeczę, przeciwnie sam to głoszę, że przyroda stanowi nierozerwalną całość i naruszenie jednej z jej części — a więc równowagi — powoduje nieobliczalne skutki w innych jej częściach. I że człowiek jest tylko częścią przyrody, że dziś nie umie z tej prawdy wyciągnąć właściwych wniosków, co może spowodować groźne skutki dla ludzi.

Po drugie — są różne stany zagrożenia. Dla mnie najważniejszym obecnie stanem zagrożenia jest brud. Od tygodni oglądam przewalające się śmieci z pojemników na ulicy Zarzewskiej i Jana Kilińskiego. Ostatnio Sanepid na przykład zakwestionował serki homogenizowane z Łódzkiej Spółdzielni Mleczarskiej przy ul. Omłotowej, gdyż w serkach tych są szkodliwe dla zdrowia bakterie. Te serki otrzymały markę „Społem poleca", a „Dziennik Łódzki" opierając się na tej opinii popierał takie polecanie.

Tenże Sanepid zlustrował w śródmieściu Łodzi kioski z warzywami należące do Państwowego Przedsiębiorstwa Ogrodniczego i wydał szereg poleceń, których celem jest ochrona zdrowia klientów przed brudem.

Brud nas zalewa. Brud grozi naszemu zdrowiu. Oto pierwsze zagrożenie, przeciw któremu należy wydać zdecydowaną walkę. Brud niesie z sobą groźne choroby. Brud zagnieździł się wszędzie. Można go spotkać w sklepach spożywczych, restauracjach, stołówkach, kawiarniach.

Nie mam nic przeciw propagowaniu zdrowej żywności, ale przede wszystkim chciałbym — i to jest konieczne — aby żywność była c z y s t a!

WITOLD BOROWY

Płyty

Niedawno w tygodniku „Newsweek" natknąłem się na artykuł poświęcony rosnącej popularności płyt kompaktowych. Tekst nosił tytuł „Chwiejna przyszłość longplaya" i zapowiadał rychły koniec tradycyjnego czarnego krążka. Oczywiście sprawa dotyczyła nie naszego, a amerykańskiego rynku muzycznego, na którym pozycja albumów laserowych w ubiegłym roku znacznie się umocniła. Chociaż nadal stanowią one tylko 25 procent wszystkich płyt sprzedawanych w USA, rośnie liczba melomanów doceniających ich podstawowe zalety — trwałość i wysoką jakość brzmienia. Widząc wzrost zainteresowania nabywców, liczne wytwórnie (m.in. RCA, Motown i Polygram) ograniczyły drastycznie nakłady longplayów, wprowadzając na ich miejsce wiele tytułów w wersji „compact disc". Nie wszystkim się to spodobało.

Ceny odtwarzaczy i płyt są nadal dość wysokie, a część kolekcjonerów po prostu przyzwyczaiła się do starego dobrego longplaya (podobno niektórzy fonoamatorzy nawet lubią jak trochę trzeszczy). Jednak w związku z pojawieniem się na rynku coraz tańszych urządzeń odtwarzających, a także ze względu na ciągłe rozszerzanie repertuaru zarejestrowanego na płytach kompaktowych, ich popularność powinna nadal wzrastać i wkrótce nawet najbardziej zagorzali sympatycy winylu przekonają się do nich.

U nas praktycznie problem nie istnieje. Tylko garstka prezenterów radiowych z uporem stara się słuchaczy przekonać o wyższości płyty mniejszej (kompaktowej) nad większą (tradycyjną). Muszę przyznać, że drażnią mnie, do niczego nie prowadzące, dyskusje w „Wieczorze płytowym" na temat czystości brzmienia, kiedy to Jurek z Opola pisze do redakcji, że w poprzednim tygodniu lewy kanał „szedł" u niego gorzej niż prawy, a Paweł z Radomia twierdzi, iż było akurat odwrotnie. Ale jeśli inni mogą tego słuchać, zdecydowany jestem wstać, zrobić kilka kroków w stronę radia i wyłączyć — na czas trwania tego typu wywodów — głos, byleby później usłyszeć parę taktów dobrej muzyki. Bo przecież „Wieczór płytowy" i inne podobne audycje są dla wielu melomanów jedyną okazją do zapoznania się z zagranicznymi wykonawcami i ich twórczością.

Na naszym rynku płytowym w muzyce pop nadal panuje zastój. Longplaye i single krajowych wykonawców ukazują się z dużym opóźnieniem, gdy umieszczone na nich nagrania zaczynają już trącić myszką. O albumach zagranicznych gwiazd nie warto w ogóle mówić, bo ich prawie nie ma, a jeśli jakiś się pojawi, to zazwyczaj w tak małym nakładzie, że nieraz nawet nie starcza dla wszystkich znajomych sprzedawców ze sklepów płytowych.

Czasami jednak „Tonpress" lub inny gigant naszej fonografii zaskoczy nas krążkiem, którego nigdy nie spodziewałbym się ujrzeć za ladą. Ostatnio takim objawieniem był album Johnny'ego Wintera. Wprawdzie trudno zaliczyć „Serious Business" do najbardziej udanych płyt w dyskografii tego doskonałego gitarzysty — jednego z czołowych przedstawicieli białego bluesa, ale posłuchać warto, zwłaszcza że nagrania są świeże, a 650 złotych, w stosunku do cen, jakie windują w sklepach kupno-sprzedaż i komisach, wydaje się pomyłką, która zdarzyła się w drukarni, gdzie zapomniano o jednym zerze.

Sześć tysięcy złotych za dobry zachodni longplay — tym bardziej jeśli wykonawca jest popularny — to dziś też nie tak dużo, o czym wydają się wiedzieć bywalcy giełd i właściciele prywatnych sklepów muzycznych. Ostatnio najlepiej „idą" oczywiście płyty grupy „Europe". Któż nie chciałby mieć w domu kolekcji nagrań szwedzkiego zespołu... Posiadanie w domu płyty z „Ostatnim odliczaniem" i innymi przebojami stało się marzeniem niejednego melomana, bez względu na wiek. Nawet mój syn, który jeszcze nie skończył sześciu lat, gdy wraca z przedszkola, nastawia kasetę z utworami „Europe" i wykrzykuje, razem z Joeyem Tempestem tekst piosenki „The Final Countdown". Słowem ogólne szaleństwo. Wydaje mi się, że dużą rolę w popularyzacji zespołu „Europe" odegrały efektowne teledyski, bo przecież szwedzcy muzycy nie są aż taką artystyczną rewelacją. Jeśli kogoś nie stać na płytę, może nabyć kasetę z piosenkami swoich idoli. Jakość dźwięku z taśm oferowanych przez prywatne sklepy pozostawia wiele do życzenia (są to na ogół przedruki), ale za jedną trzecią ceny longplaya nie można wymagać cudów.

Od krystalicznie czystego brzmienia płyt kompaktowych dotarliśmy więc do stosunkowo niedrogich, ale za to średniej jakości kaset, które są dostępne na naszym rynku. Nie kupią ich jednak najbardziej wybredni fonoamatorzy. Dla nich nasz rynek ma niewiele do zaoferowania, jeśli pominiemy sklepy „Pewexu", gdzie odtwarzacze i płyty laserowe bywają, choć ich wybór jest jeszcze znikomy. Tymczasem Japończycy wynaleźli już lepszy nośnik dźwięku, łączący w sobie czystość brzmienia płyty kompaktowej z zaletami kasety. Doskonała rzecz do nagrywania bootlegów, czego obawiają się wielkie wytwórnie płytowe. Jesienią tzw. taśma cyfrowa (digital audiotape) ma wejść na rynek amerykański. Kiedy dotrze do nas?

GRZEGORZ JACEK

Polemiki • Listy • Opinie

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie" publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

MIĘDZY CISZĄ A ZGIEŁKIEM

W numerze 15 „Odgłosów" z 11 kwietnia 1987 r. autor radarowego „Słuchania ciszy" — Marek Koprowski, czyni nic — i jeszcze mniej — aby udowodnić, że ma rację.

Zarzucam mu ponoć — tak twierdzi — iż przeprowadza *„husarski atak na Łódzką Szkołę Filmową i to atak bezmyślny: bez przygotowania, na oślep, na słowo honoru, bez sensu i odpowiednich argumentów"*. Że bez sensu i odpowiednich argumentów — z tym mógłbym się zgodzić, ale że jest to atak bezmyślny i na oślep — co to, to nie! Przemyślał bowiem Marek Korpowski całą sprawę i zdecydował się na sposób chwały mu nie przynoszący, chociaż wielokrotnie już przez innych wypróbowany, mianowicie usiłuje przedstawić swych rozlicznych jak sądzi — w tej mierze sojuszników, a tym samym wykazać swoje osamotnienie. Osamotnienie Don Kichota kruszącego kopię ku chwale Dulcynei z Targowej. Jako pierwszego sojusznika przedstawia Małgorzatę Karbowiak z „Głosu Robotniczego". Używa tu znanej metody pierwszej połowy lat pięćdziesiątych, wyrywa mianowicie z kontekstu krótki fragment i próbuje na nim budować. Rzecz w tym, że wybrał dla siebie niezbyt szczęśliwie, pisała bowiem Małgorzata Karbowiak następująco:

„Rzecz jednak nie polega na tym, że Koprowski chce tej szkole przyłożyć". — I to widać zachęciło Marka Koprowskiego, by tym fragmentem się posłużyć. Ale cytował dalej, na swoje nieszczęście: *„pisze o niej pełen wątpliwości, gdyż nie spełniła jego oczekiwań. Ma prawo. Tym bardziej, że jego poglądy uzmysławiają nam, jak trudno pisać o kondycji uczelni artystycznych"*.

Jest to wyraźnie dedykowane Markowi Koprowskiemu, a on ze stoickim spokojem odbijając piłeczkę stwierdza: *„ostatnie zdanie cytowanego fragmentu muszę zadedykować również Zenonowi Michalskiemu"*. No i jak tu się nie uśmiać?

Kolejnym Marka Koprowskiego sojusznikiem — a moim, co za tym idzie przeciwnikiem ma być Komitet Centralny PZPR. Mocne uderzenie! Przytacza Marek Koprowski fragment informacji „Trybuny Ludu" z 2 grudnia 1985 roku o naradzie dotyczącej sytuacji w wyższym szkolnictwie artystycznym. Mówiono tam krytycznie o szkołach artystycznych, a Zenon Michalski wychwala Szkołę Filmową...

Uczestniczyłem w tej naradzie — Marka Koprowskiego tam zdaje się nie było? — i nie widzę żadnych sprzeczności. Nigdy nie twierdziłem, że w Szkole Filmowej jest tak dobrze, że już lepiej być nie może, ale zawsze zwalczałem, zwalczam i będę zwalczał krytykanctwo.

Oberwało od Marka Koprowskiego i Towarzystwo Przyjaciół Łodzi nazwane przez mego polemistę *„towarzystwem wzajemnej adoracji"* — a nazwa ta ma być ukuta *„przez działaczy różnych szczebli łódzkiej drabiny władzy"*. A to już bardzo nieładnie. Tak właśnie powstają intrygi, tak rodzi się podejrzliwość i nieufność.

Próbuje Marek Koprowski postawić mnie w dwuznacznej sytuacji wobec redakcji „Odgłosów". *„Uczelnia jest łódzka" pismo jest łódzkie* — powiada — *a Zenon Michalski jego stałym współpracownikiem. Mógłby więc napisać o szkole sam, z siebie, zakrzyknąć o pomoc"*. O pomoc woła się wtedy, gdy zaistnieje niebezpieczeństwo. Gdy powstało niebezpieczeństwo wyrobienia sobie przez czytelników „Radaru" fałszywego obrazu Szkoły Filmowej, napisałem w „Odgłosach" artykuł, który Marka Koprowskiego tak zdenerwował. A tak nawiasem mówiąc, Marek Koprowski także — chociaż od niedawna — jest stałym współpracownikiem „Odgłosów". Znajdujemy się nawet w stopce redakcyjnej z winy alfabetu bardzo blisko siebie.

Próbuje mnie Marek Koprowski poróżnić do końca z Ewą Rubinstein twierdząc, że cytowane przeze mnie przysłowie: *„Gość w dom, Bóg w dom"* winno w moim rozumieniu brzmieć: *„Gość w dom — morda w kubeł"*.

Oj, nieładnie. To jest przecież czysta insynuacja. Pozwoli zatem Marek Koprowski, że nie odpłacę mu pięknym za nadobne, bo jak by się czuł, gdybym insynuował, że jego krytyka Szkoły Filmowej jest wynikiem jej nieukończenia?

Chce mnie Marek Koprowski postawić również w dwuznacznej sytuacji wobec studentów Szkoły Filmowej twierdząc, że odmawiam im prawa *„do krytykowania filmów zrealizowanych przez ludzi, którzy kończyli wielką Szkołę Filmową"*. Przecież to nonsens! Twierdziłem tylko i twierdzę nadal, że nie bardzo daje się pogodzić przekonanie, iż przed 1968 rokiem wszystko w Szkole było doskonałe, z krytyką filmów zrealizowanych przez absolwentów z tamtego okresu. Albo, albo.

Usiłuje także posiać Marek Koprowski nieufność wobec moich intencji u zasłużonych pedagogów Szkoły. Ponieważ, być może, nic nie zrozumiał tego, co napisałem, postaram się rzecz przedstawić w sposób bardziej prosty. Gdyby Szkoła, mimo wysiłków ambitnych, wybitnych pedagogów zupełnie podupadła, niejeden wybitny twórca nie chciałby jej dalej firmować swoim nazwiskiem. Tak to rozumiałem i niczego nie odwołuję.

A propozycja, abym stanął na czele *„Komitetu Założycielskiego Tablicy Pamiątkowej Na Murach Szkoły Ku Czci Składu Pospiesznego Relacji Warszawa — Łódź"* — jest do rozważenia. Byłaby to wielka tablica z nazwiskami pedagogów i studentów. W każdym bądź razie dziękuję za pomysł.

Zakończył Marek Koprowski swoją polemikę cytatem z Henry Fieldinga. Ja natomiast kończąc odwołać się chciałbym do Fryderyka Schillera. Wywołany utwór to „Intryga i miłość". Co ma piernik do wiatraka — ktoś powie? Ano ma! Część tego tytułu odnalazłem w polemice. Uważny Czytelnik domyśli się którą...

Swoją replikę zatytułowałem „Między ciszą a zgiełkiem", bo nie wątpię, że zgiełk się podniesie. Ja już powiedziałem to, co trzeba było powiedzieć. Odpowiedzi więcej nie będzie.

ZENON J. MICHALSKI

ZDANIEM PREZYDIUM GRN W ANDRESPOLU

Andrespol, 1987.04.10.

W związku z ukazaniem się na łamach tygodnika „Odgłosy" (nr 11 z 14 marca 1987 roku) pt. „Umiesz liczyć, licz na siebie" napisanego przez Jolantę Wrońską, Prezydium Gminnej Rady Narodowej w Andrespolu uznało informację na temat budowy szkoły w Bedoniu za jednostronne, niekompetentne, w dużej mierze nie odpowiadające prawdzie oraz przedstawione w sposób złośliwy pod adresem Gminnej Rady Narodowej w Andrespolu. Uważamy to za szkodliwe ze względów polityczno-społecznych i dlatego żądamy sprostowań w tej sprawie.

Prezydium Gminnej Rady Narodowej w Andrespolu zwraca się jednocześnie z prośbą, aby Jolanta Wrońska była uprzejma nawiązać kontakt z radnymi GRN — ludźmi oddanymi sprawie, a nie wyłącznie z rajcami.

Przewodniczący Gminnej Rady Narodowej
w Andrespolu
JAN KWIATKOWSKI

OD REDAKCJI: Publikując list Prezydium GRN w Andrespolu chcemy przypomnieć te fragmenty artykułu Jolanty Wrońskiej, w których odnosiła się ona do GRN.

„Co do lokalizacji to Gminna Rada Narodowa najpierw podała, że od dawna jest w planach przewidziane miejsce pod przyszłą szkołę. Jeszcze z czasów powiatowych obietnic i pierwszej zbiórki pieniędzy. Co więcej gdzieś też się znajduje projekt budowlany kiedyś wykonany a obecnie nie urzeczywistniony".

„Sprawa musi przejść jeszcze przez Gminną Radę Narodową, a ta — jak dotąd nie tylko nie wykonała żadnego gestu przychylnego sprawie szkoły w Bedoniu, to można powiedzieć, że nawet na odwrót."

„Jest milczenie Gminnej Rady Narodowej władnej poprawić nieco stan konta Społecznego Komitetu".

I to wszystko. Co tu zatem prostować? Prezydium GRN w Andrespolu nie próbuje nawet wskazać, które z podanych zarzutów nie są prawdziwe. A to jest obowiązkiem przy odpowiadaniu na krytykę.

Przy okazji pragniemy wyjaśnić, że według „Słownika języka polskiego" radny to dokładnie to samo co rajca i nie ma to nic wspólnego z rajcowaniem, czyli gadaniem, paplaniem i spędzaniem czasu na gadaniu. Rajca jest starym terminem, dziś rzadziej już używanym.

REFORMOWANIE JAKOŚCI

Gospodarczym tematem dnia budzącym zrozumiałe emocje są rozważania nad kontynuacją reformy gospodarczej, nad jej drugim etapem. Dotychczasowe doświadczenia w zakresie uruchamiania mechanizmów ekonomicznych mających stymulować wzrost gospodarczy i osiągnięcie równowagi rynkowej pobudzają do refleksji nad ich skutecznością i zmuszają do poszukiwania nowych, bardziej efektywnych rozwiązań.

Jak powszechnie już chyba wiadomo, miernikiem rozwoju gospodarczego we wszystkich formacjach społeczno-ekonomicznych jest tempo wzrostu dochodu narodowego, który to dochód w gospodarce socjalistycznej tworzony jest przede wszystkim w sferze produkcji. W tym miejscu nasuwa się dość przekorne pytanie — jakiej produkcji? Czy produkcji na eksport, czy na rynek krajowy?

Warto się zastanowić czy tego rodzaju pojęcie produkcji powinno egzystować w reformowanej gospodarce. Czy w dalszym ciągu należy kultywować szeroko rozpowszechniony pogląd, że gdyby nie eksport to na naszych półkach sklepowych znalazłyby się dobre jakościowo towary zamiast bubli, których ceny z roku na rok wzrastają, a jakość z roku na rok maleje. Biorąc pod uwagę możliwości, jakie stwarza reforma, pora chyba skończyć z dzieleniem produkcji z punktu widzenia przeznaczenia i zacząć mówić po prostu o produkcji. Produkcji, która spełnia określone wymagania i stawia konsumenta krajowego na równi z konsumentem zagranicznym.

Narzekając na różnicę jakości artykułów konsumpcyjnych przeznaczonych na rynek wewnętrzny w stosunku do tych samych produktów przeznaczonych na eksport i podkreślając lepszą jakość towarów importowanych, często zapominamy o istotnym fakcie dającym się zaobserwować na rynkach krajów wysoko rozwiniętych. Faktem tym jest identyczna jakość produktu przeznaczonego na potrzeby odbiorcy w kraju producenta i produktu eksportowanego na inne rynki. Perfumy „Chanel no. 5" tak samo pachną we Francji, Japonii, jak i w polskim „Pewexie", a ser „Gouda" tak samo smakuje w Holandii, jak i w RFN czy Kanadzie.

Zresztą, żeby nie opierać się na przykładach, które ktoś może odczytać jako pochwałę modelu kapitalistycznego, posłużmy się przykładem rodzimym, chociaż mniej przemawiającym do wyobraźni kolejkowego konsumenta. Odpowiedzmy sobie na pytanie; czy jakość silnika okrętowego wyprodukowanego w zakładach H. Cegielski montowanego na statku przeznaczonym dla armatora szwedzkiego różni się od jakości silnika montowanego na statku budowanym dla PLO? Na pewno nie, a to znaczy, że dobra produkcja, której nie trzeba dzielić na dwie, różne jakościowo kategorie i w naszych warunkach jest widać możliwa.

Jeżeli tak, to pora uświadomić sobie, że dzieląc produkcję na eksportową i na potrzeby rynku wewnętrznego stwarzamy sytuację, w której każdy jest odbiorcą bubla przez siebie wyprodukowanego.

Realną szansę na odejście od tego rodzaju podziału winna stworzyć reforma systemu podatkowego w sektorze uspołecznionym. W połączeniu z ograniczeniem dopłat z budżetu państwa oraz jednolitą, krajową, a nie branżową czy zakładową, normą jakościową opartą o wymagania stawiane przez eksport, odpowiednio skalkulowane ulgi podatkowe z tytułu realizacji eksportu mogą w efekcie przyspieszyć poprawę jakości zaopatrzenia rynku.

Załóżmy, że produkt nie nadający się na eksport dopuszczamy do obrotu krajowego jako II gatunek z ceną niższą od kalkulowanej na bazie kosztów. Wynikające z tego tytułu straty producent pokrywa z ulg podatkowych z tytułu eksportu, a w przypadku strat przewyższających te ulgi już w własnego zysku. W tak skonstruowanym mechanizmie narzędziem kształtującym efekty finansowe przedsiębiorstwa jest zysk uzależniony nie tylko od wielkości produkcji, lecz przede wszystkim od jej jakości. Dodatkowo mechanizm oddziaływuje na ceny rynkowe różnicując je w zależności od jakości produktu i poprzez wielkość przypadającej na każdego pracownika części zysku wymusza dobrą robotę. A przecież dobra jakość pracy stanowi jeden z podstawowych elementów reformy.

MACIEJ KOPEĆ

DO KOSZA

Najwyższa Izba Kontroli zajęła się tym razem produkcją oraz gospodarką papierem, na którego brak narzekamy wszyscy. Przyjrzyjmy się wyłącznie gospodarce.

Kontrolą objęto 43 zakłady przemysłu papierniczego i poligraficznego oraz wyrobów papierowych (28 państwowych i 15 spółdzielczych), które w 1985 roku wyprodukowały łącznie 535 tys. ton papieru i tektury (41,4 proc. produkcji krajowej) i zużyły 484,2 tys. ton tych wytworów (36,4 proc. zużycia krajowego). Prawie w połowie zakładów poligraficznych i we wszystkich spółdzielniach stwierdzono niską efektywność wykorzystania materiałów papierniczych, co znalazło potwierdzenie w wysokim przeciętnym wskaźniku udziału odpadów (makulatury) w zużytych surowcach papierniczych. Odpady te stanowiły łącznie 13,8 proc. w 1984 r. i wzrosły do 15,1 proc. w 1985 r., a w I kwartale 1986 r. osiągnęły 15,7 proc. Występowało znaczne zróżnicowanie w zużyciu papieru i papieru na podobne wyroby. Jeśli zużycie papieru na wyprodukowanie 1 tony tektury falistej wynosiło w 1985 r. w Bardeckich ZP 916 kg, w Ostrołęckich ZCP 845, to w Bydgoskich ZP 1002 kg.

Na produkcję tysiąca sztuk worków papierowych Krapkowickie ZP potrzebowały w 1985 r. 290 kg papieru, Ostrołęckie ZCP 313 kg, ale Kaletańskie ZCP aż 402 kg. Im wyższe zużycie surowca na jednostkę produkcji, tym więcej powstawało odpadów poprodukcyjnych.

Równocześnie z niegospodarnością szło w parze zwykłe marnotrawstwo. Było ono wynikiem fatalnego składowania, mało troskliwego załadowywania i rozładowywania. W takiej Drukarni Wydawniczej w Krakowie w 1985 r. i w I kwartale 1986 roku w toku procesów introligatorskich i składowania oraz w dziale uszlachetniania druków uległ zniszczeniu papier o wartości 1,4 mln zł. Ponad 81 ton papieru przekazano na „zniszczenie" (makulaturę) uzasadniając to złą jego jakością. W Kieleckich ZWP straty papieru wskutek mechanicznych uszkodzeń w procesie rozładowywania wagonów i przemieszczania bel wewnątrz zakładu tylko na 2 wydziałach produkcyjnych wyniosły w dniu oględzin ponad 1,6 tony, tj. o ok. 0,9 proc. dobowego przerobu. Główną przyczyną był brak wózków chwytakowych o odpowiednim udźwigu oraz niestaranne przemieszczanie bel przez pracowników.

WACŁAW OPACKI

KRÓTKIE DZIEJE WARSZTATÓW SZYBOWCOWYCH W ŁODZI

W „ODGŁOSACH" nr 11/1511 z 14 marca 1987 r. zamieszczono artykuł pt. „Gdy w Łodzi budowano samoloty" — autorstwa Kocent-Zielińskiego. Podano w nim informacje dotyczące Warsztatu Szybowcowego LWD nr 3 przy ulicy Śródmiejskiej 54 (obecnie Więckowskiego 54). Chciałbym dodać kilka informacji na ten temat.

Warsztat był stolarnią mechaniczną firmy Jeske Emil — stanowiącą w czasie okupacji Warsztaty Szybowcowe NSFK. Po oswobodzeniu Łodzi i opuszczeniu firmy przez wojska frontowe zostały one zabezpieczone przeze mnie na początku marca 1945 r., przez zgłoszenie w Zjednoczeniu Przemysłu Budowlanego Województwa Łódzkiego oraz uzyskanie zwolnienia na zajęcia przez szefa kancelarii ogólnej Rejonowego Wojskowego Zarządu Budowlano-Kwaterunkowego (22.III.45 r., nr 114) — kpt. inż. M. Jarmulskiego.

Zakład posiadał kilkanaście warsztatów stolarskich z wyposażeniem, bogate zapasy śrub, nakrętek, podkładek, zawleczek, kleje, linki i różne detale do budowy i naprawy szybowców. W zakładzie znajdowało się kilkanaście sprawnych szybowców jednoosobowych oraz jeden szybowiec dwuosobowy, kilka wózków do przewożenia szybowców oraz odkryty na śmietniku w skrzyni 16-cylindrowy nowy silnik samolotowy.

Majątek zakładu został spisany, zabezpieczony i uruchomiony (w pierwszych dniach produkowano drewniane obcasy). 11 kwietnia 1945 r. przekazałem cały majątek Lotniczym Warsztatom Doświadczalnym, które powstały w tym czasie na ul. Zagajnikowej 56, a sam zostałem mianowany kierownikiem Oddziału LWD ul. Śródmiejskiej 54. Umowa o pracę została podpisana przez kier. LWD inż. Aleksandra Sułkowskiego. W zaświadczeniu z 24.IV. zakład nosi nazwę: Warsztaty Szybowcowe w Łodzi przy ul. Śródmiejskiej 54 (podpis mgr. Jerzego Brodzkiego).

W tym przedsiębiorstwie, po dokonaniu pełnych czynności uruchamiających produkcję, pracowałem do 30 czerwca 1945 r. i na własną prośbę (zaświadczenie Ldz. 656/I/45 z 5.IX.1945 r.) uzyskałem zwolnienie ze względu na konieczność dokończenia studiów na Politechnice Łódzkiej.

Podane wyżej informacje mogą być poparte posiadanymi przeze mnie zaświadczeniami, wystawionymi przez odpowiednie władze.

JERZY BOROWICZ

PRZEDE WSZYSTKIM NIE PODDAĆ SIĘ!

Bronisław Kubiak, kombatant, były członek Armii Krajowej w Zgierzu, przewodniczący Komisji Historycznej Hufca Łódź-Polesie im. Harcerskiej Poczty Powstańczej posiada niezwykłe „hobby". Jest nim rzeźbiarstwo. Jeszcze jako chłopiec słyszał o tym, że można rzeźbić w węglu. Ale kupowany na składzie opałowym nie nadawał się do takich prac. Zniechęciło go to na pewien czas. Potem przyszła wojna i konspiracja.

Dopiero około roku 1960, kiedy przebywał zimą w sanatorium w Dusznikach kuracjusze postanowili ulepić ze śniegu duże popiersie Chopina. Praca trwała kilka dni i uwieńczona została sukcesem. Wykonaną rzeźbę podziwiali kuracjusze z innych sanatoriów, okoliczni mieszkańcy i wczasowicze.

Po powrocie do Łodzi zaczął próbować rzeźbić w mydle, a gdy to się udało poszukał trwalszego tworzywa. Najpierw było to drzewo bukowe, a potem olszyna. Ulubionym motywem są świątki świętokrzyskie. Nie pogardził też małym diabełkiem, którego uważa za swoją maskotkę.

Ostatnio pracuje nad rzeźbami czterech pór roku, wyobrażającymi kobiety z akcesoriami tych okresów czasu, np. lato ze snopkiem zżętego zboża. Warto zaznaczyć, że Bronisław Kubiak cierpi na nieuleczalną chorobę oczu, a tym samym na zanik wzroku. Jest członkiem Polskiego Związku Niewidomych, a przy swoich pracach rzeźbiarskich posługuje się dotykiem rąk i lupą zegarmistrzowską o dużej mocy powiększania.

MIECZYSŁAW KOZAK

INFORMUJEMY O KONKURSIE

MOJE MIASTO BEŁCHATÓW

W 250 rocznicę nadania miastu praw miejskich MIEJSKI OŚRODEK KULTURY W BEŁCHATOWIE I TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ BEŁCHATOWA organizują III Konkurs Literacki „MOJE MIASTO BEŁCHATÓW" w prozie, wierszu i piosence

Celem konkursu jest zgromadzenie prac, które byłyby literackim widzeniem życia i przemian zachodzących w regionie bełchatowskim, a także wyłonienie talentów literackich, które w naszym przekonaniu istnieją wśród mieszkańców Bełchatowa i okolic.

Idee konkursu kierujemy do wszystkich, którzy z ziemią bełchatowską i jej sprawami związani są pracą, sercem i myślami. Pragniemy uzyskać literacką odpowiedź na pytanie — czym jest dla Was miasto, w którym przyszło Wam żyć i pracować, i jak między innymi odbieracie różnice między Bełchatowem wczoraj i dziś, jaka jest Wasza literacka wizja Bełchatowa przyszłości.

Warunkiem udziału w konkursie jest nadesłanie nie publikowanych i nie nagradzanych dotąd prac pod adresem: **MIEJSKI OŚRODEK KULTURY W BEŁCHATOWIE, pl. Narutowicza 1 97-400 BEŁCHATÓW.**

Każdy uczestnik konkursu w dziale: prozy (nowela, opowiadanie), poezji i piosenki winien nadesłać pracę w 3 egzemplarzach maszynopisu opatrzoną godłem. Zaklejona koperta opatrzona tym samym godłem co praca z zaznaczonym działem winna zawierać wewnątrz imię i nazwisko autora oraz dokładny adres.

Jury przyzna następujące nagrody w poszczególnych działach:
I nagroda — 8 tys. złotych
II nagroda — 5 tys. złotych
III nagroda — 3 tys. złotych.
Ponadto przewidziane są 3 wyróżnienia.

Uwaga: w przypadku piosenki (tekst plus nuty) można zgłaszać prace zbiorowe. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo pierwszeństwa publikacji nagrodzonych lub wyróżnionych prac. Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród oraz możliwość niewykorzystania pełnej ich sumy.

Termin nadsyłania prac upływa z dniem 31.09.1987 roku, a rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w październiku 1987 roku.

Człowiek powstał w procesie ewolucji. Mamy zwierzęcych przodków. Nie zaprzecza temu już nawet Kościół rzymskokatolicki. Ale wciąż trwają poszukiwania brakujących ogniw. Według nowej teorii homo sapiens jest potomkiem czarnej kobiety.

Czy Ewa była Murzynką?

Wszyscy zgadzają się co do początków. U zarania dziejów, to znaczy przed 3,5 miliardem lat, życie istniało jedynie w głębi oceanów w postaci granatowego glonu. Mógł glon ten pozostać tam nie naruszony. Ale materiał genetyczny, utrzymujący wszelkie formy życia, jest niestały. Przypadkowo czy z konieczności, może wskutek zmiany klimatu, a może dlatego że zmieniają się warunki istnienia, DNA przeobraża się, zmienia i w wyniku tego powołuje czasem do życia nowe żyjące kształty. Przez tysiąclecia przeróbka tych długich cząsteczek pociągała za sobą pojawianie się coraz bardziej złożonych gatunków. Pod koniec ery kambryjskiej, to znaczy przed 500 milionami lat, zaczęły się pluskać w wodach mórz globu ryby, później płazy i gady objęły planetę w posiadanie. Przodkowie ssaków rozprzestrzenili się na łąkach i w lasach w formacji triasu, nieco mniej niż 200 milionów lat przed naszą erą. Wreszcie naczelne, od których pochodzimy, pojawiły się w okresie paleogenu, 70—75 milionów lat temu. Znacznie później potomstwo się podzieliło i jedna z jego gałęzi zapoczątkowała australopiteka, i od niego wyszła rasa ludzka. Rośnie spór na temat sposobu ewolucji i dat wielkich etapów pojawienia się ludzi.

Jeszcze kilka lat temu tradycyjni paleontologowie, ci którzy uganiają się za skamielinami i badają szkielety, twardo utrzymywali, że pierwszym hominoidą, naszym najodleglejszym przodkiem był ramapitek, rodzaj głupiej małpy, która pojawiła się na naszej planecie przed 15—10 milionami lat.

I oto prace laureata Nagrody Nobla Linusa Paulinga i uczonego francuskiego Emila Zunckerkandla — obydwaj biochemicy z zawodu — zakwestionowały wszystko. W latach sześćdziesiątych ci dwaj uczeni zajęli się składem insuliny wytwarzanej przez wiele ras ssaków, a zwłaszcza świni, owcy i krowy. Uważano ją wówczas za identyczną. A to błąd. Te trzy proteiny nie były wcale podobne. Niektóre paciorki — aminokwasy — tworzące je były przestawione. Różnice były tym większe, im dłuższe były okresy, jakie minęły od podziału gatunków. Pauling i Zunckerkandl

ODKRYLI ISTNIENIE ZEGARA MOLEKULARNEGO,

prawdziwą maszynę wstęczną pozwalającą odtworzyć bieg ewolucji. Pozwoliło to powiązać rozpiętości biochemiczne między gatunkami i epoką, w jakiej nastąpiło zróżnicowanie.

„*Te prace* — wyjaśnia prof. Allan Wilson — *zostały przyjęte lodowato przez paleontologów*". Odrzuciły je najwyższe autorytety z tej dziedziny. Dwaj uczeni zniechęceni tym nie robili nic więcej. „*Muszę przyznać* — mówi dalej prof. Wilson — *że sam byłem sceptyczny*". Ale, dotknięty do żywego postanowił przyjrzeć się temu z bliska. Przy pomocy Vincenta Sarricha — jednego z członków swojej ekipy w Berkeley zaczyna badać niektóre proteiny — zwłaszcza albuminy — tysięcy zwierząt. I potwierdza prace Linusa Paulinga. Im gatunki są bliższe tym proteiny są podobniejsze. Na przykład: zebra i koń mają bardzo podobne proteiny; rozstały się one 3 miliony lat temu, bagatela w skali paleontologów. Hemoglobina człowieka i konia różni się 18 aminokwasami. A zróżnicowali się około 70 milionów lat temu. Między koniem i salamandrą paciorki naszyjnika aminokwasów różnią się 64 punktami, a dzieli ich 350 milionów lat.

Podczas pracy biochemicy odkryli nie podejrzewane dotychczas związki między gatunkami, które uważano za bardzo od siebie oddalone: manat, ten ssak morski, który dał początek mitowi o syrenie, był kuzynem słonia.

Uzbrojeni w narzędzie biologiczne ci zegarmistrzowie nowego gatunku przedsięwzięli liczenie wstecz godzin ewolucji zupełnie młodego gatunku: naszego. Przy pomocy Mary Claire King, specjalistki od genetyki ludów, Allan Wilson porównał

PROTEINY CZŁOWIEKA I SZYMPANSA.

Wynik: były podobne w 99 proc. Ta małpa była z pewnością znacznie bliższa nam niż podejrzewano. A co powiedział molekularny zegarmistrz? Że wraz z gorylem oddzieliła się ona od potomstwa człowieka 5 do 7 milionów lat temu. Ale na pewno nie wcześniej. Co się zaś tyczy orangutana opuścił on wspólną gałąź w okresie znacznie wcześniejszym, przed 10 milionami lat. Bojowe poruszenie wśród paleontologów. Przecież to znaczy, że są kwestionowane wszelkie obliczenia szacunkowe. Gorączkowo podejmują oni obliczenia, sprawdzają swoje skamieliny, badają różnice morfologiczne. Tak, przyznają na początku lat osiemdziesiątych, popełniliśmy błędy: ramapitek nie jest przodkiem człowieka, ale dziadkiem orangutana.

W Paryżu w Instytucie Curie, Bernard Dutrillaux i Jean de Grouchy, dyrektor naukowy w Inserm, doszli do tego samego rezultatu badając nie proteiny — ale całokształt chromosomów (kariotypy) dwóch gatunków szympansa, człowieka, goryla i orangutana. Odkryli z zaskoczeniem, że ten ostatni nie miał pięciu przeróbek chromosomowych obecnych u poprzedniej czwórki. To dowód, że rozstał się z linią wspólną znacznie wcześniej niż oni. Tym uczonym również nie uwierzono. „Z grubsza mówiąc — wyjaśnia Bernard Dutrillaux — *można uważać, że przeróbka chromosomatyczna występuje co 1 do 2 milionów lat. Gałąź, która prowadzi do człowieka liczy cztery, jest to zatem zgodne z ocenami biochemików*".

„*Mogliśmy* — komentuje Jean de Grouchy w książce „ O narodzinach gatunków" — *odtworzyć drzewo ewolucji każdego chromosomu i stopniowo pełny kariotyp przodka człowieka i trzech wielkich małp. Urzekająca jest myśl, że względnie dobrze znamy chromosomy tego przodka, który żył wiele milionów lat temu, podczas gdy tak mało wiemy o jego prawdziwej nazwie, o jego wyglądzie czy miejscu, w którym żył*".

Prof. Wilson ubolewa nad tym jak długo musiał przekonywać paleontologów: „*Po prostu nie godzili się przyznać, że jesteśmy tak bliskimi krewnymi tych zwierząt*".

W ciągu ostatnich lat biologia molekularna poczyniła niezwykłe postępy. Dziś potrafi dotrzeć bezpośrednio do genów. Niektóre z nich są wręcz bardzo łatwe do zbadania. Dotyczy to na przykład dziedzictwa genetycznego mitochondrii, tych mikroskopijnych organelli krążących wokół jądra naszych komórek i dostarczających im energii. Ich DNA ma skromne rozmiary. Zna się ją bardzo dobrze u człowieka, jak i u jego sąsiadów; szympansa, goryla i orangutana. Oto idealne narzędzie do bezpośredniego mierzenia różnicy genetycznej między tymi czterema gatunkami. To właśnie zrobił głośny Allan Wilson. I, o dziwo, odkrył, że gałąź, która prowadziła do człowieka musiała oderwać się od wspólnego konara, zanim goryl i szympans zróżnicowały się jakieś 3 miliony lat temu. Wynik jest nadzwyczajny: człowiek stawał się w pewnej mierze przodkiem niektórych małp. Dwunożność nie była zjawiskiem najnowszym w ewolucji hominidów. Te wnioski, mogące zbulwersować niejednego paleontologa, potwierdził prof. Templeton z uniwersytetu Waszyngtona w Missouri.

Mitochondrie — ludzkie tym razem — przekazują wyłącznie kobiety. Badanie ich nieustannie dziwi świat naukowy. Badając te małe fragmenty DNA, należące do komórek łożyskowych 147 kobiet różnego pochodzenia etnicznego, prof. Wilson — ciągle on — i jego sześciu uczniów odkryło, że

PRABABKA NAS WSZYSTKICH

przyszła na świat gdzieś w Afryce. Dlaczego? Dlatego, że mitochondrie Czarnych, Europejek, Azjatek, Aborygenek z Nowej Gwinei i Australii zawierały wszystkie geny, jakie znajdowano jedynie u Afrykanek. „Co więcej — wyjaśnia Allan Wilson — *wiemy, że stopa zmiany DNA wynosi 2 do 4 proc. na milion lat. Było nam zatem łatwo cofnąć się w czasie i obliczyć datę, w której wszystkie warianty mitochondrii zlewały się w jedno, należały do jedynej kobiety, która poczęła ludzką rasę*".

Jeszcze raz Allan Wilson rzucił ogromny kamień w sadzawkę antropologów. Jego teoria przeciwstawia się najpowszechniej przyjmowanej tezie: różnorodne grupy etniczne powstały od gałęzi oddzielonej Homo erectus i skolonizowały przed ponad 500 000 lat Chiny, Europę i Australię. Ten podgatunek, do którego należał człowiek pekiński, wykopalisko liczące 500 000 lat i jego dwaj kuzynowie, ludzie z Jawy i Petralony, powoli zanikał, aby zrobić miejsce nowej rasie Homo sapiens, przybyłej z Afryki, gotowej podbić świat.

Nieustannie powodując zamieszanie w innej dyscyplinie naukowej Allan Wilson nie zdobywał sobie przyjaciół. I wie o tym. „*Ale* — zauważa ze złośliwym uśmiechem — *paleontolodzy tyle razy udowodnili, że mylili się. Nigdy nie wiedzą na jakim drzewie filogenetycznym umieścić swoje skamieliny. Kości nie wychodzą z ziemi z imieniem gatunku wypisanym wyraźnie*".

Nawet wśród biologów, jego kolegów, zegar molekularny jest zdecydowanie kontestowany. „*Uważam* — wyjaśnia prof. Louis Thaler, dyrektor Instytutu Nauk Ewolucji w Montpelier — *że różnorodne linie nie zmieniają się z taką samą szybkością. Na przykład gryzonie rozwijają się dziesięciokrotnie szybciej niż ptaki czy naczelne*". Jednakże uczony o światowej sławie, Motoo Kimura, prezes działu genetyki ludów w Narodowym Instytucie Genetycznym Japonii, nieugięcie popiera istnienie zegara molekularnego. Jego zdaniem, większość mutacji jest neutralna. Nie mają one następstw z punktu widzenia ewolucji. Występują one przypadkowo i nie są ani złe, ani dobre. Grosso modo ich stopa jest stała. Nigdy z góry nie wiadomo jaki gen będzie podlegał mutacji. Ale w pewnym okresie można ocenić liczbę tych genów, które się zmieniają. DNA miałby się zatem przeobrażać jak ciało radioaktywne, w którym atomy dezintegrują się przypadkowo, ale w stałym tempie.

Dziś Allan Wilson, straszne dziecko biologii molekularnej, popada w recydywę z dwiema jeszcze bardziej bluźnierczymi teoriami. Twierdzi on z jednej strony, że jego maszyna powrotu w czasie biologicznym jest uniwersalna. Stopa mutacji jest stała nie tylko u zwierząt, ale także u bakterii i roślin. Z drugiej strony potwierdza, że ewolucja wynika rzekomo nie tylko ze zmian warunków klimatycznych i geologicznych, ale również pod wpływem mózgu. Karol Darwin przewraca się chyba w grobie! On, który twierdził, że w nieustannie zmieniającym się środowisku, jedne gatunki mają przewagę nad innymi zgodnie z mutacjami przydającymi im pewną wyższość. Nie kontestując całkowicie ważności schematu, Allan Wilson sądzi, że rozmiary mózgu odgrywają decydującą rolę. „*Ptaki* — powiedział on przedstawicielowi L'EXPRESS — *i ssaki, a zwłaszcza naczelne, mają mózgowie duże w stosunku do swoich rozmiarów. Mają zdolność naśladowania i odkrywania. W chwili gdy tylko jakaś innowacja pojawia się w głowie jednego członka gatunku, rozszerza się ona bardzo szybko wśród okazów tego samego pochodzenia i wchodzi w obyczaje. Od tej chwili dziedzictwo genetyczne jednostki zostaje poddane sile przyzwyczajenia i w konsekwencji przeobraża się. Oto przykład* — kontynuuje Wilson: — *jedną z najważniejszych innowacji było ongiś oswojenie zwierząt, zwłaszcza krów i kóz, co pozwoliło dorosłym pić mleko. Tam, gdzie zajmowano się hodowlą, ponad 90 proc. jednostek ma gen, dzięki któremu może przyswajać laktozę. Gdzie indziej ten gen nie istnieje. Trzeba było co najmniej 5 000 lat, aby dziedzictwo genetyczne zmieniło się*". Gatunki niższe, wyposażone w mały mózg, jak żaby czy płazy, nie mają tej możliwości nowatorstwa i naśladownictwa. Pozostają prymitywne. Ale w danej chwili u ludzi rytm innowacji kulturalnych stał się taki szybki, że nie mają one czasu wpisać się w dziedzictwo genetyczne. „Dziś — zapewnia Wilson — *właśnie taka jest nasza sytuacja*". (...)

Ten cały rozgardiasz nie nastąpiłby być może, gdyby para paleontologów angielskich przebywających w Kenii, Louis i Mary Leakey, nie odkopali w 1959 r. czaszki jednej z tych tropikalnych i afrykańskich istot, hominidów, jeszcze nie ludzi, już stojących, ale jeszcze wegetarian.

OCHRZCILI JĄ ZINGANTROPUS

i w tej epoce, kiedy drzewa genealogiczne były proste, aby nie powiedzieć wręcz prostackie, uznano ją za przodka człowieka w linii prostej (i twórcę kamieni gładzonych z doliny Olduvai). Zajadli, jak postacie z powieści Agathy Christie Leakeyowie, osiągnęli to, że w 1961 próbowano ustalić wiek czaszki metodą potas-argon. Odpowiedź: 1 750 000 lat. W owej chwili sądzono, że odkryto kolebkę ludzkości. Nawet jeżeli „Zin", jak go nazwano, został ostatecznie ulokowany wśród australopiteków i co więcej w wygasłej gałęzi Bolsei, te stare oryginały Leakeyów, kontestowane przez uczonych amerykańskich, pogardzane przez Europejczyków, urzekają ciągle w National Geographic Society. Pieniądze i młodzi akolici napływają do Olduvai, gdzie w 1980 r. znaleziono bardzo piękną całość Homo habilis.

W dwa lata później zaczyna się „bone rush", wyścig za szkieletami. Uniwersytety europejskie, Ameryki Północnej i Japonii wysyłają najlepszych uczonych do tej afrykańskiej rozpadliny tak bogatej w wykopaliska. W olbrzymiej rozpadlinie przecinającej wschód kontynentu widać jak cudownie pojawia się historia ludzkości w warstwach mineralnych nałożonych na siebie jak talerze. Wystarczy odsłonić warstwę, aby odczytywać ewolucję, jak książkę. Od Etiopii do Tanzanii zwozi się tysiące kości i krzemienia, szkiców i fotografii. Szczęki, kości udowe, zęby, narzędzia gromadzą się w laboratoriach i nie ma nawet czasu na ich analizowanie.

30 listopada 1974 r. Donald Johanson, młody pucołowaty paleoatropolog z Muzeum Historii Naturalnej w Cleveland odkrywa w głębi Etiopii najkompletniejszy szkielet jaki kiedykolwiek znaleziono, małej pani, zaledwie metrowej wysokości, która utonęła, kiedy jezioro pokryło równinę 3,5 miliona lat temu. Chodziła wyprostowana, jak człowiek, chociaż jej mózg był za mały, aby mogła być człowiekiem. Ochrzczono ją Lucy od piosenki Beatlesów. Ale gdzie ją ustawić? W swojej książce Donald Johanson przytacza rozmowę ze swoim kolegą Tomem Whitem: „*Razem z dwoma „stopo" znalezionymi w Afryce południowej, dwoma w Afryce wschodniej i teraz dwoma w Etiopii, mamy sześć różnych typów hominidów. Straszliwa kłótnia w perspektywie*". (...)

Ten rozkiełznany wyścig do „*missing link*" trwa od stulecia. Wprawia w drżenie paleontologów; którzy nawet pod koniec lat siedemdziesiątych wcale nie chcieli słuchać tego, co mają im do powiedzenia genetycy. Poszukiwanie istoty pośredniej między człowiekiem i małpą stało się prawdziwym poszukiwaniem Graala. Każda cząstka odkopanego szkieletu powodowała budzenie się nadziei, szybko zawiedzionej po analizie anatomicznej. Jedni po drugich kandydaci do jakże upragnionego tytułu przodka człowieka byli odrzucani: Prokonsul, keniapiteki, ramapiteki i siwapiteki, tak jak rudapiteki i driopiteki. Żadne z naczelnych nie zostało ostatecznie zaakceptowane. Dwie wielkie „rozbieżności" urzekają antropologów: ta która wyznacza oddzielenie naczelnych od człekokształtnych przed 15 milionami lat i ta, w której gatunek Homo rozstał się z człekokształtnymi.

To ostatnie wydarzenie ma znaczenie kapitalne. Wystąpiło ono chyba — według ostatnich obliczeń — między 8 a 4 milionami lat temu. I pech, poza jakimś zębem, szczęką, niepewnym kawałkiem piszczela, prawie żadna kość z tego okresu nie została ekshumowana. To tak jakby ten nieuchwytny bękart kpił sobie z ludzi. Skamieliny są rozproszone w czasie i w przestrzeni. I nigdy nie znajduje się tych samych kawałków. Jak porównać połowę kości udowej z zębem innej skamieliny? Wyścig za brakującym ogniwem jest zboczeniem. Tak uważa Andre Langaney, profesor uniwersytetu genewskiego: „*Niedawne odkrycia i zakwestionowanie klasycznego datowania nie rozjaśniły naszego pochodzenia, przeciwnie, pomnożyły inne możliwe drogi ludzkiej genealogii*". (...)

Na szczęście dla paleoantropologów jest coś innego do odkrycia w ewolucji człowieka niż data jego urodzenia. Obok kości i kamieni na terenie odkrytym przez archeologów miliardy skamieniałych ziaren wskazują, warstwa po warstwie, wegetację i klimat. Otóż 2 i 3 miliony lat temu

STREFA ROZPADLINY AFRYKAŃSKIEJ

przeżyła rewolucję geologiczną i klimatyczną. W jednej i drugiej stronie rozpadliny zróżnicował się krajobraz. Na zachodzie las pozostał tropikalny, gęsty; na wschodzie drzewa ustąpiły miejsca trawom sawanny. Hominidzi musieli się do tego przystosować albo zniknąć.

Dla Toma White'a a po nim dla Yves Coppensa, gatunek Homo powstał z tej zmiany środowiska. Aby uciec przed zwierzętami z rodziny kotów, których się wystrzega wśród zarośli, ta nowa istota musi wstać, obserwować, zastanawiać się; musi się zgrupować, dzielić pożywienie, strzec potomstwa. Poczynając od okresu sprzed 2 milionów lat znamy dokładnie jej anatomię. Strefy ciemieniowe i skroniowe mózgowia rozwinęły się, tak jak półkule opony twardej tych samych stref, podstawa czaszki przekształca się tak jak zewnętrzne oblicze i szczęka: jest już gotowa mechanika służąca do mówienia.

Nowoczesny człowiek — zdaniem Yvesa Coppensa — istnieje bez najmniejszej wątpliwości: ostatecznie dwunożny i wszystkożerny, oportunista i świadomy. Otóż w złożach geologicznych, gdzie zatrzymał się Homo habilis, na tysiące kopalnych kości, nie ma ani szczątka zęba wielkiej małpy afrykańskiej. A zatem środowisko odegrało rolę selekcji między dwoma gatunkami hominidów: gałąź człekokształtnych (szympans i goryl) pozostała wśród wysokich drzew. Człowiek urodził się wśród wysokich i suchych traw. Prowadzi życie społeczne, produkuje narzędzia i mówi.

Od tej chwili gatunek ludzki jest wyraźnie zróżnicowany od innych i zacznie podbijać świat. Jakimi drogami, jaką wędrówką, na jakich etapach i z jakimi związkami podgatunków? Biologowie nie mają zbyt wiele do wniesienia do tej dziedziny, gdzie paleoantropologia ma jeszcze wiele do zrobienia. Homo habilis w oddzielnych kawałkach mniej lub bardziej kompletnych znajduje się na całym terytorium Starego Świata. Około 1 500 000 lat temu pojawia się jego następca, inny człowiek jeszcze zwinniejszy i lepiej zorganizowany, który potrafi wzniecać ogień i sporządzać narzędzia: Homo erectus. Zdaniem niektórych ekspertów rozwinął się on na miejscu. Na Jawie, w Solo, w Indonezji, w Hukutien i w Lan Tan w Chinach, czy w Tautavel we Francji, ma on już wygląd lokalny. Wreszcie, między 300 000 a 100 000 lat temu zaczyna się istnienie Homo sapiens. Jego narodziny są jeszcze mniej pewne niż jego poprzednika. Ale bardziej niż ten ostatni Sapiens sapiens, jest prawdziwym nowoczesnym człowiekiem, jak wolą go nazywać paleontolodzy.

Jeżeli wyszedł z Afryki z naszą twarzą i gładzonym krzemieniem, wówczas Allan Wilson ma rację. Nowe skamieliny powinny dać świadectwo tego.

(„L'EXPRESS")

Zakłócam rytm i robię coś, czego słuchacz się nie spodziewa, ale co będzie długo pamiętał.

Nie bać się inności

Rozmowa z WOJCIECHEM MANNEM.

Ma pan 39 lat. Czy nie jest to wiek, kiedy należałoby się przestać zajmować muzyką młodzieżową?

— „Rolling Stones!" mają średnią wieku bliską pięćdziesiątki. Więc dlaczego ja miałbym przestać, jeśli oni nadal działają?

— Pańskie pokolenie — to „The Beatles". Skąd więc zainteresowanie „metalowymi torturami"?

— Na to pytanie mam stałe wytłumaczenie, bo już kilka osób mnie o to pytało. Był taki okres w radiu, w latach siedemdziesiątych, kiedy ówczesne kierownictwo „trójki" — a przypuszczam że i całego radia — skreśliło muzykę punk. Po prostu — ona nie istniała na antenie, choć cieszyła się dużym zainteresowaniem. Wcale nie będąc jakimś szalonym miłośnikiem tego stylu, trochę się przeciw temu buntowałem, ale nie miałem wpływu na pewne decyzje. Zrobiłem nawet kilka audycji, choć nie aż tyle, ile by się chciało. A teraz, gdy muzyka ta jest popularna w pewnych kręgach, uznałem, że powinna mieć swe miejsce na antenie. Choć — nie ukrywam — prezentuję ją bardziej z obowiązku niż z miłości. Notabene w audycji, którą robię z Romkiem Rogowieckim, wielokrotnie — ku zgorszeniu jej odbiorców — podkreślam swoją sympatię do wcześniejszych jej form, np. do hard rocka.

— Wracając do „Beatlesów", czy widział pan „Yesterday"?

— Tak.

— Czy znalazł pan w nim siebie?

— Nigdy nie grałem, więc pełnej analogii być nie mogło...

— Dlaczego zatem konsultantem tego filmu był Piotr Metz, a nie pan — specjalista od Beatlesów?

— Wydaje mi się, że to właśnie Piotr Metz ma znacznie więcej wiadomości o „Beatlesach" niż ja. On jest po prostu chodzącą encyklopedią. Ale prawda jest taka, że reżyser „Yesterday" zwrócił się do mnie, ale z tradycyjnym brakiem czasu, skierowałem go do Piotrka Metza.

— Jeździ pan po kraju z programem zatytułowanym „BeatlesoMANNia". Czy ludzie przychodzą nań dla pana, czy dla legendy?

— Nie chciałbym tu wpadać w megalomanię... Oczywiście, dla osób, które interesują się radiem, czy w ogóle tą sferą rozrywki, do pewnego stopnia może być atrakcyjne spotkanie z prezenterem, który gęga przez radio czy pokazuje się w telewizji — jest to chyba naturalny odruch. A jeśli chodzi o temat... Gdy ktoś proponuje mi publiczne spotkanie poświęcone muzyce, z prezentacja filmów wideo czy płyt, to z tematów, które mogę zaproponować, najczęściej wybierany jest właśnie temat beatlesowski. Nie jest on może supermodny, ale za to uniwersalny i w związku z tym funkcjonuje.

— Czy należy zatem rozumieć, że moda na „Beatlesów" nadal istnieje?

— To już nie jest moda. Moda — owszem, pojawiła się kilka lat temu, gdy młodzi ludzie odkrywali „Beatlesów" ponownie. Miało to swe odzwierciedlenie w radiu i telewizji — i to nie tylko w Polsce. Teraz należałoby to rozpatrywać w tych samych kategoriach, jak fenomen Presleya czy swingu — jest to tylko kwestia przypominania.

— Czy owa moda była związana ze śmiercią Lennona?

— To paradoksalne, ale śmierć Lennona podbiła jego wartość i wartość samych „Beatlesów". Zaszokowała wiele osób... Nawet jeśli ktoś robi coś niezbyt interesująco (choć Lennon robił ciekawe rzeczy) — ale gdyby ktoś zamordował (odpukać!!!) Harrisona czy Ringo Stara — to moda też by wróciła. To jest znana zasada show businessu, że śmierć jest najlepszym chwytem reklamowym.

— Wspomniał pan o popularności. Kaczkowski zdecydowanie unika telewizji, podobnie Niedźwiecki. Pan natomiast nie. Czy odczuwa pan swą popularność?

— Niestety, odczuwam. Skoro jestem osobą rozpoznawalną... Szkoda tylko, że nie w sklepie mięsnym... Staram się jednak unikać „małpiarstwa" — czyli załatwiania spraw „na twarz", bo po prostu tego nie lubię. Oczywiście cieszą mnie i sprawiają przyjemność dowody sympatii. Z niechęcią czy wręcz agresją spotykam się także. No bo, jeśli wchodzi do pomieszczenia pijany facet i koniecznie chce z kimś zadrzeć, to kieruje swą uwagę na kogoś, kogo rozpoznał. Bilans wychodzi mi jednak raczej in plus.

— Czy to pana męczy?

— Oj tak i to bardzo. Tragedia jest z takimi typowymi próbami zajęcia mojego czasu, którego niestety nie mam za wiele. Są to prośby, abym coś załatwił, przysłał tekst, zdjęcia. Z żalem muszę odmawiać. Z reguły staram się nie odpisywać na listy (choć wszystkie je czytam), bo to jest po prostu niebezpieczne. Taka osoba, której odpiszę, czuje się wtedy jak gdyby upoważniona do prowadzenia dalszej korespondencji i trudno jest to zerwać. A jako człowiek dobrego serca, nie lubię zbyt drastycznych posunięć — dlatego też na wszelki wypadek nie rozpoczynam korespondencji.

— Czy pan lubi dzieci?

— Lubię dzieci. Chodzi panu oczywiście o telewizyjny program 5 — 10 — 15?

— Tak. Jak się panu z nimi pracuje?

— Wbrew pozorom, wcale nie mam z nimi dużego kontaktu, bo mówię do nich spoza ekranu. Poza tym nie jestem autorem programu — odpowiadam tylko — i to tylko częściowo — za to, co mówię. Jest to program Bożeny Walter i Anny Krajewskiej i to one przygotowują scenariusze — a ja jestem tylko „wypełniaczem", takim „deus ex machina" — „Głosem". Czasem dodaję od siebie coś — i to cała moja twórczość w tym programie.

— Jak określiłby pan swoje poczucie humoru?

— Ja zawsze unikam etykietek. Ten rodzaj humoru nie jest więc ani humorem angielskim, ani humorem czarnym, tylko po prostu moim. Ja naprawdę nie zapożyczyłem go od nikogo i cieszę się, jeśli jest akceptowany.

— Jest on jednak na tyle specyficzny, że nie do wszystkich dociera.

— Wiem o tym. Ale mam wewnątrz jakąś aparaturę, która bez przerwy namawia mnie do łamania różnych konwencji. Strasznie ich nie lubię, bo wydaje mi się, że — szczególnie w mojej pracy — można stracić ze słuchaczem kontakt. Jeśli przeczytam po raz któryś tego samego dnia informację dotyczącą pogody, to będę jeszcze jednym głosem, który odklepał to, co jest napisane. A jeśli zakłócę ten rytm i zrobię coś takiego, czego się słuchacz nie spodziewa, to wtedy on zapamięta, że w tej audycji coś się wydarzyło. Nie jest to kalkulacja z mojej strony; to jest odruchowe, bo przecież cały czas jestem sobą. I cieszę się, że nie jestem jeszcze jednym bezimiennym spikerem.

— Czy pańskie poczucie humoru jest tylko na potrzeby radia czy także na co dzień?

— To musieliby ocenić moi znajomi. Ale staram się być w pracy najbliższy takiemu, jakim jestem naprawdę. Jedyną istotną różnica jest to, że w radiu staram się wyraźniej mówić.

— Jakie były reakcje na kabaret robiony z Krzysztofem Materną?

— Mieliśmy tam fantastyczne alibi w postaci tematu, jakim był język polski. I nawet, jeśli teatr tam był marny, to temat uświęcał to wszystko. Po pierwszych recenzjach, takich — powiedzmy sobie — z dystansem, ci, którzy oglądali ten program w całości, chyba przyzwyczaili się, choć cierpiał on — moim zdaniem — na brak tempa, chwilami był za bardzo celebrowany. Nasze mówienie było za spokojne i jeśli ktoś przywykł do teledyskowego tempa, to musiało go to zdenerwować. Ale z drugiej strony, ktoś kto chciał przy tym odpocząć, usiąść i zaprogramować sobie te 25 minut na oglądanie, to chyba mógł być zadowolony, że nie było to takie pędzące, takie szybkie. Bo były tam głównie żarty słowne, które w telewizji — przemawiającej przede wszystkim obrazem — mogły być nie na miejscu.

— Gdzie woli pan pracować, w radiu czy w telewizji?

— W radiu oczywiście.

— Ale zdradził je pan dla telewizji...

— Radio było dla mnie bazą i podstawą. A telewizja... Mnie na manowce bardzo często prowadzi ciekawość, bo strasznie chcę sprawdzić rzeczy, których jeszcze nie poznałem. Stąd wzięła się także moja obecność na „Miss Polonia", stąd bierze się moja obecność w różnych innych, dziwnych miejscach. Telewizja także zaczęła się w taki sposób. Potem przez kilka lat tam pracowałem i siłą faktu była mi ona bliższa.

— Radio, telewizja, koncerty, spotkania ze słuchaczami w tzw. terenie... Czy ma pan jeszcze czas dla siebie?

— Ja to lubię. Ale tak naprawdę, to przez tak długi okres pracy wymyśliłem sobie dość precyzyjny system na ochronienie swojego czasu i zawsze udaje mi się go trochę wygospodarować. Są to zabiegi, które dla słuchaczy nie są wcale zauważalne, bo np. fakt, że większość audycji robiona jest na żywo, pozwala mi na większą swobodę. Odpada cały uciążliwy proces przygotowywania, nagrywania, opisywania — całej tej buchalterii audycji — po prostu przychodzę i robię program. W ten sposób oszczędzam na czasie.

— Co na chroniczny brak czasu mówią przyjaciele i rodzina?

— Często są zdenerwowani, że w najmniej spodziewanych momentach znikam, ale wydaje mi się, że tak już musi być. Nie potrafiłbym pracować w normalnym systemie od siódmej do trzeciej. Kiedyś byłem w takiej pracy. Pracowałem półtora dnia. Wyszedłem coś załatwić i już nie wróciłem. A na Myśliwieckiej mam biurko, przy którym jeszcze nie siedziałem i chyba siedzieć nie będę.

— ???

— Po co? To przecież nie ma sensu. Na szczęście nie jestem urzędnikiem — niczego oczywiście urzędnikom nie ujmując. Moje usposobienie nie pozwala mi na wykonywanie takiej pracy, bo czuję się w niej źle. I moim największym szczęściem jest to, że znalazłem pracę, w której się dobrze czuję. A jeśli np. wypadnie mi nagranie o północy, to też wcale nie narzekam; mnie to nie przeszkadza.

— Z wykształcenia jest pan filologiem angielskim. Co sądzi pan o języku angielskim, którym zapowiada się tytuły piosenek lub nazwy zespołów?

— Moim zdaniem w Polsce istnieje kompletne lekceważenie języków obcych. Totalne zupełnie. Ludzie mają pozdawane jakieś egzaminy, jakieś papiery, a nie potrafią sklecić porządnie zdania. Mało tego, niekiedy nabiera to mocy urzędowej. Bo jeśli ktoś piętnaście razy powtórzy coś bez sensu, to wszyscy w to wierzą. Ja już nie jestem w stanie z tym walczyć. Ostatnio nawet powiedziałem na antenie o bełkocie, którym było tłumaczenie filmu „Casablanca". Jest to przykład, który mnie dosłownie zrzucił z fotela. Facet, który się nazywa Cienkowski i tłumaczy filmy chyba od początku świata, dopuszcza do tego — i to wydrukujcie dokładnie, niech będzie śladem jakiegoś normalnego myślenia — że spiker czyta: „Paryż, godzina dziewiętnasta czterdzieści jeden", choć w tym samym czasie Bogart mówi: „Paryż, rok 1941"! Przecież takich ludzi trzeba zlikwidować! W całym anglosaskim świecie nie mówi się przecież godzina dziewiętnasta, tylko siódma po południu! A takich absurdów, które później funkcjonują jako prawidłowość, jest mnóstwo!

— Jest pan doskonałym mawcą muzyki w ogóle. Czy istnieje taki jej gatunek, w którym czuje się pan szczególnie dobrze?

— Trochę cierpię na wszystkoizm, a co za tym idzie — dyletanctwo. Prawdziwy fan jakiegoś zespołu zawsze zagnie mnie na różnych sprawach. A tak naprawdę, to z uwagi na swój wiek, najlepiej czuję się w muzyce lat sześćdziesiątych. Reszta — to ciągłe douczanie się, ciągłe słuchanie muzyki, ciągłe jej zdobywanie. Jedno wiem, że nie uczę się na pamięć zbędnych rzeczy, bo od tego są książki i archiwum. Dlatego często spotykam się z zarzutem tego czy innego fana, że on zna wzrost gitarzysty basowego a ja nie.

— Jak dużą ma pan płytotekę?

— Nigdy nie liczyłem moich płyt, ale przypuszczam, że mam ich ponad tysiąc. Jest to straszny bałagan. Mam tam dosłownie wszystko: i jazz, i swing, i stary rock and roll, i coś modnego. No, może poza muzyką disco.

— A gdybym spytał o ulubionych wykonawców?

— To bardzo niechętnie bym na to pytanie odpowiedział. Bo tego jest dużo i zawsze zapominam o kimś. Sądzę, że mój gust pokrywa się z powszechnym odbiorem: „Dire Straits", Sting... Wszystko to bardzo lubię.

— W książce „Kto jest kim w Polsce" można wyczytać, że interesuje się pan literaturą s-f...

— To są stare dane. Po prostu, przestałem być na tym aż tak skoncentrowany. Wzięło się to stąd, że nie cierpię konwencji. Gdy ta literatura zrobiła się modna, to mnie przestało się chcieć tak bardzo tym zajmować. Pasjonowała mnie wtedy, gdy jeszcze nie była modna. I to do tego stopnia, że nawet napisałem na ten temat pracę magisterską. Wymyśliłem strasznie trudny tytuł, aby promotorzy nie wiedzieli o co chodzi...

— Jaki był tytuł tej pracy?

— „Elementy profetyczne we współczesnej dystopii amerykańskiej".

— Innym hobby są podróże...

— O tak, bardzo lubię podróżować. Jest cała masa miejsc, w których bardzo chciałbym być... Np. w Ameryce Południowej...

— Z uwagi na muzykę?

— Nie, tam w powietrzu jest coś... Tam się może dużo więcej zdarzyć niż gdzie indziej. Gdzie jeszcze... Chiny. Ale te mnie pociągają z uwagi na egzotykę... Każde miejsce, w którym nie byłem pociąga mnie. Ale najbardziej Ameryka Południowa.

— Wojciech Mann jest i w radiu, i w telewizji, i na Country w Mrągowie, i na Miss Polonia...

— Ta wielość miejsc, w jakich się pojawiam, wynika z tego, że generalnie rzecz biorąc, polski show business w dużej mierze oparty jest na amatorstwie. Ja też nie jestem zawodowcem. Jest więc sporo luzów i dlatego można spróbować różnych rzeczy, toteż próbuję. Jest to dla mnie prywatna zabawa i martwię się, jeśli z niej wynika niepowodzenie — bo i tak też się zdarza.

— Na ogół jednak to, co pan robi, przyjmowane jest raczej ciepło. Czy to ze względu na pańskie poczucie humoru?

— Nie wiem, może to właśnie mnie ratuje? Może to, że zawsze próbuję złamać to wszystko, co przeszkadza w kontakcie... I jeśli ktoś już mnie odbierze, zrozumie i złapie ze mną kontakt, to wtedy ma szansę powiedzieć, czy chce się ze mną kolegować, czy nie.

— Wydaje mi się, że u mnie takim momentem przełomowym był widok pana, ćwiczącego aerobic...

— Mam bezustannie potwierdzające się obserwacje, że Polacy są otoczeni barierą strachu, że stracą poważanie. To wszystko jest takie namaszczone, takie okropnie fałszywe, nadęte. I dlatego uporczywie nie dawałem się przebrać w garnitur, którego po prostu nie lubię. A jeśli nie lubię, to będę się w nim źle czuł. A jeśli będę się źle czuł, to nie będę sobą, nie będę swobodny. I ta szarzyzna... Dlaczego wszystko musi być uniformem? Nawet to, co nim nie jest? To, co było wymyślone przez młodzież jeść tam lat temu jako bunt — tzn. dżinsy, u nas w pewnym momencie stały się także uniformem. I facet do marynarki z krawatem założy dżinsy. Bo to już się nosi, bo to jest „modne", bo to jest bezpieczne. Jakakolwiek inność jest w Polsce jednoznaczna z negatywnym wytykaniem palcem. Ale bywa też tak, że to do kogoś dotrze. Gdybym miał się przejmować tym, że wyglądam „ponad miarę", albo że noszę okulary, bo słabo widzę — czyli jestem inwalida — to bym się po prostu zabił.

— Tacy ludzie jak Niedźwiecki, Pogranieczny, Gaszyński, Mann narzucają młodzieży styl muzyki...

— Narzucają? Ależ skądże! Często się kłócę z młodzieżą — jeśli mam z nią bezpośredni kontakt — bo spotykam się z zarzutem, że za bardzo siedzę w przeszłości. Ale mnie to odpowiada, bo uważam, że pewnego rodzaju kształtowanie gustów jest nieuniknione. Chciałbym, aby było tak, że jeśli ktoś lubi mój gust, to włącza radio wtedy, gdy ja prowadzę audycję. Jeśli lubi inny gust — to posłucha sobie czegoś innego. Jest to więc formowanie gustów tylko do pewnego stopnia. Gdybym miał swoją własną rozgłośnię radiową i prowadził program przez cały dzień, to można byłoby powiedzieć, że stacja WM kształtuje słuchaczy tak, jak chce. Ja to robię na znacznie mniejszą skalę.

— Czuje się pan dość dobrze w różnych, nawet dość od siebie odległych gatunkach muzyki, od country do hard rocka. Skąd ten ogromny rozrzut?

— Chyba stąd, że jestem taki, jaki jestem. Unikam odpowiedzi na pytanie, jaką muzykę najbardziej lubię. Jeśli mam ochotę posłuchać rano jazzu, a we wtorek, w środku dnia ostrego rocka, zaś w piątek po południu jeszcze czegoś innego, to wynika to stąd, że taki rodzaj muzyki w danym momencie lubię. I jeśli miałbym podsumować taki tydzień, to nie mogę jednoznacznie powiedzieć, że lubię np. zespół X, bo ja go lubiłem tylko dwie godziny w czwartek po południu. Oczywiście, wszystko odbywa się w pewnym zamkniętym kręgu muzyki.

— „Zapraszamy do trójki", to pewien fenomen w polskiej kulturze. Znam wiele domów, gdzie nic innego się nie słucha...

— Zacznijmy od tego, że nie cierpię wstawać rano, aby zdążyć na tę audycję do studia. Czuję się po prostu fatalnie, co niekiedy słychać na antenie. Widocznie jednak radio jest ważniejsze od moich upodobań, skoro tam docieram. A jeśli chodzi o „Trójkę"... Przez długie lata pracował cały zespół ludzi nad tym, aby ten program był taki, jaki jest. Wydaje mi się, że klimat tej audycji, uciekający od sztampy, został zaakceptowany przez ludzi, których chcielibyśmy mieć jako słuchaczy. Z drugiej strony mam jednak świadomość, że bardzo wielka grupa radiosłuchaczy nawet nie wie o istnieniu „Trójki". Włączają „Jedynkę" i to im wystarcza.

— Dlaczego zniknęły doskonałe skądinąd programy robione z Materną? Dlaczego zniknął „Magazyn Pana Manna"?

— „Magazyn Pana Manna" zniknął w chwili, gdy wszystko na moment zniknęło. Potem wszystko było już inaczej i nie było sensu tego odgrzewać. Natomiast to, co robiliśmy z Materną, po prostu musieliśmy przerwać, bo uznaliśmy, że telewizja nie wywiązała się z elementarnych zobowiązań wobec nas. Ten program tak naprawdę został dostrzeżony dopiero przy powtórnej emisji. Wtedy, gdy go robiliśmy, emitowany był w różnych godzinach, nieregularnie, był skracany, nie miał żadnej reklamy. Po prostu rzucono go w kąt i wyświetlano przy jakiejś okazji, ot, z braku laku. Nam to nie odpowiadało, bo ekipa realizacyjna włożyła weń zbyt dużo pracy. Wtedy, gdy pokazano go cyklicznie, było już półtora roku po jego realizacji...

— Był pan osobą, która przybliżyła polskim telewidzom historię muzyki. Czy nie warto byłoby pójść tym śladem?

— Było tyle kłopotów, aby doprowadzić do emisji... Nikogo to po prostu nie obchodzi. Polski telewidz podobno woli filmy o biednych niewolnicach zza oceanu lub o gustach kulinarnych australijskich krokodyli. W owych czasach pracowałem jeszcze w telewizji i miałem większą „siłę przebicia". Teraz jestem człowiekiem z zewnątrz i jest mi trudniej. Oczywiście bardzo chciałbym prezentować takie filmy, ale — umówmy się — że zmieniły się także i możliwości finansowe. Dziś każda redakcja bardziej liczy się z dewizami. Jeśli taka możliwość się otworzy, będę pierwszym, który się tym zajmie.

— Dziękuję za rozmowę i obiecuję wstać przed szóstą, aby usłyszeć: „Dla dorosłych i dla dzieci zaczynamy program trzeci".

Saxon

Foto: Grzegorz Gałasiński

Rozmawiał: WITOLD WERNER

■

Leonard: „Upiór" (3)

Akcja powieści „Upiór" rozgrywa się w przededniu inwazji aliantów we Francji. Rozgrywa się po obu stronach kanału La Manche wśród żołnierzy Wehrmachtu, wojsk alianckich i ludzi ruchu oporu. Akcja tej powieści toczy się też na Pomorzu Zachodnim, skąd pochodzi jeden z bohaterów. Mowa jest o tym w drugim fragmencie rozdziału: „Rodzinny dom"

(przedruk w całości lub fragmentach zastrzeżony)

Rodzinny dom

...Ze zgliszcz chat wynoszą poskręcane zwłoki kobiet i dzieci i układają je w sadzie obok ciał rozstrzelanych mężczyzn... Hauptmann Dammen żąda umundurowanego oficera, nie będzie się opowiadał przed cywilem. „To jest pogwałcenie zasad Konwencji Genewskiej! — wyje w twarz śmierdzącemu machorką Rosjaninowi. — Mieszkańcy chutoru współpracowali z bandami; zastosowana represja, z punktu widzenia prawa wojennego, jest usprawiedliwiona". „Ech, wasze prawo!..." — pluje mu w gębę zarośnięty Rosjanin. Nakazuje ustawić ich pod drzewem. Jeden obok drugiego. Całą wziętą do niewoli trójkę. Dammen zapiera się nogami. Krüger... dzielny Krüger, który wpakował w dziewczynę cały magazynek, przypomina sobie o swojej żonie i dzieciach... Błaganie o życie uderza w ścianę lasu, przewala się przez zgliszcza i tonie w nurcie bystrej Iwanowki. „Agoń!!!" — daje komendę brodaty Rosjanin...

Bor zbudził się zlany potem. Długo potrząsał głową, obmacywał pierś. Z łóżek rozlegało się posapywanie sióstr i nerwowe pochrapywanie matki. Palące pragnienie wysuszyło usta, przenikliwe zimno od pasa w dół sparaliżowało mu nogi; wciąż jeszcze nie mógł otrząsnąć się z makabrycznego snu. Bał się wstać, żeby nie zbudzić matki lub nie nadepnąć na śpiącego na podłodze brata, spragniony i zziębnięty przeleżał na przykrótkiej kanapie do rana.

Między oczodołami pustych okien wystawowych snuły się przeważnie kobiety w wytartych płaszczach, gdzieniegdzie widać było żołnierski szynel, wszędzie nie znane twarze — jego rodzinne miasto. Pod pomnikiem Kopernika, gdzie jako chłopak sprzedawał gazety, wylegitymował go pierwszy patrol żandarmerii, chwilę potem natknął się na drugi. Sprawdzający papiery żandarm zapytał, czy przypadkiem nie ma reumatyzmu. — Tak, reumatyzmu — powiedziałem! Salutujecie, jakby wam łapy w stawach zamarzły!

Profesor doktor von Kluge zalecił Borowi unikać wysiłku fizycznego działającego rozrywająco na klatkę piersiową(...)

Nie mając co robić Bor udał się tramwajem do fabryki.

— Mój ty, Jezu, chłopaku! — rozpoznał go z budki pod bramą stary stróż, Witalewski. — Toć żeś to ty, Jul? — Przyczłapał się do żelaznego ogrodzenia.

— Pan, jak zwykle, na posterunku — ucieszył się Bor. — Dzień dobry, panie Witalewski!

Stróż przytrzymał jego rękę.

— Jaki tam znowu dobry. Wieje nam, biedakom, ze wszystkich stron, a ty mówisz, że dobry. — Stróż pamiętał go od dziecka, kiedy jako chłopiec przynosił ojcu jedzenie i kiedy później wraz z jego wnukami zaczął pracować. Przyglądał mu się zafrasowany. — Jak ty wyglądasz!

Bor zbył to uśmiechem. Wszyscy patrzyli na niego jak na widmo, choć nie czuł się wcale tak źle. Przypomniał sobie o papierosach. Wyciągnął paczkę.

— Proszę, niech pan zapali. — Podsunął mu ją pod nos. — Niech pan ją sobie zatrzyma. Całą.

Witalewski wyciągnął nieśmiało rękę.

— Zawsześ taki sam — powiedział tkliwym głosem. — Poznałbym cię na końcu świata. Ciebie i twojego biednego ojca. — Zerknął na dźwigary nad rampą placową. — Oj, porobiło się z nami, porobiło... A czy ty wiesz, co oni z nami powyczyniali?

Z szyn dźwigara zwisało dwadzieścia pięć końcówek linki. Trzy dni temu, za wsypanie piasku do form na odlewy granatów powieszono dwudziestu pięciu robotników. Gestapowcy przyjechali z samego rana, wyprowadzili ich na plac i powiesili(...)

— Na postrach — objaśnił stróż. — Tylko się nie gap na nie, bo ktoś może nas podglądać.

— Tak, wiem — Bor skierował wzrok w głąb zakładów na stary, od dziecka znany mu widok.

Z hal produkcyjnych dochodziły uderzenia młotów hydraulicznych, zgrzyty pras; na rampach magazynów spieszono się z załadunkiem pocisków do artylerii ciężkiej. Dwa tysiące stalowych srebrzystych cygar — dzienny produkt fabryki. — wystarczy na niedługą salwę dla kilkunastu baterii dział. Potem na pobojowisko wyruszą czołgi, które zniszczone zostaną pociskami wyprodukowanymi w takiej samej fabryce przeciwnika, i wszystko wróci do stanu wyjściowego. Wojna. Pod Stalingradem wystrzeliwano dziennie sto tysięcy pocisków artyleryjskich wszystkich kalibrów. Pół roku później, pod Kurskiem, na dywizje niemieckie gotujące się do ataku spadło w ciągu godziny dwa razy więcej żelaza niżeli w całej rozprawie Niemiec z Francją i Anglią. Wojna nabrała rozpędu. Już przeszła moce produkcyjne fabryk. Już wymknęła się spod kontroli człowieka. Co przeciw niej znaczy dwadzieścia pięć końcówek lin?

Podmuch zimnego wiatru przeniknął Bora.

— Już muszę iść — powiedział. — Mam jeszcze dużo spraw do załatwienia, jak to na urlopie. A co z pańskimi wnukami? Z Maksem, Józkiem? Capnęli nas do wojska razem, pamięta pan?

Stróż rozdziawił usta.

— Z Józkiem, mówisz? A to nie wiesz, że Józek od wiosny gryzie piach? W Afryce. A Maks siedzi gdzieś w Belgii.

— Józek... To Maks żyje! — zawołał Bor. — Rozstaliśmy się w Hameln. Mnie posłali do Rosji, a on jakiś czas jeszcze tam został. W Belgii, mówi pan. Hm, udało mu się.

— A udało, udało — przytaknął obojętnie stróż. — Dopóki człowiek żyje, wszystko może się udać. Dopóki żyje...

Poczekalnia gabinetu Komisji Lekarskiej zuchnęła gnijącym mięsem i karbolem. Tętniła życiem jak szybkoobrotowa karuzela. Co chwila ktoś przybywał, ubywał, kogoś wywoływano i kazano przyjść w innym terminie. A na dodatek wymyślano od najgorszych. Wszyscy odpowiadali posłusznie „tak jest" i albo wchodzili do środka, albo kierowali się do drzwi wyjściowych, gdzie stał sanitariusz i zbyt opieszałym pomagał szybciej znaleźć się na ulicy. Środkiem poczekalni podążały siostry szpitalne. Nie rozglądały się po czekających, tylko dumnie sunęły do gabinetu. Siedzący na ławkach nie byli dla nich mężczyznami. Oni też nie widzieli w nich kobiet. Za ścianą zapadały decyzje o ich losie. Patrzyli tępo w wyświecone kafelki posadzki i myśleli. Każdy o sobie.

Wszystkie frontowe wyobrażenia Bora o mieście rodzinnym rozpadły się jak domek z kart.

Nie myślał o końcówkach lin; po przeżyciach w Rosji dwadzieścia pięć zwisających kawałków sznura nie mogło go przerazić. Nie mógł się skoncentrować. Myśli jego krążyły wokół faktów. Odbijały się od jednego i — jak skoczek po kamieniach wystających z wody — spadały na drugi. I tak po kolei. Matka poszła na pierwszą zmianę do szwalni, po pracy pobiegnie do Emmerichów dokończyć pranie; siostry pracują przy maszynach od siódmej rano do siódmej wieczorem, tak samo brat; Józek Witalewski poległ w Afryce. W Hameln Józek zapowiadał, że jeśli poślą go do Rosji, to już w drodze na front przygotuje się do grobu, jeśli natomiast dostanie przydział do feldmarszałka Rommla — będzie wygrany. Niedobrze jest myśleć naprzód. Trzy dni temu pożegnalną noc w szpitalu spędził z asystentką doktora von Kluge; cztery dni temu, patrząc na pamią doktor Sontag, nie przeszło mu przez głowę, że już następną noc przeleży z nią w łóżku; wczoraj nie myślał o Katarzynie ani o Irmgard. O Katarzynie nie będzie myślał nigdy więcej. Podczas pierwszego pobytu w jej domu pani Baraczewska wypytywała go o różne rzeczy. Chciała wiedzieć wszystko o jego rodzinie, z kim chodził do szkoły i do jakiej. Jak dobra matka, widząc rzeczy dalej niż jej dzieci, zainteresowała się również jego ojcem. Wynik tych dociekań nie musiał być dla niego korzystny, bo na zakończenie zapytała: „Wierzy pan w Boga?". Zamyślił się nad odpowiedzią, ale ta chwila milczenia wystarczyła. „Kto nie wierzy w Boga — oświadczyła z troską w głosie szlachetna pani Baraczewska — nie zasługuje na łaskę ocalenia. Wojny są biczem bożym na ludzi bez wiary, niech pan o tym pamięta, młody człowieku!"(...)

— Gefreiter Bor! — zawołano od drzwi gabinetu komisji lekarskiej.

Za długim stołem nakrytym czystym prześcieradłem siedziało czterech lekarzy oraz niemłoda kobieta w białym kitlu. Na wszystkich twarzach, z wyjątkiem kobiety, malowała się przeraźliwa nuda; spędzili przy tym stole bądź co bądź już cztery godziny.

Wygląd żołnierza zirytował przewodniczącego komisji. Człowiek ten, poświęcający się bez reszty niesieniu ulgi cierpiącym, zakipiał oburzeniem.

— Bezczelność! Stawać przed nami w pełnym umundurowaniu... — Pozostała trójka lekarzy solidarnie podzieliła jego zdanie. — Rozebrać się! — rozkazał jeden.

Sanitariusz pchnął Bora za parawan. Pomagając mu ściągnąć buty, zdzielił go szturchańcem. — Ja ci pokażę przyłazić do panów lekarzy jak do chlewu. Świnio cholerna!

Parawanem zatrzęsło. Nim ktokolwiek zorientował się, co było tego przyczyną, sanitariusz potrząsa głową jak ciężko trafiony bokser na ringu.

— Co wy tam?

Julian w biegu zrzucił skarpetki i stanął przed stołem.

— Gefreiter Bor melduje się do przeglądu lekarskiego.

— Na co wy sobie pozwalacie! Z łapami na członka służby sanitarnej! To jest...

— Przeszkadzano mi wykonać pański rozkaz.

— Przeszkadzano... — Obecność kobiety powstrzymała przewodniczącego komisji do użycia męskich słów. — Coś podobnego... A to! — wymierzył w kalesony Bora. — Myślicie, że pani doktor wam je zdejmie?

Bombardowania bombardowaniami, a niemiecka poczta pracuje jak za najlepszych czasów: pakiet zdjęć rentgenowskich, wysłany ze szpitala w Hameln, leżał już na stole i czekał na konfrontacje z oryginałem. Czarne płachty błony filmowej zaczęły wędrować z ręki do ręki.

— Proszę, proszę, kto by to pomyślał! — zdumiał się lekarz siedzący po prawej ręce przewodniczącego komisji.

Podał zdjęcie koledze, a sam zabrał się do czytania historii choroby. Nie zajęło mu to dużo czasu.

— Autentyczny przypadek powrotu z tamtego świata. Zdumiewające! — wykrzyknął. A potem ciszej do kolegi: — Proszę sobie wyobrazić coś podobnego: resztka pewnej kompanii w składzie dwóch grenadierów pancernych plus ich dowódca wpada w łapy partyzantów rosyjskich... Zostaje przez nich rozstrzelana... Normalnie, po prostu, bez przenośni rozstrzelana. I oto przed nami staje jeden z trójki rozstrzelanych... Żywy... Słowo daję, scena jak z filmu.

„Kretyn"! — wzdrygnęła się lekarka. Blizna pooperacyjna", biegnąca od szczytu mostka do kości łonowej wyglądała jak krwawa glista wmazana palcem w skórę. Spojrzała karcąco na swego egzaltowanego kolegę.

Przewodniczący komisji, który był krótkowidzem, nakazał Borowi podejść bliżej.

— Ależ jeszcze bliżej! Nikt was tu nie zje...

To, co zobaczył, zdumiało go bardziej niż łomotanina za parawanem.

— Interesujący przypadek — mruknął. — Rzeczywiście. Trzy przestrzały klatki piersiowej, cztery nóg i miednicy... — Z niedowierzaniem pokiwał głową. — I kto w świecie, moi państwo, może mierzyć się z niemiecką medycyną!

Zaciekawił go kąt przelotu pocisków. Zdjęcie profilowe (profesor doktor von Kluge przesłał komplet zdjęć), wykonane przed otwarciem klatki piersiowej pacjenta, uwidoczniało to jak na dłoni.

Stanął obok Bora i niczym na wykładzie w akademii, zademonstrował siedzącym:

— Proszę — dotknął ołówkiem wlotu jednego z pocisków i linijką wylotu na plecach. — To się odbyło w ten sposób: wejście między trzecim i czwartym żebrem, gładki pasaż przez płuco i wyjście tuż przed obojczykiem; a proszę tu — to samo, tylko że z lewej strony. Proszę zwrócić uwagę na drogę pocisków wokół worka osierdziowego i przepony. Zdumiewająca rzecz! — Przesunął ołówek na środkową bliznę. — A tu casus czegoś, co w języku wojskowym nazywa się „mieć świnię". Klasyczny przypadek nieprawdopodobnego szczęścia: pocisk muska śledzionę, rwie płat płuca, ociera się o kręgi piersiowe I — do widzenia! Musieli strzelać do was, kiedy już leżeliście. Nie pamiętacie?

Bor nie pamiętał.

— Nie szkodzi. Chętnie bym was zaprezentował szerszemu audytorium. Bardzo chętnie. A teraz kilka przysiadów. Tylko głębiej, człowieku nie jesteście w cywilu.

Przysiady nie były najwyższej klasy, ale przewodniczący komisji nie był bezdusznym konowałem. Przyłożył stetoskop do piersi badanego, do pleców i posłuchał. Pozostali członkowie komisji przyglądali się z uznaniem poczynaniom swego wybitnego kolegi. Na koniec zmierzył mu tętno i ciśnienie krwi.

— No, tak — upewnił się ostatecznie — typowa robota profesora doktora von Kluge. Miałem przyjemność asystowania mu przy niejednym interesującym przypadku(...)

Przypomniał sobie o jeszcze jednym.

— A jak z tymi sprawami? Z tym tam... — skinął na krocze.

Odpowiedź już go właściwie nie interesowała. Rdzeń pacierzowy pozostał nietknięty, system nerwowy — na oko biorąc — facet ma w porządku, powinien być zdolny do tych rzeczy.

Były asystent chluby niemieckiej chirurgii uśmiechnął się zadowolony.(...)

Przepisał aspirynę na nerwobóle, zalecił dużo ruchu dla przywrócenia mięśniom sprawności i wyznaczył termin następnego badania. (...)

Przy kawie wieńczącej godziny wytężonej pracy, do rewelacji dnia, jaką był przywrócony do życia rozstrzelany żołnierz, przewodniczący komisji lekarskiej dorzucił:

— Ale to nie koniec niedorzeczności; z prywatnego źródła, od mego kolegi anestezjologa profesora doktora von Kluge dowiedziałem się nieprawdopodobnych detali, dotyczących naszego gefreitera, zakrawających już na czarną magię. Otóż wojak ten, podczas walk o Stalingrad, uratował życie pewnemu ciężko rannemu oberleutnantowi. Uratowany nie znał swego wybawiciela, wszystko co zapamiętał, to głos żołnierza wyczołgującego się z nim na plecach ze strefy ognia. Rzeczy takie na froncie się zdarzają, moglibyśmy je sobie darować, gdyby nie to, że nieomal rok później ten sam oberleutnant na czele swojej kompanii odbił rozstrzelanych przez rosyjskich partyzantów, wśród których znajdował się nasz jeszcze rzężący bohater, i rozpoznał w nim... Tak, tak, moi drodzy, swego wybawiciela! Po głosie... (...) Czy to nie graniczy z czarną magią?

Bor wrócił do domu wewnętrznie rozbity. Głowa mu ciążyła, czuł się niedobrze. Żołądek podszedł mu pod gardło. Podbiegł do zlewu i wymiotował, potem obolały rzucił się na łóżko.

Obudził się następnego dnia po południu.

Dom był pusty. Matka już poszła do pracy. Dzisiaj przypadała jej druga zmiana, wróci dopiero o jedenastej wieczorem. Przed wyjściem napaliła w piecu, posprzątała izbę i przygotowała dla niego jedzenie. Obok talerza, nakrytego serwetką, zostawiła kartkę. „Tylko najedz się do syta, a później odpocznij sobie. I nie przemęczaj się" — pisała ołówkiem.

Zebrał jedzenie ze stołu i wyniósł do kuchni, nie odczuwał głodu. Potem wymył się i ogolił. Na półce, między fotografiami i sztucznymi kwiatami w wazoniku, stał flakonik wody kolońskiej. Wytoczył kilka kropli na dłoń i natarł sobie skronie. Zapach wody przypomniał mu Dorę Sontag. Asystentka wybitnego chirurga, profesora doktora von Kluge, była niewysokiego wzrostu, twarz miała usianą piegami, które z daleka przydawały jej naturalnej południowcom śniadości. Dora promieniała wewnętrzną pogodą. Gdy wchodziła na salę, nie wnosiła ze sobą autorytetu lekarza wojskowego i rygorów szpitalnych, a pogodę wyczuwalną przez każdego. Pozostawiała po sobie dyskretny zapach dobrego mydła, zmieszany z czymś trudnym do określenia a ciepłym, co wywoływało nie kończące się rozmowy o kobietach. Kleine Frau Doktor... „Pan sobie nie wyobraża, jak się cieszę. Nadanie przyszło kilka tygodni temu, ale Herr Stabsarzt nie zgodził się na dekorację, zanim pan nie wróci całkowicie do zdrowia".

Promieniowała niekłamanym szczęściem. Trzymając jego bluzę za naramienniki spozierała dumnie na wstążeczkę Żelaznego Krzyża. „Sama przyszyłam. Mój prezent na pańskie dwudzieste drugie urodziny. A na dodatek...". Schyliła się i ucałowała go w policzek.

Za oknem było mokro. Musiało padać całą noc, bo we wgłębieniach podwórza potworzyły się kałuże wody. Bor znał każdy jego skrawek. Czyjaś sylwetka z głową nakrytą peleryną szybko przemknęła pod oknem. W sieni rozległy się kroki.

— Jestem cała mokra, nie widzisz?

W drzwiach stała Irmgard. Z zaczerwienioną twarzą, zdyszana, z ociekającą wodą peleryną na głowie. Nie czekając na zaproszenie weszła do środka.

Rozglądnęła się ciekawie po izbie. Nie sprawdzała, czy są sami. Znajdowała się na obcym terenie. Jeszcze nie wiadomo, czy gościnnym.

— Nie pomożesz mi się rozebrać?

Wziął od niej pelerynę i powiesił na drzwiach. Zachowywał się jak odrętwiały. Jak gdyby krew za chwilę miała rozsadzić mu głowę. Machinalnie rozejrzał się za miejscem dla niespodziewanego gościa. Niepotrzebnie się trudził, Irmgard wybrała je sobie sama.

Siadając na kanapie czekała na żywszy odruch z jego strony, gotowa pozornie ukontentować się byle czym. Ale jej oczy skrzyły się z góry obmyślonym planem. Zerknęła na swoje mokre kolana.

Nie tylko one ociekały wodą. Dół spódnicy, którego peleryna nie osłaniała, całe nogi wyglądały jak po wyjściu z kąpieli. Wydobyła z torebki chusteczkę i zaczęła się wycierać. Bor sięgnął do szafy po ręcznik. Irmgard miała na sobie gabardynową spódniczkę z kontrafałdami i jasnobeżową bluzkę, cienko się ubrała jak na listopad... Rozpięła guziki bluzki i chropowatym ręcznikiem zabrała się do wycierania szyi.

Bor odwrócił się do okna niezdarnie jak manekin. Zdawało się, że nie wie, co ze sobą zrobić. Zaśmiała się ubawiona.

— Jesteś głuptasek — nie przerwała wycierania. — Co ty sobie myślisz o mnie?

Bawiło ją zażenowanie tego rosłego, w swej nieporadności pociągającego mężczyzny. Zupełnie to do niego nie pasowało. Czyżby on jeszcze... Podejrzenie przyprawiło ją o przyjemny dreszcz; tym ochoczej szła do celu.

Podciągnęła spódniczkę i przystąpiła do zdejmowania przemokniętych pończoch. Robiła to jak na pokazie mody. Z wdziękiem modelki pewnej wysokiej jakości prezentowanego towaru. Bor sprawiał wrażenie nieszczęśliwego.

— Ależ dlaczego? — zawołała. — Chyba nie wyobrażasz sobie, że będę siedziała w mokrych. Mam się przeziębić?

Nie pozwoliła jego oczom oderwać się od niej; trzymała je sprzężone ze swymi oczami, już pewna swego. Silny mężczyzna, który — chciał czy nie — musiał się naoglądać tam różnych rzeczy, w naturalnej sytuacji z kobietą zachowuje się jak harcerzyk. Podniecające. Zabijać, gwałcić jest dla nich widocznie czymś prostszym. Nadała akcji tempa, choć Julian i tak już za nią nie nadążał.

Wszystko w życiu przemija,
Wszystko trwa krótki czas...

Spłoszona spojrzała na sufit. Ale zaraz roześmiała się. Kobieta z piętra tęsknym altem nuciła dalej:

Do maja, do grudnia,
Może nie być nas...

— Ona ma przyjemny głos — zauważyła. — Bardzo przyjemny. Młoda?

Oczy jej zmatowiały. Obiekt oddziaływania, zdawały się spostrzegać, okazuje się mało wrażliwy. Ale nie straciły swej zaczepności. Zbiegły z sufitu na Bora, spenetrowały go błyskawicznie, jak tylko oczy kobiety to potrafią, gdy stracą pewność siebie, i zaiskrzyły się znowu ogniem. Pokazała w uśmiechu zęby i sięgnęła po swój tyle razy sprawdzony sposób na niezdecydowanych:

Targnęła podwiązką, żeby uwolnić pończochę; ruch ten opanowała do perfekcji. Jego skutkiem miał być brak skutku. Podwiązka nie miała puścić i tym samym należało zabrać się do niej inaczej. Zadarła spódniczkę na uda, targnęła podwiązką raz i drugi i pończochę zsunęła z nogi — tak. Z drugą postąpiła inaczej. Nie zdjęła jej jak pierwszej, tylko zrolowała do połowy łydki, potem przełożyła nogę przez nogę i na tym poprzestała. Z całkowitym obnażeniem najbardziej ofensywnej broni kobieta nie powinna się nigdy spieszyć. Akt pierwszy sposobu skończony. Przed przystąpieniem do następnego krótka przerwa na jedno niewinne spojrzenie, jeden ciepły uśmiech, nic więcej, to powinno wystarczyć.

Obiekt porażenia bladł jak we wstępnym stadium hipnozy. Należało przystępować do drugiego aktu. Każda sekunda niezdecydowania groziła przeciągnięciem struny.

Siadła głębiej na kanapie, nogi podciągnęła pod siebie i odsłonięte biodra zaczęła trzeć ręcznikiem. Spojrzenie Bora zmętniało. Wezbrany żywioł brał go w posiadanie, niszczył resztki samoobrony. Do całkowitego triumfu Irmgard było już niedaleko. Ruchem mdlejącego łabędzia położyła rękę na zrolowanej pończosze. — Chodź, zdejm sam — przywołała go.

Schylił się jak pijany ku jej rozchylonym udom. Ich gorąco zamroczyło go. Irmgard wcale nie była mu wroga. Sama odciągnęła na bok koronkową zasłonę, oplotła go nogami i zachłannie wessała w siebie...

C.D.N.

Nie ma żadnej okrągłej rocznicy Stefana Wiecheckiego „Wiecha", nie ma żadnego powodu natury okazjonalnej. Ot, po prostu przekartkowałem w wolnej chwili tom jego felietonów z przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. I „dostałem refleksji"... W latach pięćdziesiątych czytałem Wiecha „nałogowo" i zaśmiewałem się do łez. Pamiętam święte oburzenie naszej polonistki, kiedy miałem czelność Wiecha zaliczyć do... najwybitniejszych pisarzy polskich! A teraz? Uśmiechnąłem się kilka razy, chyba bardziej do młodzieńczych sentymentów niż do wiechowskiego humoru. Zwietrzał nam klasyk, zwietrzał, a jaką niegdyś miał pozycję!

Nie miał właściwie poprzedników: wprawdzie już w ubiegłym stuleciu niektórzy humoryści próbowali pisać „językiem ulicy", ale też ani ten język — ówcześnie raczej gwara wiejska przenoszona do miasta — ani ten słuch, jaki miał Wiech. Specyficzną gwarą proletariatu (częściej — lumpenproletariatu) stolicy podsłuchiwał wszędzie. Najczęściej w sądzie na Lesznie — w „sądzie greckim", jak z atencją zwracali się do trybunału podsądni i świadkowie. Lecz sam słuch językowy nie wystarczał. Reporter sądowy warszawskich gazet Stefan Wiechecki prędko zorientował się, że ma do czynienia tylko z tworzywem, surowym materiałem do literackiej obróbki.

Wiech kreował swój język. Kreował tak skutecznie, że u szczytu jego popularności, w końcu lat trzydziestych już nikt nie mógł z ręką na sercu powiedzieć, czy to Wiech pisze tak, jak mówią warszawiacy, czy też warszawiacy od Wiecha uczą się mówić po warszawsku!

Nie wiem, czy to jeszcze przed wojną, czy też w okresie powojennym powstała moda na „mówienie Wiechem". Oczytani w jego twórczości młodzi inteligenci w kontaktach towarzyskich mówili, starali się mówić, tak jak Walery Wątróbka i wujo Wężyk ze Szmulek: „leguralnie wtranżalać", wsiąść w „kolejkie wąskotorowe", „miłość pozagrobowa" itd. itp.

Kochany panie Wiech

Moda przeminęła, ktoś, kto dziś chciałby „wiechem" rozbawić towarzystwo natknąłby się na zdziwienie (w najlepszym wypadku). Charakterystyczne jest, że po Wiechu nikt już żadnej mody na język środowiskowy nie wprowadził. Choć były próby: specyficzny język „typula" z piosenek Młynarskiego („Zorżyk gitarzysta", „Mnie podchodzą te wolne numery" i inne). Żorżyk był niewątpliwie potomkiem w prostej linii szwagra Piekutoszczaka, warszawskim żulikiem z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Ale już go nie ma — jego syn mówi (niestety!) regularną grypserą...

Warto na marginesie wspomnieć, że Wojciech Młynarski sam sprawnie posługiwał się „wiechem" i napisał kilka udanych tekstów w tej historycznej kowencji: „Jadziem na Bielany", „Cyrk na sto fajerek" i kilka innych. Sam Młynarski już ich nie śpiewał, obsługiwał zapotrzebowanie innego pokolenia.

Drugą „falą" specyficznego dowcipu językowego, który przeniknął do potocznego języka były (ale to już dosłownie kilkanaście zwrotów) utwory Marii Czubaszek. „Czubaszkiem" też się mówiło: „narzeczona osobista", „cały on", „niestety". Przy okazji — „czubaszek" to już nie była żadna warszawska specyfika, to był język jak najbardziej ogólnopolski.

Wróćmy do Wiecha. Kreacjonizm językowy tego autora rozwinął się w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Takich zwrotów jak „wyż demokratyczny", „spódnica kibini", czy „jarzynowe oświetlenie" nie mógł Wiech nigdzie usłyszeć — wymyślił je, kongenialnie wcielając się w (nie istniejącego już przecież) rodaka z Targówka.

Niewątpliwie najważniejszym elementem wiechowskiego humoru jest warstwa językowa. Tak ważnym, że jego felietony są praktycznie nieprzekładalne — nigdzie, w żadnym innym języku nie zdobyły poczytności. Choć były — podobno — udane próby tłumaczenia Wiecha na londyński „cockney". Na języku wszakże rzecz się nie kończy.

Bardzo charakterystyczny jest bohater Wiecha. Wywodzi się z podmiejsko-lumpenproletariackich kręgów: z Targówka, Pelcowizny, Szmulek, Bródna. Ma bliżej nieokreślony status społeczny, źródło dochodu czy zawód. Tylko bohaterowie jedynej powieści Wiecha „Cafe pod Minogą" mają jakieś zawody: restaurator, taksówkarz, przedsiębiorca pogrzebowy. Kim jest z zawodu Walery Wątróbka czy szwagier Piekutoszczak nie dowiadujemy się nigdy. Dlaczego z taką konsekwencją Wiech przestrzega nieujawniania ich społecznej pozycji i źródeł utrzymania? To proste. Gdyby chciał pozostać wierny zasadom realizmu, musiałby spowodować obniżenie temperatury sympatii, jaką do tych postaci żywi czytelnik. Musiałby przyznać, że np. Piekutoszczak jest złodziejem lub paserem, a pan Walery (w najlepszym przypadku!) handlarzem z Kiercelaka!

Bardzo charakterystyczne, że nawet w okresie socrealizmu Wiech nie usiłował nobilitować swoich bohaterów nadając im status robotnika. Nie mógł! Fałsz byłby łatwo wyczuwalny, a nawet sprawa wydawałaby się ideologicznie podejrzana: taki „lachmyta" członkiem załogi Huty Warszawa czy FSO? Wykluczone!

Nie pojawia się w felietonach powojennych Wiecha żaden młody człowiek. Nie może się pojawiać! Jaki ma być? Jak bohaterowie „Bazy Sokołowskiej"? Choć to przecież szoferaki... Zresztą, młodzież nie jest Wiechowi potrzebna. Nieśmiertelny Walery Wątróbka ma bliżej nieokreśloną pozycję emeryta, a szczera sympatia dla wszystkich przemian, dla odbudowy Warszawy zwłaszcza, coraz częściej przeplata się z nostalgiczną nutą tęsknoty dla tej Warszawy, której już nie ma. Wiech nieustannie porównuje nową i starą Warszawę i choć się stara jak może, wciąż porównania wykazują, że ta dawna była lepsza... Do tego stopnia identyfikuje się autor ze swymi bohaterami. A dla nich, starszych panów, których życie ubiegło na bazarach, w cichych knajpkach, na wyścigach konnych i w cyrku Staniewskich, tamta Warszawa ma walory niezapomniane i nieporównywalne z dzisiejszą.

W tym okresie, tj. w latach sześćdziesiątych, Wiech traci swą popularność — nie zdobywa nowej publiczności. Do końca wypełnia obstalunki na historyczne sentymenty, jak Lopek Krukowski, jak Dymsza i Fogg, „Warszawka" z „Adrii" i „Qui pro Quo" odeszła razem z Warszawą przedmiejską i podmiejską. Trwająca jeszcze popularność Hanki Bielickiej i Jaremy Stępowskiego pozornie tylko przeczy tej tezie. Przepraszam wymienionych artystów, ale zarówno oni, jak ich publiczność, to artystyczno-obyczajowy skansen.

Napisałem, że Wiech właściwie nie miał poprzedników. Następców też nie miał. Dotyczy to jednak tylko specyficznego humorku i warstwy językowej jego utworów. Bo w swej istocie, w swej właściwej treści są one po prostu gazetowymi felietonami, typowymi, ulotnymi komentarzami do codziennych wydarzeń. Pisał je przez całe życie i ani on sam, ani ktokolwiek inny nie nazywał ich nigdy inaczej jak „felietony". Ani humoreski, ani nowelki, ani opowiadania. Tylko felietony...

ANDRZEJ KAROL

1 Pod prąd

List otwarty do prezesa NBP

Wielce Szanowny Panie Prezesie Narodowego Banku Polskiego!

Zawsze byłem człowiekiem oszczędnym, a być może — jak twierdzą niektórzy — nawet skąpym i od dawna kiedy inni mniejszą lub większą część zarobionych przez siebie środków płatniczych puszczali lekką ręką na wino, kobiety i grającą szafę, ja odmawiałem sobie prawie wszystkich rozrywek, a każdą zaoszczędzoną złotówkę niosłem prędziutko do pekao tak przed, jak i po tym epokowym wydarzeniu, gdy nasza ukochana telewizja przyznała szczerze, że jeśli oszczędzają bogaci, to i nam się opłaci, za co wieczna niech będzie jej chwała, mnie zaś — spełnią się wreszcie moje długoletnie marzenia, choć zdążyły się one wraz z naszą walutą kilkakrotnie już zdewaluować.

W trudnych latach młodości oszczędzałem na mały jednorodzinny domek z ogródkiem (warzywnym, a nie kwiatowym — żeby było jeszcze oszczędniej), gdyż na starość chciałem mieć coś swojego, jak również — chciałem poprawić bilans naszego budownictwa przez nieubieganie się o mieszkanie spółdzielcze, które wówczas miałem możliwość otrzymać i zasiedlić jeszcze przed zasłużoną emeryturą.

Niestety, pomyliłem się w obliczeniach, ponieważ nie było jeszcze wtedy komputerów ani kalkulatorów, i kiedy uzbierałem już na taki domek założoną na wstępie kwotę, ceny gruntu i materiałów budowlanych poszły w górę na tyle, że mój wymarzony domek legł w gruzach z wielkim hukiem, a ja postanowiłem od tamtej pory oszczędzać na małolitrażowy samochód marki maluch, bo nie jestem dyrektorem, żebym musiał mieć większy, który tak samo jedzie, a spala tylko więcej jakże potrzebnej naszemu krajowi benzyny.

Ale że kto ziarnko do ziarnka, temu wiatr w oczy, więc historia znów się powtórzyła, to znaczy zamiast w maluchu znalazłem się i tym razem na lodzie, i żeby choć raz być mądry przed szkodą, a nie jak mówi przysłowie, zacząłem tym razem oszczędzać na jakąś daleką i atrakcyjną wycieczkę zagraniczną, bo słyszałem, że podróże kształcą. Z propozycji naszego niezastąpionego Biura Podróży i Organizacji Handlu Wymiennego „Orbis" wybrałem też sobie od razu kilka interesujących mnie tras, by przed powzięciem ostatecznej decyzji przeprowadzić konsultacje w kręgu znajomych i rodziny. W grę wchodziły: Grecja, Włochy, Jugosławia, Hiszpania i Tajlandia. Na szczęście konsultacje przebiegły szybko i sprawnie, i w ten oto demokratyczny sposób ustaliliśmy, że najlepiej jeśli pojadę do Turcji, która na cały świat słynie z baranich kożuchów, blamów karakułowych, dżinsów i bawełnianych koszulek oraz krajobrazów i zabytków architektury, co szczególnie do mnie przemówiło, jako że kożuchy i blamy mamy w szerokim wyborze na każdych polskich bazarach.

Ale oto pojawił się nowy problem i z nim właśnie pozwalam sobie zwrócić się do wielce Szanownego Pana Prezesa. Mianowicie pięciodniowa wycieczka do Stambułu kosztuje w „Orbisie" 49 tysięcy złotych polskich i 92 dolary amerykańskie, co bardzo mnie osobiście zdziwiło, gdyż dotychczas byłem pewien, że jedyną oficjalną walutą w Polsce Ludowej jest złotówka, która dzieli się na sto groszy, choć to też jest dziwne, bo zobaczyć dzisiaj grosz znacznie trudniej niż jakieś UFO, które jednak, jak donosi prasa, od czasu do czasu się pokazuje.

Ale mniejsza z tym. Chodzi o to, że ja po prostu zaoszczędziłem już te 49 tysięcy złotych, jak również mam znajomą, która załatwi mi wyjazd jeszcze w tej 5-latce, natomiast nie mam jak dotąd ani jednego dolara amerykańskiego i zupełnie nie wiem, skąd takiego wziąć, ponieważ mój pracodawca chce mi płacić wyłącznie w złotówkach, rodziny za granicą nie posiadam, a kupić od kogoś nie mogę, gdyż musiałbym tym samym wejść w konflikt z prawem, które surowo, acz sprawiedliwie ocenia nasze występne czyny, co dla mnie byłoby straszne dlatego, że nie byłem jeszcze nigdy karany, przed czym uchowaj mnie Boże.

Wstyd się przyznać, bo jestem już duży, ale zupełnie też nie rozumiem, skąd inni ludzie biorą u nas obce pieniądze, a kogo bym nie zapytał, prawie każdy ma, i dlaczego taki „Orbis" każe sobie płacić w dolarach, przeciwko czemu chciałbym przy okazji do Pana zaprotestować, gdyż jako — nie chwaląc się — wzorowy obywatel czuję się we własnym kraju dyskryminowany, tylko dlatego, że nie chcę państwa oszukiwać, choć przecież w Konstytucji mówi się, że wszyscy obywatele mają równe prawa, a zatem także i ci, którzy dolarów nie posiadają. Jeden znajomy, który także nie ma, twierdzi, że należałoby tę sprawę wnieść do Trybunału Konstytucyjnego, ponieważ całe społeczeństwo wiąże z nim wielkie nadzieje i stoi on na straży naszej praworządności. Ja jednak poprzysiągłem sobie już w dzieciństwie, że noga moja w żadnym sądzie nie postanie, więc niech ten znajomy jeśli chce, zgłasza, a ja do tego ręki nie przyłożę, jakkolwiek wyrażam głęboką z nim solidarność.

W tej sytuacji nie pozostaje mi nic innego, jak tylko zwrócić się do Wielce Szanownego Pana Prezesa o wymienienie mi złotówek na rzeczone 92 dolary z przeznaczeniem na wycieczkę zagraniczną do Turcji, bo z domku z ogródkiem i samochodu maluch wcześniej już musiałem zrezygnować, a chciałbym, żeby choć jedno moje marzenie spełniło mi się w życiu, czego i Panu Prezesowi z całego serca życzę. Z poważaniem

JÓZEF RETMAN

2 Przerwa śniadaniowa

Imieniny

— Imieniny Pietryny będziemy obchodzić! — pan Henio, jak zwykle demonstrował entuzjazm i pełny zachwyt.

— No to z czego się pan tak cieszysz? Zaprosili pana czy co?

— Ja się, pani Lalu, cieszę bezinteresownie, jako łodzianin kocham Piotrkowską i to jest fajne, żeby urządzić jej imieniny.

— Kiedy to ma być? — pan Zenek jako osoba oficjalna był zainteresowany realiami — i kto to wymyślił? Władze miejskie?

— Ma być we wrześniu zdaje się, a wymyślili to redaktorzy z „Dziennika Łódzkiego". I fajnie wymyślili, dajmy na to. Zamiast takich różnych, dajmy na to, oficjałek, „dni kultury" i innych dyrdymałek nudnych jak serial o włoskim policjancie, który się nazywa, nie wiadomo czemu, Ośmiornica, a wygląda raczej na cielaka, będą imieniny! Tańce, śpiewy i w ogóle ubaw. Orkiestra strażacka ma grać!

— Co do komisarza z włoskiego filmu, to ja panie Dareczku, protestuję. Pan tak z zazdrości mówisz, bo pan nie jesteś taki przystojny, jak ten aktor Platini, czy jak mu tam. A ośmiornica to nie on tylko ta zołza, fałszywa hrabina, co należy do mafii, a komisarza uwiodła podstępnie...

— Pani Kalinko! Co za potok słów! Imponuje mi pani, nigdy bym nie posądzał panią o taką, dajmy na to, błyskotliwość?.. Niech mi jeszcze pani łaskawie wytłumaczy, jak się „podstępnie uwodzi" dorosłego mężczyznę? Nigdy mi się to nie zdarzyło. A może zechce pani zademonstrować mi takie uwiedzenie? Dziś po południu mam czas.

— Ja się, panie Dareczku przysłuchuję i muszę, jako zastępca kierownika, ostrzec pana, że pan robisz współpracownicy niestosowne propozycje. Jako przedstawiciel kierownictwa ostrzegam pana!

— Zażartować nie można? Pani Kalinka się nie obraziła, a pan taki się zrobiłeś pryncypalny?

— Nie pryncypalny tylko pryncypialny. Pryncypalna to może być ulica, ot, jak choćby Piotrkowska. To co ma być na tych imieninach?

— Normalnie. Wędlinka, dajmy na to, sałatka, śledzik i nalewka. Na deser sernik i lody...

— Jak pan coś powiesz, panie Dareczku... Skąd wędlinki? Skąd nalewka i lody? Przecież to nie będą imieniny prywatnej osoby, w ogóle — żadnej osoby. To będą imieniny, że tak powiem — symboliczne, takie jakby... platoniczne.

— Nikt mnie na platoniczne imieniny nie nabierze. Raz mnie zaprosiła na kawę jedna panienka. Do niej, do domu, bo rodzice wyjechali do sanatorium. Kupiłem kwiaty i szampana, zmieniłem bieliznę i poszedłem na tę kawę. I wiesz pan co, panie Zenku? Po kawie i szampanie ona mi mówi, że ona mnie kocha platonicznie znaczy się, jak brata!

— To piękne i szlachetne uczucie — pani Lala westchnęła. — Ale żaden mężczyzna nie potrafi tego zrozumieć...

— A i owszem, droga pani Lalu. Zresztą normalna kobieta też — na szczęście — nie potrafi. Dajmy spokój tym platonicznym uczuciom, bo mnie jeszcze szlag trafia na samo wspomnienie. Co ma być na tych imieninach? Panie Heniu!

— Różne mają być obchody i uroczystości. Jeszcze jest czas, jeszcze nie ma szczegółowego planu. Każdy może jeszcze zgłosić jakąś inicjatywę. My także!

— To jest pomysł! Może byśmy wystąpili jako amatorski zespół pieśni i tańca? Pan Dareczek dobrze tańczy, ja z panią Lalą zaśpiewamy, Pan Zenek zna sztuczki z kartami. A pan, panie Heniu! Co pan może zademonstrować? Na pewno będzie telewizja!

— Ja znam tylko pieśni masowe, takie jak „Nieodłączne siostry dwie — młodzież i SP", albo „Czerwony pas"...

— To ja pana przenoszę do ekipy technicznej. Cała reszta, nie wyłączając pana Zenka, występuje jako kwartet egzotyczny. Repertuar ustalimy i zaczynamy ćwiczyć. Imieniny to imieniny!

KAROL B.

3

Gospodarz, to znaczy kto?

Wybrałem się na wycieczkę do Uniejowa. Miejscowość starożytna, w kościele znajduje się grób Błogosławionego Bogumiła, a nad Wartą zamek. O Błogosławionym Bogumile przewodniki raczej milczą, a do zamku zapraszają na śniadanie, obiad i kolację. Jest tam — przyznaję znakomita — restauracja „Herbowa", urządzona ze smakiem i z dobrą kuchnią. Wokół zamku park, a w parku trzy pawilony pozostawione po ekipach odbudowujących zamek. W pawilonach tych dawny łódzki WOSiT — kiedy jeszcze było duże województwo łódzkie, a powiat w Poddębicach — urządził dom wycieczkowy oraz restaurację i kawiarnię, które nazwano „Śródborze". Skąd ta nazwa? Bóg raczy wiedzieć, ale mniejsza o to. Natomiast pawilonom „hotelowym" nadano imiona bohaterów „Krzyżaków" Henryka Sienkiewicza: „Zbyszko" i „Jagienka".

Gdyby Zbyszko o tym wiedział, siadłby na koń i pogalopował do starożytnej miejscowości Uniejów, aby skórę komu trzeba solidnie wygarbować, bo w pawilonie jego imienia brud, dewastacja i zdziczenie. Wprawdzie „Jagienka" już się remontuje, może więc i dla „Zbyszka" nastaną lepsze czasy, ale dziś przedstawia on obraz nędzy i rozpaczy.

Wokół zamku jest park. Wszystko to należy do konińskiego przedsiębiorstwa turystycznego, które używa ładnej nazwy: „Kontur", ale ładna nazwa to jeszcze nie wszystko. Uniejów leży na trasie Łódź — Turek — Poznań, ale w bok od Konina i być może turystycznym władzom tego wojewódzkiego miasta nie jest zbyt potrzebny, gdyż troski o ten turystyczny ośrodek wielkiej nie przejawiają. A przecież to nie tylko własność „Kontura", ale społeczna. Park jest zabytkiem przyrody i wymaga wielkiej troski. Tymczasem również przedstawia obraz dewastacji. Drzewa usychają, gniją. Ktoś je pościnał i pozostawił. W zabytkowej alei grabowej obok drzew zdrowych jeszcze stoją już drzewne trupy. Zarażają tylko drzewa zdrowe. A są tu również rzadkie okazy. Warte szczególnej troski.

Właśnie w uniejowskim parku zadałem sobie pytanie: gospodarz, to znaczy kto? Bzdurą jest nazywanie dozorcy gospodarzem. Niby, że dozorca, to coś ubliżającego. Przeciwnie, to dość precyzyjne określenie obowiązków. Dozorca ma dozorować, aby wszystko było w porządku. Gospodarzem on jednak nie jest. Gospodarz, to coś więcej. To ktoś, kto umie widzieć całość swego gospodarstwa. Widzieć je w stanie obecnym i w przyszłości. Gospodarz musi troszczyć się o przyszłość, czyli o rozwój swego przedsiębiorstwa, swego gospodarstwa. Musi też widzieć w tym swój interes. To znaczy, musi wiązać swoją przyszłość z przyszłością instytucji, przedsiębiorstwa, gospodarki. I nie ma to nic wspólnego z formą własności. Można być prywatnym właścicielem i nie dbać o swoje gospodarstwo i można być tylko zarządzającym i bardzo dbać. Ale wtedy dbający czuje się gospodarzem. Po prostu widzi swoją przyszłość ściśle związaną z tym, co robi, z tym, czym zarządza.

Tak sobie myślałem, spacerując po parku uniejowskim, gdyż ani w nim, ani w hotelowych pawilonach „Konturu" nie widziałem ręki i myśli gospodarza. A gdy brakuje gospodarza wszystko chyli się ku upadkowi, degraduje się. Na zamku natomiast przeciwnie. Przynajmniej w restauracji „Herbowa". Tu widać było rękę gospodarza, jego myśl, aby ściągnąć jak najwięcej klientów. I ludzie przychodzili, przyjeżdżali samochodami, czuli się tam dobrze, swojsko. A o to przecież chodziło.

Między Uniejowem a zamkiem jest betonowa kładka. Na słupie przy wejściu na kładkę z obu stron postawiono niski murek z cegieł i wywieszono napis: „Przejście wzbronione. Kładka grozi zawaleniem". Zawahałem się. Ale kładką spokojnie szli ludzie. Całe rodziny nawet z małymi dziećmi. Przyjrzałem się uważnie napisowi. Nie był pierwszej świeżości. Wisi chyba już co najmniej rok, a może więcej. Ludzie, stąpając na murek ponakruszali cegły. Też na to potrzeba czasu. Coś zatem tu nie gra. Nikt pod tym ostrzeżeniem nie podpisał się. Ale wykonane solidnie, widać w tym rękę i powagę urzędu. Skoro kładka grozi zawaleniem, to winno się ją wyremontować, a jeśli jest to nieopłacalne, to zburzyć. Nie uczyniono tego i ludzie już nie dostrzegają ostrzeżenia. Zlekceważyli je, bo okazało się nieprawdziwe. Ale ktoś je wywiesił na podstawie jakiejś decyzji. Jakiej? Czyż była ona prawdziwa? Czy jest nadal prawdziwa? Jeśli jest, to kładka może zawalić się w każdej chwili...

Znów naszły mnie myśli o gospodarzu. Gospodarz, to znaczy kto? Ten, kto potrafi ogarnąć całość i wiązać z tym swoją przyszłość. Może Uniejów nie ma szczęścia do gospodarzy? Ale na centralnym placyku ład i porządek, czysto i miło. Zatem chyba nie mam racji z tym szczęściem do gospodarzy.

Wróciłem do Łodzi, ale pytania, które naszły mnie w Uniejowie nadal nie dają spokoju.

WITOLD BOROWY

Sodoma

„Z Witkacym łączy Jacka Krakowskiego skłonność do filozofowania na własny rachunek i chyba równie mało nabożny stosunek do akademickich i w ogóle oficjalnych filozofii. (...) Witkiewicza stać na gwałt, karykaturę i sadyzm w stosunku do intelektualnego języka (...) W SODOMIE parodiuje się filozoficzną oficjalność, nie naruszając w niczym założeń językowej intelektualności powszechnego użytku, konfrontując ją zewnętrznie bądź z niskim językiem wulgarnym, bądź z wysokim językiem natchnionym".

JACEK KRAKOWSKI **(11)**

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Ułożyliśmy się z dwu stron obok niej, gdy trzykrotnie rozległ się klakson samochodowy.

Jedziemy dalej! Już jedziemy, wrzasnęła zebrana młodzież, rzucając się do wyjścia z namiotu, mimo nawoływań Loty, aby jeszcze chwilę poczekali.

Przeklęte bachory, krzyknęła za nimi. Człowiek poświęca im najlepsze lata swego życia, a one tak się odpłacają. Ohyda i skaranie boskie!

Kiedy to mówiła, Atan, czołgając się po dywanie, kierował się w stronę klatki z krukiem.

Przycisnęliśmy się do niej, czując łapczywe ssanie jej otworów, które zaczęły wciągać nasze członki do jej wnętrza, gdy rozległo się przeraźliwe krakanie kruka, wyciąganego z klatki przez Atana.

Lota momentalnie wyzwoliła się z naszych objęć i rzuciła w jego kierunku. Laurenty chwycił wagę. A Sylwester trójząb. Laurenty uderzył ją szalką w głowę, a ona osuwając się, złapała dłonią złoty członek Atana. Atan szarpnął się do tyłu. Kruk wyrwał się z jego rąk i wyleciał z namiotu, a złoty członek został w dłoni Loty, która rzuciła go w ogień. Atan pochylił się chcąc uratować fallus, lecz trójząb, trzymany przez Sylwestra, wbił mu się prosto w płuco. Padł na bezwładnie leżącą Lotę, a my wybiegliśmy z namiotu, podczas gdy złota kałuża rozpływała się w żarze ogniska.

Kruk czekał na nas, siedząc na stosie pustych butelek. Trzymał w dziobie purpurowy płaszcz, lecz gdy chcieliśmy mu go zabrać, rozpostarł skrzydła i odfrunął, wlokąc za sobą łopoczącą plamę czerwieni niknącą w bezmiarze rozpalonego nieba. Pobiegliśmy kilka kroków za nim, lecz nieprzytomni od nadmiaru wypitego alkoholu padliśmy w piach, wbijając w jego rozpaloną sypkość nasze wyprężone aż do bólu członki. Za nami szumiał ogień płonącego namiotu.

PRZEJAZD PRZEZ MIASTO

Ocknęliśmy się w pędzącej karecie, leżąc obok siebie na kanapce, nakryci lśniącymi od dżetów wieczorowymi płaszczami. Naprzeciw nas siedziały Xenia i Felixa zajęte rozmową. Obie miały na sobie identyczne, głęboko wydekoltowane, obcisłe suknie, spływające falami połyskliwego materiału aż na podłogę karety. Suknia Xeni była błękitna, naszywana srebrem, zaś Felixy purpurowa, przybrana złotymi gwiazdami. Kareta gnała jak szalona, zarzucając na zakrętach, a my, nie bardzo wiedząc, co się z nami dzieje, usiłowaliśmy podnieść się z siedzenia.

Nareszcie, powiedziała Xenia, przerywając prowadzoną półgłosem rozmowę z Felixą, myślałyśmy, że już nigdy się nie obudzicie, wyglądaliście bardzo mizernie Ale parę minut głębokiego snu i od razu człowiek czuje się inaczej.

Dokąd jedziemy, spytał Sylwester, okrywając się płaszczem.

Jak to dokąd, odrzekła Felixa. Przecież ojciec zaprosił was na bal. Ładnie byśmy wyglądały, gdybyśmy was w końcu nie znalazły, nie ma co. I jaki afront dla Lancelota. Śmietanka towarzyska Sodomy, a was nie ma.

Nigdzie nie jadę, rzekł Laurenty. Jest mi niedobrze. Muszę wysiąść.

Mowy nie ma, powiedziała Xenia, wzruszając ramionami. Spróbuj zresztą sam zatrzymać cztery galopujące konie. Aby szybciej gnały każdemu wpuszczono bąka pod ogon.

Zaraz zwymiotuję jęknął Sylwester. Już nie mogę.

Wywieście głowy przez okno i ulżyjcie sobie, poradziła nam Felixa. Nie możemy się spóźnić, a do naszego pałacu jeszcze kawał drogi...

Nie słuchaliśmy tego co mówiły. Z głowami wywieszonymi za okno pędzącej karety wymiotowaliśmy w ciepłe popołudnie Sodomy.

Kiedy usiedliśmy ponownie na skórzanej kanapce, kobiety, nie zwracając na nas uwagi, znowu były zajęte prowadzoną szeptem rozmową.

Znacznie lepiej, powiedziała Xenia ni to do nas, ni do Felixy. Trzeba tylko pamiętać, żeby selery, pory i paprykę pokroić bardzo drobno, zalać octem, dodać nieco musztardy, dużo chrzanu...

A pieprz, spytała Felixa. Atanazja twierdzi, że pieprz jest wprost niezastąpiony na te sprawy.

Pieprz obowiązkowo, moja droga, odparła Xenia. Umieć dobrze ze ćwierć kilo i równomiernie rozprowadzić. Zupełnie bym zapomniała: cztery kopiaste łyżki drobnoziarnistej soli. Więc kiedy wszystko już dodasz, zalej ćwiartką spirytusu i odstaw na godzinę, żeby się przegryzło. Potem weź pędzel, najlepiej taki do malowania ścian i nakładaj równomiernie wraz ze wschodem słońca.

Tak wcześnie, zlewnęła Felixa, zwykle mi się nic nie chce.

Musisz, kochana, musisz, jeżeli chcesz mieć wieczorem powodzenie. Wypróbowałam już nie raz na sobie ten przepis. Wstyd się przyznać, ale każdy mężczyzna, którego bliżej poznałam, mówił mi, że jestem niesłychanie... ostra... Rozumiesz?...

Nie powinnaś mówić przy nich takich rzeczy, szepnęła Felixa.

Są tylko cudzoziemcami, zaśmiała się Xenia, i muszą zachowywać pewne pozory. Słyszysz przecież jak mało się odzywają i pozwalają wodzić się za nos. Postępują tak, bo ich obowiązują pewne zasady, my natomiast, jesteśmy u siebie i nie musimy niczym się krępować. Jakie majtki założyłaś na to przyjęcie: różowe czy seledynowe?

W ogóle nie zakładałam, odrzekła Felixa. Ale czy nie uważasz, że mogą oni wyciągnąć jakieś niewłaściwe wnioski...

Wyciągnąć to sobie mogą, zachichotała Xenia, ale i tak nic nie wskórają. Prawda?! Za bardzo jesteście osłabieni.

Nie mogę zrozumieć, powiedziała Felixa, dlaczego włóczą się gdzieś po zakazanych dzielnicach zamiast siedzieć w domu. Tracimy pół dnia na ich odszukanie, a oni nawet nie powiedzą: dziękuję. Rzygają do tego z naszej reprezentacyjnej karety. No tak — służ panu wiernie, to ci za to piernie. A mówiłam ci Xeniu, żeby ich nie szukać. Zdechliby sobie z pragnienia i byłby spokój.

Zabłądziliśmy, rzekł Laurenty.

Zabłądzili, dobre sobie, powiedziała z kwaśnym uśmiechem Xenia Ten tylko błądzi, kto chce zabłądzić. Nas jakoś nigdy nie spotkała ta przyjemność, prawda kochanie. I nie latamy z ogonami do góry jak te koty.

Miałaś wspaniały pomysł, żebyśmy pojechały jako nauczycielki No, czego się nie odzywacie? Musicie chyba przyznać, że bez nas nie dalibyście sobie rady w tym mieście.

Nie wiedzieliśmy co odpowiedzieć, czując tylko skurczone, podrygujące żołądki i ciężkie głowy, które chciały nam popękać z bólu, kiedy kareta podskakiwała na wertepach.

Nie uważasz, że trochę zanadto trzęsie, spytała Felixa, skacząc na skórzanej kanapce. Można od tego dostać odcisków na dupie.

Kazałam mu jechać na skróty, odrzekła Xenia, wiesz, przez ten cmentarz, który mają zlikwidować.

Ach, przez ten, gdzie były te dziwne przypadki, co to niby ludzie słyszeli...

Ależ to najczystsza prawda, kochana Felixo, i to potwierdzona naukowo. Zainstalowano specjalne mikrofony i naprawdę okazało się, że nieboszczycy rozmawiają ze sobą. Tak moja droga, nie wytrzeszczaj tak na mnie swoich żabich oczu, bo na nic ci się to nie zda. Rozmawiają ze sobą o byle czym: pytają się jeden drugiego, czy ma dzisiaj mokro, czy sucho, czy go nic nie swędzi... Plotą bzdury przez całe noce. Chyba wyobrażasz sobie, jakie to musi być nudne tak leżeć i leżeć. Zmyślają niestworzone rzeczy i opowiadają sobie nie kończące się historie o byle czym. Przeważnie ględzą bez sensu, byleby tylko podtrzymać konwersację. Udają zapewne w ten sposób, że ktoś się z nimi jeszcze liczy, że, dajmy na to, spłakana wdowa pragnie w dalszym ciągu obcować ze swoim mężem, a ona ryczy dlatego, że żaden z młodych ogierów już na nią nie spojrzy, bo stary za późno wykitował. Ale nie, nie wyprowadzamy ich z błędu. Niech tego świata, to niech go mają. Nawzajem sobie zupełnie nie przeszkadzamy.

Mówiłaś, zdaje się, że cmentarz ma być zlikwidowany, zauważyła Felixa.

Tylko jedynie jako miejsce. Postanowiono przenieść wszystkich do jednego grobowca. Ot, takie towarzyskie zebranie. Oczywiście, to eksperyment, bo czegóż się nie robi dla nauki. Chcemy po prostu zobaczyć, co się z tego wykluje, jaki świat... Rozumiesz?

Nie bardzo. Jeżeli wszyscy będą razem ględzić piąte przez dziesiąte, powstanie z tego nieopisany rwetes, chaos.

Dobre słowo — chaos. O to mniej więcej nam chodzi. Pamiętaj, że to właśnie z chaosu wyłaniają się nowe światy. Chaos wydala je i wchłania. Jasne, że nie pozwolimy na nieopanowany wybuch czegoś. Będziemy to zjawisko nieustannie badać, kontrolować... Być może nawet wyciągniemy z tego jakieś wnioski. Instytut Fikcji Teoretycznej opracował już nawet pewne wytyczne, dotyczące obiegu informacji wewnątrz grupy tych... exitusów.

Wątpię, żeby to się komuś na coś przydało, odrzekła Felixa. Oni mają swoje czasy, chociaż spoczywają na tym samym miejscu. My mamy ten sam czas, lecz nasze miejsca są tak odmienne.

Właśnie ta inność jest tak podniecająca, rzekła Xenia. Z tego, co dotychczas udało się podsłuchać, okazuje się, że mają oni swoje, jakby to powiedzieć, wyobrażenie o sobie, zupełnie inne od tego, jakie my o nich mamy. Są oni niejako tymi mniemaniami i wśród nich rozgrywają się niby-opowieści, które w końcu także nigdzie nie istnieją, a jednak „żyją" póki je opowiadamy, przekazujemy z ust do ust Także wśród nich rozgrywają się pewne „losy", jakieś postacie przybywają i odchodzą na tle mniemanych krajobrazów. Cała ta bezładna gadanina zawiera niekiedy jakieś przypadki, związki, które wyłaniają się z niej i gasną. Dokładnie nie wiadomo, czym to wszystko jest i jak to się ma do czegokolwiek, a jednak pozostaje faktem, podobnie jak książka, która mimo tego, że nikt jej nie czyta, zawiera w sobie opowieść, mogącą zdarzyć się w każdej chwili, gdy tylko ktoś zechce do niej zajrzeć.

Czy to ma być coś w rodzaju biblioteki tych... exitusów, spytała Felixa. Tysiąc książek czytanych jednocześnie, czy to nie przesada? Przecież z tego i tak nikt się niczego nie dowie.

Dowie się, że książki są czytane, odparła Xenia.

Kareta niemiłosiernie podskakiwała na wertepach raz po raz chyląc się na boki. Wyglądaliśmy przez okno, widząc ludzi zajętych rozkopywaniem mogił, z których wyciągano dobrze zakonserwowane zwłoki, po czym układano je na ciężarówkach i szybko wywożono.

Mogą zaniemówić ze strachu, odezwał się Laurenty W końcu to dla nich wstrząs.

Im jest już wszystko jedno, odrzekła Xenia. To nie jest ten świat, o którym rozmawiają. Oni są obok i to co jest tutaj, nasze, już ich nie dotyczy. Cóż obchodzi postacie powieści format książki, w której wydrukowano opowieść o nich. A jeśli nawet ktoś nieuważny przedrze kilka stronic lub zagniecie rogi? Nie wpłynie to w najmniejszym stopniu na kształt intrygi, a żywioł opowieści pozostanie nienaruszony.

Ale oni umarli, nie żyją, krzyknął Sylwester, widząc stosy przeźroczystych worków pełnych zwłok.

A czy żyje cokolwiek z tego o czym się opowiada, spytała Felixa. Przecież to są słowa nie mające nic wspólnego ani z życiem, ani ze śmiercią. One są inaczej, tak jak ci, których się stąd zabiera. Rozumiem, że ich nawet nie potrzeba czytać, bo mówią się sami. Wystarczy wsłuchać się tylko w ich opowieść.

To musi być jakiś bluff, rzekł Laurenty. Setki razy bywałem na cmentarzu i nigdy nie słyszałem żadnych rozmów, oprócz tych, które prowadzili żywi ludzie.

Właśnie dlatego nie mogłeś niczego usłyszeć, odrzekła Xenia. Po pierwsze cmentarz jest dla zmarłych, po drugie trzeba wiedzieć, co się chce usłyszeć, a po trzecie trzeba umieć słuchać. Skąd mogłeś wiedzieć jak masz słuchać, jeżeli nie wiedziałeś co masz usłyszeć? Umarli mówią do umarłych, a żywi do żywych. Można by to raczej nazwać „rozmyślaniem opowieści". Wiesz, jak to jest, gdy ktoś zamierza napisać o czymkolwiek. Obmyśla coś, a potem realizuje. Umarli nigdy nie posuwają się do tego ułomnego stanu swych opowieści. Oni są nią i egzystują wraz z nią tak, jak zdołają ją sobie wymyślić.

Ale w końcu kiedyś znikają, odezwał się Sylwester, rozkładają się.

Nigdy, powiedziała Felixa. Jeżeli już raz się stali, nie są w stanie pozbyć się siebie. Przekształcają się, lecz nie znikają. Są jak te odwieczne wątki opowieści, setki razy zmieniane i przetwarzane, a jednak zachowujące w sobie ów niezniszczalny stan słowa. Może ich nawet nikt nie opowiadać, a jednak istnieją i w każdej chwili można przywołać ich egzystencję. Wystarczy tylko uprzytomnić sobie ich obecność.

Być może, powiedział Laurenty, ale w końcu, co my możemy mieć z nimi wspólnego. Niech sobie wymyślają, co chcą, po co im przeszkadzacie.

Nie wiem, czy możemy im powiedzieć, jak myślisz Felixo?

Wiesz, Lancelot nic nie mówił na ten temat.

Ale Atanazja ostrzegała nas, żebyśmy trzymały się z daleka od tych pieprzonych cudzoziemców.

A jednak... Gdybyśmy ich uprzedzili, nie zachowywaliby się tak nieodpowiedzialnie, jak dotychczas.

Czy ja wiem... Trzeba by się skonsultować z Hieronimem.

Już go pytałam i powiedział, że ogólnikowo możemy ich powiadomić o wszystkim.

Tylko nie o wszystkim, oburzyła się Felixa. Nie życzę sobie, żeby ktoś obcy dowiadywał się o moich intymnych skłonnościach.

Jak uważasz, kochanie. Pominiemy w takim razie zasadnicze sprawy milczeniem, udamy głupie, gdy będą nas chcieli wypytywać, a powiemy im tylko tyle, ile mogliby dowiedzieć się od pierwszego lepszego przechodnia.

Masz rację. Aurora nie potrafi utrzymać języka za zębami. Lepiej będzie, jeżeli się od nas dowiedzą.

O co chodzi, spytał Laurenty.

O zagładę Sodomy, odparła Xenia.

Przybyliśmy tutaj po to, żeby was uratować, rzekł Sylwester. Sto razy mówiliśmy już o tym.

Niektórzy jednak twierdzą, powiedziała Felixa, wyglądając przez okno, że zagłada już się dokonała. Jeszcze zanim tu przybyliście.

Idiotyzm, szepnął pobladły Laurenty.

Nie są to zupełnie bezpodstawne przypuszczenia. Całe miasto aż trzęsie się od plotek, powiedziała Xenia, poprawiając fryzurę w lusterku. Zresztą, jak mi się wydaje, to wam powinno zależeć na prawdzie.

Na jakiej prawdzie, spytał Sylwester, trzymając się za głowę.

Na tej, którą ludzie przekazują sobie z ust do ust, odrzekła Felixa.

Przecież Xenia powiedziała, że to plotki...

Jeżeli wszyscy o tym mówią, to musi być prawda, rzekła Xenia. Zaprzeczono by oficjalnie, gdyby tak nie było.

O co więc właściwie chodzi, spytał Laurenty. Powiedzcie wreszcie, bo znowu robi mi się niedobrze. Ta kareta tak trzęsie, że nawet nieboszczyk by nie wytrzymał.

Mówiłam już, że chodzi o zagładę, powiedziała Felixa. Niektórzy twierdzą, że miasto dawno już zostało dotknięte kataklizmem, a nas po prostu nie ma

Niemożliwe, szepnął pobladły Sylwester.

A jednak... Ktoś nas tylko zmyśla, ktoś nas opowiada... Są tacy, którzy uważają, że mamy nawet na to pewne dowody. To cmentarzysko, przez które jedziemy. Ci ludzie nigdy nie zostali pochowani. Zalał ich potok płynnej siarki.

Może miał tu miejsce jakiś wypadek, rzekł Sylwester. Zresztą to bezsensowne: jak mogłoby nas nie być, jeżeli ze sobą rozmawiamy.

A ci umarli, powiedziała Xenia, wskazując ręką za okno, co oni mają powiedzieć?

Oni już niczego nie muszą, rzekł Laurenty.

C.D.N.